

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



Maria Paprocka

UŚMIECH ŻYCIA

**Wydawnictwo „Tower Press”
Gdańsk 2001**

„Poznaj samego siebie...”

W Dreźnie, na Parkstrasse, znajduje się ładna willa, oddzielona od ulicy żelaznymi sztachetami i małym skrawkiem ziemi, noszącym miano ogrodu. Od wielu lat zamieszkiwała ją hrabina Tenczyńska. Samotna i odosobniona staruszka zaledwie kilka razy na rok przyjmowała szczupłą liczbę bliższych swoich krewnych lub znajomych, bawiących w Dreźnie przejazdem. Sąsiedzi nie zajmowali się mieszkaną cichej willi. Tryb jej życia nie dostarczał tematu do gawęd. Regularne wycieczki do kościoła, spacery do blizkiego Thiergartenu i wczesne gaszenie świateł w całym domu – oto wszystko, co można było powiedzieć.

Dzień był jasny i wesoły. Przez otwarte weneckie okno willi wdzierały się smugi słońca, rozlewały po wykwintnych sprzętach i drobiazgach, kładły złote odbłaski na ornamentach ścian i krzeseł w stylu Ludwika XV, wiązały się w aureole na zagięciach figurek porcelanowych, zdobiących kominek i etażerki. Pokój był nieduży, lecz urządony z wielkim gustem, nie raził żadnym nieodpowiednim szczegółem lub banalnością. Był cały w najczystszyemu stylu rococo, rodzaju, który najczęściej spotkać można w domach drezdeńskich, pamiętających złote czasy tego miasta z zeszłego wieku.

Szukało się mimowoli mieszkańców, właściwych do tych stylowych ram: drobnej twarzyczki z muszką, upudrowanymi lokami i wachlarzem, albo margrabiego w żabocie i koronkach, z trójgraniastym kapeluszem i szpadą. A może w wazonie na kominku wsunięty był dyskretnie jakiś bilecik maleńki, z wierszami o bóstwach i nimfach, o szmerze strumyka i woni kwiatów, a mający wyrażać uczucie, rozbudzone w malowniczych ruchach menueta, tańczonego na dworze rozbawionego króla Augusta? Wszystko być może w myśli i wspomnieniu, jeżeli rzeczywistość nie wyrównywa urokiem tym obrazom przeszłości. Ale małego pokoiku nie trzeba było zaludniać postaciami wyobraźni.

Przy małym stoliku siedziała młodzianka blondynka i, czytając książkę, zasłaniała ręką oczy przed rażącymi promieniami słońca. Włosy miała bardzo jasne, gładko i skromnie zaczesane, oczy duże i myślące, cerę tylko nikłą jakąś i bladą. Całość pociągała urokiem słodczy i łagodności.

Czytała z wielkim zajęciem i uwagą. Czasem patrzyła przed siebie, nie widząc otoczenia, czasem oczy przymrużyła, jakby goniła myślą gdzieś bardzo daleko, może w krainę marzenia i szczęścia, a może za romantycznymi bohaterami powieści, za ich przygodami i miłością...

„Życie świętej Teresy, przez nią samą opisane” – był tytuł książki.

Panienka znów oczy przymrużyła, i myśl jej popłynęła świetlanym szlakiem miłości, dobra i cnoty, prowadzona głosem Świętej.

„Cierpienie jest łaską, zesłaną dla wybranych, cierpienie wykazuje błahość doczesnych celów i zabiegów, daje nadzieję i dążenie do lepszego świata, zbliża do Boga i w cnotcie utrwała, cierpieniem znaczy się pochód do doskonałości moralnej, cierpienie jednoczy złogiem, a wtem zjednoczeniu jest spokój ducha. Życie jest próbą ognia, w którym niektóre dusze palą się na zgliszczu i popioły, a inne przetapiają się na czyste złoto, aby błyszczeć cnotą, szczęściem, w duchu Bożym i spokoju.”

Na twarzy czytającej odbiło się przygnębienie.

Ludzie i książki mówili jej tylko o walce z życiem, wiedziała, że walczyć nieraz trzeba z losem i przeciwnościami, z własnymi słabostkami i naturą, z pokusami i złymi ludźmi, ale na myśl walki lęk ją jakiś ogarniał i zwątpienie we własne siły. Czytała dalej z zajęciem, jakby w słowach Świętej szukała uspokojenia i wskazówki

Do pokoju weszła panna służąca.

– Pani hrabina prosi, ażeby panienka po przebraniu się zeszła zaraz do salonu. Przyszedł pan Władysław Tenczyński.

Gość był dalekim krewnym nieżyjącego męża hrabiny Tenczyńskiej i przypuszczalnie jedynym jej spadkobiercą.

Młoda panienka wstała i zaczęła się przebierać.

Panna służąca rozplotła jej bogate blond włosy, które się bez sztucznej pomocy naturalnie kręciły i składały nad czołem ładne loczki; ale właścicielka nie wiedziała snadź o ich piękności i uroku, gdyż nie patrząc nawet do lustra, rzekła niedbale:

- Zacziesz jak można najładziej, a warkocz nizko upnij; więcej nic nie trzeba.
- Ależ panienczce będzie nie do twarzy!
- Nic nie szkodzi.

Blondynka spojrzała na przygotowaną przez pannę służącą suknię, i lekki uśmiech przebiegł przez jej usta. Kostium był jasnoniebieski, ozdobiony białą koronką i wstążkami, w którym, wiedział, że wygląda efektownie i zajmująco,

Ale nagle twarz jej spoważniała. Czyż warto przywiązywać tyle wagi do takiej drobnostki? Wszak są to tylko próżności światowe, nad które wznieść się trzeba i pogardzić. To złe duchy nasyłają jej pokusę pod postacią tej sukni, dla wypróbowania jej woli i wytrwałości w gardzeniu wszystkim, co błahe i doczesne.

- Nie wezmę dziś tej sukni – rzekła; – podaj mi czarną.
- Panienczko, czarna jest bardzo skromna, dobra tylko na ulicę, ale nie do obiadu.
- Podaj mi czarną – odparła ze stanowczością.

Wyszła ze swego pokoju i udała się do salonu.

Salon był dosyć obszerny, oświetlony dwiema lampami. Na kanapie siedziała staruszka, mała i pokurczona, z uśmiechem dobrotliwym i uprzejmym, zajęta rozmową z Władysławem Tenczyńskim.

Był, to mężczyzna mniej więcej lat trzydziestu, o rysach, choć nieregularnych, ale rasowych, postawy i ruchów bardzo wykwintnych, wskazujących pewność i obycie.

- Ninko, – rzekła hrabina: – Władzio Tenczyński, o którym ci często wspominałam.

A potem dodała, zwracając się do Tenczyńskiego:

– Janinka Olszyńska, córka mojej nieboszczki siostry. Przed kilku tygodniami skończyła nauki w klasztorze pod Krakowem, a teraz przyjechała do mnie na stałe.

Nastąpiła zamiana ukłonów. Ninka usiadła obok ciotki; Tenczyński rzucił na nią przelotne spojrzenie i prowadził dalej zaczęłą rozmowę:

– Bez wprowadzenia machin nowego systemu nie można się obejść w Zaleszynie. Piece w fabryce są tak stare, że marnuje się w nich połowa rudy. Speculanci, którzy kupują żuźle zaleszyńskie, robią doskonale interesy, wytapiając jeszcze mnóstwo żelaza. Przy piecu nowego systemu cała ta korzyść zostanie w ręku cioci, gdyż wyciągnie się wszystko żelazo, jakie tylko w rudzie się znajduje.

– Zgadzam się na wszystko, co postanowisz – odrzekła pani Tenczyńska; – oddawna już powierzyłam ci ogólny kierunek swoich interesów. Pewna jestem, że zajmiesz się tem sumiennie i serdecznie.

– Ponieważ ciocia zgadza się na postawienie wielkiego pieca, trzeba zatelegrafować po Maryańskiego; porozumielibyśmy się zaraz co do kosztów, plenipotencji, pewnych formalności etc. Mógłbym jeszcze kilka dni w Dreźnie zabawić, bo do Warszawy niebardzo mi się śpieszy. Wyścigi zaczynają się dopiero w końcu przyszłego tygodnia.

Maryański był adwokatem rodziny Tenczyńskich, prawnym opiekunem Ninki Olszyńskiej. Bez jego rady nie przedsiębrano żadnego interesu,

Pani Tenczyńska zgadzała się we wszystkim na propozycje Władysława, i stanęło na tem, że miano wezwać Maryańskiego do przeprowadzenia prawnych formalności, dotyczących się tak ważnego wydatku, jakim było stawianie wielkiego pieca do przetapiania rudy żelaznej

w majątku pani Tenczyńskiej, Zaleszynie.

Temat interesów już był wyczerpany, rozmowa dalsza, obojętna, niebardzo się kleiła, znać było, że każda z trzech osób, razem zebranych, inny ma cel myśli, dążeń i zajęcia. Ninka pozostawała jeszcze pod wrażeniem ognistych słów świętej Teresy, uważała wszystkie względy światowe za błahę i nic nie znaczące, a wliczając w to i rozmowę towarzyską, milczała pogardliwie. Pani Tenczyńska rozmyślała w cichości nad wszystkimi *pro* i *contra* wielkiego pieca, rzucając niekiedy jakieś pytanie szablonowe, a Władysław, choć bardzo uprzejmy, znać było, że tylko zdawkową monetę swojego „ja” poświęcał towarzystwu, które go nie zajmowało.

Przyglądał się dość obojętnie szczegółom umeblowania, wreszcie na Nince wzrok zatrzymał. „Panienska z klasztoru” niewiele w nim budziła interesu, ale ponieważ nie mógł nie przyjąć zaproszenia pani Tenczyńskiej na obiad, więc postanowił tem się kontentować, co mu los zsyłał.

– Pewno pani nie tęskni po klasztorze, będąc już na wolności i swobodzie? – rzekł, zwracając się do Ninki.

– O, przeciwnie, myślę o nim często, gdyż czułam się tam bardzo szczęśliwą.

Tenczyński uśmiechnął się pogardliwie.

– Tak, ale świat da pani niezależność i wiele przyjemności, dotąd dla pani nieprzystępnych.

Teraz przyszła kolej na Ninę uśmiechnąć się pogardliwie.

– Nie chciałabym zmarnować życia na pogoń za uciechami, które nie mają dla mnie najmniejszej wartości – rzekła.

Tenczyński nie mógł się znowu powstrzymać od uśmiechu, który podrażnił i zranił trochę Ninki miłość własną. „Z gatunku świętych” – przez myśl mu przebiegło, a że na świętość dziewiętnastoletnich osóbek zapatrywał się dosyć sceptycznie, ironicznie się wciąż uśmiechał, ze szczerą chęcią przekomarzania się z tą spartańską dziewczyną, która go zaczynała bawić potrosze.

– Zapatruje się pani na życie trochę... biblijnie i heroicznie. Zdarza się to czasem u „panienek z klasztoru,” ale tylko takich, które należą do rzędu istot nadzwyczaj wrażliwych, u których klasztorne wychowanie rozbudza i pielęgnuje wyobraźnię, gdy tymczasem większa część ich koleżanek przechodzi bezwiednie pomiędzy tymi wpływami, jak lunatyczki, nieświadome tego, co ich otacza i dotyka, i pozostają na zawsze mniej lub więcej zuchwałymi pogankami. Ale za to tamta mała cząstka gorliwych entuzjastek cierpi za nie, czuje i myśli, dopóki... życie nie zetrze nieco ostrych kantów pojęć krańcowych, któremi się odznacza pierwsza faza młodości.

– Chciałabym należeć do tych drugich, dla mnie szczęście leży w cierpieniu i poświęceniu się dla innych – wtrąciła Ninka, którą uderzyła trafność uwagi Tenczyńskiego, tyczącej się jej koleżanek.

– Hm, chociaż nie chciałbym się pani w niczem sprzeciwiać, ale to szczęście wydaje mi się zanadto nieuchwytnem i przystępnem może tylko dla wybranych. Zaręczam pani, że większość kobiet nie oddałaby najmniejszej swojej przyjemności, nawet modnego kapelusza, za takie szczęście.

Ninka uśmiechnęła się z wyrazem politowania, a Tenczyński ciągnął dalej ironicznie:

– Ale zdaje mi się, że ostateczna konkluzja, wynikająca z poświęcenia jednych, a używania drugich, nie byłaby bardzo rozpaczliwą. Przypuszczam, iż te osóбки poświęcenia, które wyrzekają się dobrowolnie wszystkich życiowych przyjemności, taką sobie tem bohaterstwem wyrządzają przykrość i krzywdę, że nie tylko sobie samym zbawienie zapewniają, ale jeszcze coś z reszty ich zasług obróci się na korzyść innych grzeszników.

Ninę niecierpliwił coraz więcej ironiczny ton Tenczyńskiego.

– Są tacy, na których zbawienie nie starczyłoby poświęcenia wszystkich razem dobrych i

cnotliwych – rzekła żywo.

– Jakież byłby to tryumf naprowadzić takiego grzesznika na dobrą drogę! Zdaje mi się, że pani z takiego zadania wywiązała się chwalębnie.

Powiedział to bardzo uprzejmie i z kokieterią, ażeby Ninę trochę udobruchać i rozchmurzyć. Wiedział, że nawet „święte” biorą się na komplementa.

– Nie potrzebowałyby pani daleko szukać. Mam honor przedstawić się jako grzesznik zatwardziały, przyjemności lubiący nad wszystko i mający stałe postanowienie wszelkie nawoływania do pokuty, cnót i umartwień zamienić na głos wołającego na puszczy. Przecież rozmaici bywają ludzie i różne robią z życia użytki. Jedni zajęci są zbieraniem przyjemności i zadowolenia, inni – zbieraniem trudów i zasług dla... hm... nie wiem, jak się wyrazić... dla przyszłości bardzo nieokreślonej. To rzecz gustu. Co do mnie, wolę jeden pieniążek, ale trzymany mocno w ręku, aniżeli całą ich sakiewkę obiecaną gdzieś tam za górami.

Tenczyński szukał na twarzy Ninki wyrazu gniewu i oburzenia, ale ona uśmiechnęła się i rzekła z prostotą:

– Żal mi pana.

Ujęła go sobie tym rysem łagodności i słodyczy, to też w dalszej rozmowie starał się zabawić ją i rozruszać, zainteresować opowiadaniem, a choćby i samym sobą.

Jej zaś w miarę rozmowy na myśl przychodziło, że gdyby ten grzesznik chciał być apostołem swojej wiary, to mógłby w gromadce Bożej porobić wielkie spustoszenia! Uczuła względem niego jakby jakiś rodzaj strachu, a zarazem zaciekawienia, słuchała ze wzrastającym ciągle zajęciem jego słów lekkich i swobodnych, oddźwięków z tej krainy myśli zuchwałych i uroków, choć zwodniczych, ale wabiących, o których istnieniu wiedziała tylko ze słyszenia lub przecucia. A dobrze mu snadź było w tej krainie doczesnych uciech i słabostek, bo gdy rozmowa stała się ogólną i Tenczyński opowiadał epizody ze swego życia towarzyskiego i sportowego, to usta mu się w uśmiechy składały, a w oczach jakieś miłe wspomnienia zapalały blaski ożywienia i wesołości.

Najwięcej ożywienia malowało się na jego twarzy, gdy opowiadał o swoim pobycie w Nizy, gdzie przed przyjazdem do Drezna bawił przez kilka tygodni. Ninka z coraz większą uwagą słuchała szczegółów o tym południowym zakątku, do zabawy jakby stworzonym. Śmiała się serdecznie, gdy Tenczyński mówił o jakimś milionerze amerykańskim, który bawił wszystkich swoją osobą i ekscentrycznymi pomysłami. Wyczerpawszy wszystkie możliwe *passe-temps* i rozrywki, najwięcej znajdował przyjemności w wożeniu brekiem swoim różnych nieznanym podróżnym, z Nizy do Cannes i napowrót, a czuł się najszczęśliwszym, jeżeli go ktoś uważał za prostego stangreta, nawymyślał za jazdę nieostrożną, lub obdarzył frankiem napiwku.

Zajmowano się też w tym sezonie młodą Amerykanką, która, uważając, że biżuterie z drogich kamieni zanadto są banalne i oklepane, a dostępne nawet dla jej panny służącej, jeżeliby miała ku temu tylko trochę chęci i urody, nosiła naszyjnik z oczu ludzkich, wyjętych kilku rozbójnikom, straconym przez powieszenie w jednym z amerykańskich Stanów, gdzie jej mąż zajmował wybitne i wpływowe stanowisko.

Tenczyński umiał barwnie opisywać rozmaite wycieczki, proszone obiady i przyjęcia, *garden parties* i przyjemności towarzyskie.

– Jedną z kobiet najbardziej interesujących była bezwarunkowo hrabina Nessel. Ciocia ją pewno zna. Ona jest Zenowiczówna z domu. Młoda wdowa i bardzo piękna. Dużo bywała i wielkie miała powodzenie, może w części dzięki genialnym swoim toaletom. Jestem zawsze wielkim wielbicielem kobiet, umiejących ubrać się gustownie i odpowiednio. Piękna suknia na pięknej kobiecie stanowi poemat, w którym zawsze odnaleźć można właściwe gusta, naturę i skłonności tej, która go obmyśliła. Nie umiałbym zachwycać się źle ubraną kobietą, miałbym jak najgorsze pojęcie o jej sprycie. Bezwarunkowo nie było w Nizy nikogo lepiej, niż pani Nessel, ubranego. Jest to artystka w swoim rodzaju.

Ninka z zakłopotaniem spojrzała po sobie, a choć jej czarny ubiór był także poematem prostoty i idealnych, czystych jak łza, dobrych chęci, jednak uczyła się niezadowoloną z siebie i sukni.

– Podobno pani Nessel była bardzo z mężem nieszczęśliwa – wtrąciła pani Tenczyńska, która mały dotąd udział brała w rozmowie, słuchając z zajęciem opowiadań bratanka.

– Podobno, – odrzekł ten z pewną ironią – ale to nie przeszkadza, że Nessel stał się po śmierci, w oczach swej żony, jakimś niedoścignionym ideałem, a pani Julia, dla uszanowania jego pamięci, postanowiła za męża nigdy nie wychodzić. Ja to jednak biorę za przezorność i zabezpieczenie się przed wpadnięciem z deszczu pod rynnę.

Ton całej rozmowy Tenczyńskiego nacechowany był odcieniem lekkiej ironii w opowiadaniach i uwagach, tyjących się osób i wypadków. Była to pobłażliwość „dobrego księcia,” który patrzy z uprzejmym uśmiechem na ludzkie niedobory i słabostki, będąc mocno przeświadczonym, że sam jest wyższym nad podobne marność i uprzedzenia.

Ninka czuła się zakłopotaną i nieśmiałą. Domyślała się, iż jest w przekonaniu Tenczyńskiego jakąś istotą błahą, bez żadnego uroku i znaczenia, i była pewną, że jeżeli wspomni o niej w myślach lub rozmowie, to taki sam wyraz ironiczny przesunie się po jego twarzy; a gdyby zajrzał do nieba jej myśli, idealnych pragnień i dążeń do dobra i cnoty, możeby tylko pogardliwie wzruszył ramionami i uważał się za wyższego w swojej światowości i ironii.

Słuchała jednak tych opowiadań z uwagą i przyjemnością i ani się spostrzegła, jak się pożegnał i zabierał do odejścia.

– Wiem, że ciocia wcześniej spać chodzić lubi, zatem uciekam, bo już dziewiąta – rzekł do pani Tenczyńskiej, powtarzając sobie w myśli, że pozostawanie po obiedzie dłużej, niż obowiązywała najmniej wymagająca etykieta nie przedstawiało już celu i interesu.

Znać było z pośpiechu, z jakim ze schodów zstępował, że jakaś myśl przyjemna żywo go zajmowała, przyciągała i wabiła.

Ninka, po wyjściu Tenczyńskiego, powiedziała „dobranoc” i poszła do siebie. Spacerowała po pokoju i nie miała ochoty zabrać się do żadnego zajęcia. Majaczyły jej w pamięci szczegóły nicejskiego karnawału, tak malowniczo przez Tenczyńskiego opowiedziane, a pomiędzy myślami przewijało się, jak złota nitka, przecucie jakichś nieznanymi wrażeń, rozkosznych i wstrząsających, odgłosy z kraju szczęścia i uczucia, które groziły, że wkraść się mogą do jej myśli, zajętych oderwanymi dążnościami do ideału dobra i cnoty, a pogrążonych w spokoju i marzeniu.

Tenczyński tymczasem przeszedł szybko kilka ulic, wszedł do nadjeżdżającej dorożki i zawieźć się kazał do teatru.

Dawano Wagnerowską „Walkiryę.”

Chociaż przedstawienie było już w połowie, wszedł na schody i skierował się do jednej z łóżek krokiem przyspieszonym, jakby był pewnym, że czeka tam na niego miejsce gotowe, lub myśl o nim.

Lekko zapukał i wszedł do wnętrza. Akt był zaczęty, w sali mrok panował, tylko na tle jasności, która scenę oblewała, odcinał się delikatny i regularny profil młodej kobiety, opartej o rampę i zasłuchanej w śpiewie i muzyce.

Na wejście Tenczyńskiego odwróciła się z uśmiechem, pokazała twarz drobną, okoloną ciemnymi włosami, artystycznie splątanymi w grecki węzeł.

Była to hrabina Julia Nessel, elegancka, młoda wdowa, o której Tenczyński wspominał o swojej ciotki w opowiadaniach o nicejskich przyjemnościach.

Zaczęli półgłosem rozmawiać, nie uważając na scenę i przedstawienie.

– Odurza mnie ta muzyka – rzekła pani Julia. – Lubię Wagnera, ale w maleńkich dozach, dopóki rozgorączkowanie, jakie sprawiają jego melodye, nie trwa za długo. Lubię tylko kosztować wrażeń, ale nie być ich pastwą. Ta muzyka znęca się nad moimi nerwami i topi

mnie w swoim chaosie.

– Doskonałe tło do marzeń, jeśli... kto umie marzyć – wtrącił Tenczyński, ze swoim uśmiechem ironicznym.

– Właśnie przed chwilą próbowałam marzyć, jeżeli to marzeniem można nazwać. Wyobrażałam sobie pana, siedzącego przy nudnym obiedzie i myślącego o mnie. Niech mi pan powie: czy to było marzenie, czy rzeczywistość?

Patrzała na niego zalotnie i serdecznie, twarz do połowy zakryła wachlarzem, a oczyma, w których odbijały się zawsze wyraźnie wszystkie wrażenia, zachęcała do zwierzenia.

Na twarzy Tenczyńskiego malowało się zadowolenie i zajęcie.

– Czy mógłbym myśleć o kim innym, nie o pani? Ale nie spodziewałem się, że i pani o mnie myśleć będzie. Taka rzeczywistość przechodzi najśmielsze moje marzenia.

– Tego nie powiedziałam – odpowiedziała przebiegle pani Julia.

Skombinowała, że może teraz wylać szklanek zimnej wody na głowę Tenczyńskiego, który wszakże był nią tak zajęty, że nie zraził się zmianą tonu i humoru.

Postanowiła nagle zabawić się w obojętność i lekceważenie.

– Czyż ja to panu powiedziałam? – rzekła pogardliwie, wzruszywszy lekko ramionami.

Zwróciła się do sceny i zaczęła aktorów pilnie lornetować.

– Mówiłam, że w myślach pana siebie widziałam; myślałam zatem o sobie, nie o panu. Myśli pana były tylko lustrem, do którego zajrzałam, żeby się przejrzeć. Do lustra patrzymy tylko dla zobaczenia naszego odbicia, nie dla admiringowania szkła, które nie jest niczem więcej, tylko jakąś marnością, niewartą uwagi, zrobioną z popiołu i czegoś tam jeszcze.

– Mało się pani ceni, odbijając swój obraz na tle „marności” – odrzekł Tenczyński ze złośliwą intencją.

Uśmiechnął się, gdyż taka nagła zmiana frontu u pani Julii nowością dla niego nie była. Od czasu, kiedy się poznali w Nizy i zapoznali bliżej, wabiła go tem i drażniła, zajmowała ciągłymi niespodziankami humoru, gustów i temperamentu.

Żądna wrażenia dla wrażenia, jak zabawki lub cukierka, raz była rozumiejącą piękno artystką, dyletantką z zamiłowaniem i natury, albo rozswawoloną pensyonarką, płatającą figle, ośmieszającą wszelką powagę; to znowu widział ją pełną prostoty, ewangeliczną niewiastą, matkującą nieświadomym życia, lub też wesołą kobietką, nie mającą nic do stracenia, bez żadnych iluzji, chcącą tylko zebrać z rzeczywistości to, co najprzyjemniejsze i najlepsze.

Flirtowali w Nizy przez sześć tygodni i bardzo byli kontenci z siebie.

Tenczyński lubił drażniący nerwy, polegający na sprzecznościach urok pani Julii; ją zaś zajmował ten młody mężczyzna, trzymający się z początku z dala i obojętnie, jakby zblazowany przyjemnościami życia i nie pragnący, na pozór, wrażeń z jej repertuaru. A jednak poszedł za jej urokiem, choć się nawet do tego przed sobą samym przyznać nie chciał, i mówił jej więcej złośliwości, niż komplementów, może dlatego, że bronił się przed wrażeniem, jakie na nim wywierała, w którym więcej było podrażnienia, niż serdeczności.

I ona, może więcej przez przekorę, niż wyjątkową sympatyę, kokietowała go i zajmowała się nim więcej, niż innymi, których łatwo zdobywała, łatwo też zapominała i zaczynała lekceważyć. I ani się spostrzegła, jak bawiąc się tem uczuciem, oplatała nim wszystkie swoje myśli i nerwy, jak jego obecność i choćby złośliwość stała się dla niej niezbędną, odurzała się nią, jak narkotykiem, kreśląc wyobraźnią jakieś fantastyczne sytuacje i wstrząśnienia, nie myśląc o następstwach tego kaprysu.

Miewała już przedtem inne fantazyje, które po pewnym czasie same z jej myśli odbiegały. Zachwycała się niegdyś jakimś włoskim tenorem, nie opuszczała żadnej opery, w której występował, słuchając jego śpiewu bez ruchu i świadomości otoczenia. Później przyszła kolej na psa Newfoundlanda, który znosił tylko edredonowe poduszki i kotlety z kurczątkami. Później była zatopiona w spirytyzmie, wirujących i pukających stolikach. Przez jakiś czas brała lekcje muzyki od Leszetyckiego i grywała po dziesięć godzin dziennie. Porzuciła to jednak

dla wyszywania ornatów i chodzenia codziennie na Mszę św. Nareszcie kazała sobie włosy przefarbować z czarnego na ryży kolor. Ostatnimi czasy wszystko poszło w niepamięć, gdy Tenczyński zajął jej myśli i odurzył wyobraźnię jakimiś wrażeniami nowymi, a silniejszymi od poprzednich.

I on się durzył tem jej odurzeniem i panią Julią, pełną uroku i niespodzianek. Zaczęli od udawania nieodczuwanych uczuć i wrażeń, nareszcie dali się nieznacznie unosić tej lekkiej i rozkosznej fali, która czasem prowadzi na skały podwodne i rozbicie.

Tenczyński myślał, że po nicejskim sezonie położy się kropkę przy ich flircie, bezcelowym i przyjemnym, i że się go umieści wśród wspomnień i zabytków. Jakież więc było jego zdziwienie, kiedy na kilka dni przed wyjazdem, gdy oznajmił już wszystkim znajomym, że udaje się z Nizy do Drezna, pani Julia, spotkawszy go nad morzem, rzekła ze swobodą i naturalnie:

– Co za dziwny zbieg okoliczności, bo właśnie i ja wybieram się już do kraju tymi dniami i mam zamiar kilka dni w Dreźnie się zatrzymać dla... plombowania zębów. Może to przesąd, nie wiem, ale do drezdeńskich dentystów najwięcej mam zaufania, może dlatego, że tam trwa jeszcze tradycja sławnego Jenkinsa.

– Będę najszczęśliwszym, jeżeli pani pozwoli się odwiedzić. Czy mogę zapytać, gdzie się pani zatrzyma?

– W hotelu Buchera.

– I ja tam zwykle mieszkam.

Tenczyński nie wiedział, co o tem myśleć. Czyżby to była jakaś obmyślana kombinacja? Ale jaka?

Nieraz w poufnych pogawędkach pani Julia wyraźny na to kładła nacisk, że nigdy za mąż nie wyjdzie, a innego przypuszczenia nie śmiała jeszcze formułować w swoich myślach. Postanowił tymczasem ze względów pani Julii korzystać, o ile temu okoliczności sprzyjać będą, i czekać cierpliwie dalszego ciągu tej komedyi, lub nowej i może bardzo ciekawej fazy swego życia.

W loży przez kilka chwil milczenie panowało.

Tenczyński był zły, miał ochotę powiedzieć pani Julii coś przykrego, a równocześnie zbliżyć się do niej i uścisnąć za to, że ładna i subtelna, ślicznie ubrana i kapryśna.

– Czemu pan tak późno przyszedł? – spytała nagle. – Czy wybierając między mną i ciotką, wybrał pan ciotkę?

– Wybrałem sukcesyę, której bym nie chciał utracić.

– A gdyby pan miał wybierać między mną a sukcesyą?

– Wybrałbym sukcesyę. Wyrzeczenie się sukcesy byłoby nierozsądkiem, a wyrzec się pani – bohaterstwem. Lepiej uchodzić za bohatera, niż za nierozsądnego.

Odpowiedź ta podobała się pani Julii, i rozmowa znowu nawiązała się więcej swobodna i osobista.

Tenczyński opowiedział jej o poznaniu Ninki Olszyńskiej.

– Bardzo ciekawy okaz ta „panienka z klasztoru” – mówił. – Zdaje mi się, że to jest natura nadzwyczaj wrażliwa, przejmująca się do głębi, bez zastrzeżeń, każdym wpływem, który do niej drogę znalazł. Obecnie jest pod wpływem ascetycznej religijności, i nie uwierzy pani, jakie dziwne wygłasza zdania. Między innymi, naprzykład, że cierpienie jest szczęściem.

– Ależ to skończona dekadentka! – zawołała żywo pani Julia – koniecznie ją muszę poznać! Ha! ha! ha! Szczęście w cierpieniu! Do takiego przekonania dochodzi się po użyciu i nadużyciu wszystkich przyjemności! Dopiero dla bardzo zblazowanych cierpienie jest przyjemnym narkotykiem.

– To tymczasowa faza. Przyjdzie jaki inny wpływ silniejszy i rzucie ją może na wprost przeciwną drogę. Możliwe, że z niej zrobi się bohaterkę, albo męczennicę. Zdaje się, że taki materiał w ręku artysty stałby się arcydziełem.

– Ej, czy pan nie chciałby być czasem tym artystą?
– Może być... czemu nie?... gdybym w obecnej chwili czym innym nie był zajęty.
– A czy można wiedzieć, co jest przedmiotem pana zajęcia? – spytała pani Julia, zlekka się ku niemu nachyliwszy.

Tenczyński z uśmiechem, serdecznie patrzył na nią i rzekł półgłosem, jakby chciał, żeby ton jego miękki, dopełniony spojrzeniem odpowiedniem, był pieszczotą ucha i nerwów:

– Panią tylko jestem zajęty, niczem więcej,

Pani Julia w uśmiechu dała odpowiedź, a chcąc przedłużyć miłe wrażenie, jakiego doznała, usłyszawszy słowa Tenczyńskiego, spytała, nie zmieniając tonu:

– I chciałby pan także i mnie modelować według swego wpływu i woli?

– O! marzenia nie mogą wchodzić w rachubę. W rzeczywistości pani jesteś artystką i urabiasz według kaprysu moje myśli i uczucia.

– A co byś pan na to powiedział... – tu zawahała się i ciągnęła dalej ciszej i wolniej, jakby mu powierzała jakąś ważną tajemnicę: – co byś pan na to powiedział, gdybym naśladować Pigmaliona, zakochała się w moim dziele?

– Przemówiłbym, jak jego posąg, i błagalnie ręce do mistrza wyciągał. Czyby się pani ode mnie odwróciła?

I szukał odpowiedzi na ustach pani Julii. Zdawało mu się, że to, co usłyszy, będzie czymś ważnym, bardzo ważnym, co mu wskaże w oddali może ołtarz i obrączkę ślubną, albo... albo... Ale nie chciał nic jeszcze w myśli formułować, zauważył tylko, że w sali jest do niewytrzymania duszno i gorąco.

Tymczasem pani Julia nie dawała odpowiedzi. Oparła się o rampę łoży i w zamyśleniu patrzyła przed siebie. Tenczyński widział tylko jej profil rozmarzony, i zdawało mu się, że czyta na nim jej myśli. Przypuszczał, że tam w głębinach serca i umysłu toczy się jakaś walka z wrażeniem silnym a upajającym, może ze straszącymi wspomnieniami nieszczęśliwego pożycia z pierwszym mężem, może z obawą zakucia serca w łańcuchy obowiązku i przysięgi, a może... walczyła z jakimś echem tradycji uczciwości, przejętej w duchowej puściźnie po szeregu pokoleń niewiast nieskalanych i przykładnych? O czym myślała? Co mu powie? Tymczasem zdawało się, że myśl jej rozkołysała się w dźwiękach muzyki, której fale zabierały mimowoli czucie i wyobrażenie.

Właśnie w tej chwili był punkt kulminacyjny całej opery, prześliczny duet dwojga kochanków, cały utkany z jakichś dźwięków subtelnych a nieuchwytnych, rozsypanych bez melodyjnego spojenia, jakby gubiących się w pocałunkach lub uśmiechach. Pani Julia zdawała się zatopioną nie tylko w rozmyślaniu, ale i w muzyce.

Naraz odwróciła się i rzekła naturalnie i spokojnie, tonem, który wcale do poprzedniego nie był podobny:

– Prawda, jaki ten ustęp był prześliczny? Dla takiego kawałka warto się nudzić przez całą operę – dodała niedbale.

Tenczyński oniemiał. Nic nie odrzekł, tylko spojrzął na panią Julię tak, jak gdyby ją ostrzegał, że dzisiejsza zabawka wcale mu do gustu nie przypadła.

Wkrótce widowisko się skończyło, Tenczyński już nie odzyskał swego humoru i ożywienia, chmurny był i mało mówił.

– Pójdę jutro przypomnieć się pamięci ciotki pana – rzekła pani Julia, gdy już byli na schodach; – nie będę miała spokoju, dopóki nie zobaczę tej pana „panienki z klasztoru.”

Tenczyński wyprowadził ją do podjazdu i pomógł wsiąść do powozu.

– Do widzenia! A niech pan jutro po południu na chwilę do mnie zajdzie; opowiem wrażenia, jakie wyniosę z wizyty u pani Tenczyńskiej – i odwieźć się kazała do hotelu.

Godzina była dziesiąta rano. Pani Julia i Ninka Olszyńska, ubrane jak do wyjścia na ulicę, siedziały w salonie pani Tenczyńskiej i czekały na przyjście Tenczyńskiego, aby razem z nim pochodzić po Dreźnie, obejrzeć galerie i inne miejscowe ciekawości.

– Nie umiem opisać – rzekła pani Julia – jak się cieszę na myśl o dzisiejszej wycieczce do galeryi. Lubię tam chodzić, ile razy jestem w Dreźnie. Siedzę czasem godzinami w salach włoskich malarzów i wpatruję się w Madonny, takie idealne i prześliczne. Dobrze jest czasem przypatrzeć się takiej twarzy spokojnej i świętej. To uspokaja i daje wypoczynek po życiowych walkach i rozczarowaniach.

– Ja myślę, że wszystkie walki i gorycze lepiej Panu Bogu ofiarować, niechby je poświęcił na zasługę dla zyskania szczęścia i zbawienia tam, w przyszłości, poza światem... Nie warto w tej doczesnej wędrówce szukać spokoju i wypoczynku.

Pani Julia już trzeci dzień spędzała w towarzystwie Ninki Olszyńskiej. Skoro postanowiła pani Tenczyńskiej złożyć wizytę, na podstawie, że będąc dzieckiem, widywała ją w domu rodziców, myślała, że zapełni sobie godzinę czasu zajmującą zabawką, jaką miała być „panienka z klasztoru.” Tymczasem owa „panienka z klasztoru” nie dała żadnego widowiska, nie była ani ograniczoną, ani śmieszna, tylko miała jakąś powagę, splątana z urokiem młodości, i jakiś lęk przed życiem i jego walkami, następstwo wychowania odosobnionego i roztkliwionej wyobraźni. Zadziwiło to panią Julię i mocno zajęło.

Fantastycznej pani Julii zdawało się, że uczuła dla Ninki nagłą sympatyę, coś w rodzaju kaprysu, jakim był w swoim czasie tenor włoski, pies, muzyka i włosy ryże.

I zdawało jej się, że i ona podzielać zaczyna rozmaite przekonania Ninki, że zaczyna gardzić tak samo światowemi przyjemnościami i uciechami.

Jednak te wszystkie piękne zdania o uczuciach idealnych, o Madonnach i walce ze złem, które jej się w obecności Ninki tak gładko przez usta przesuwają, nie przeszkadzały dalszemu z Tenczyńskim flirtowaniu i zmienianiu kilka razy na dzień prześlicznych toalet na coraz to piękniejsze i więcej oryginalne.

– Pan Władysław jest niesłowny i trochę za długo czekać nam każe – rzekła pani Julia.

Miano się zebrać o dziesiątej, było już po jedenastej, a Tenczyński nie przychodził. Weszła tymczasem do salonu pani Tenczyńska, jak zawsze uśmiechnięta i uprzejma, ale tą uprzejmością, właściwą niektórym kobietom w. wieku podeszłym, w której jest więcej długoletniego przyzwyczajenia i obojętności, aniżeli zajęcia serdecznego.

Nareszcie dzwonek dał się słyszeć, i do salonu wszedł Tenczyński, w towarzystwie drugiego młodego mężczyzny.

– Pan Feliks Maryański, ciociu – zaprezentował. – Pan Maryański przyjechał w zastępstwie swego ojca, który jest chory i nie mógł się stawić na nasze wezwanie.

Feliks Maryański, chociaż na wsi mieszkał, skończonym był prawnikiem i nieraz zastępował ojca w przeprowadzaniu różnych prawnych formalności.

– W takim razie rozchwiać się musi nasza wycieczka – rzekła pani Julia. – Panowie zaczniecie mówić o interesach, a galerya o drugiej już zamknięta.

Ale uradzono, że rozmowę o interesach na południe można odłożyć.

– Czy i pan pójdzie z nami? – spytała Maryańskiego pani Julia.

– Z całą przyjemnością, jeżeli panie towarzyszyć sobie pozwolą – odrzekł.

Był to człowiek średniego wzrostu, szatyn, o rysach szablonowych, nie brzydki, ani przystojny, taki, jakich się w życiu tysiące spotyka. Oczy miał sprytnie, okazujące rozsądek i logikę. Ojciec kierował go na adwokata, chcąc mu zostawić w puściźnie nie tylko duży majątek, zebrany z adwokatury, ale i swoją klientelę, rozgałęzioną głównie w arystokratycznym świecie. On jednak, doszedłszy do wieku, w którym należało się ustalić, kupił majątek i oddał się wiejskiemu gospodarstwu, nie tyle może z zamiłowania, ile z przewidywań rozmaitych względów towarzyskich i światowych. Skombinował od razu, że właściciel ziemskiej majątności inaczej jest widziany w „wyższym towarzystwie,” aniżeli młody adwokat, chociażby bogaty, ale nie posiadający jeszcze milionów, któreby mu mogły dać od razu wybitne stanowisko i przewagę. A chodziło mu mocno o to „postawienie” się w „towarzystwie,” najkrótszą zaś do tego drogą wydawało mu się szczęśliwe ożenienie z kimś

należącym do „high-life’u.” Trudniej zaś byłoby to skutecznie początkującemu adwokatowi, anizeli właścicielowi dóbr, niewielkich wprawdzie, ale rzeczywistych, nie fikcyjnych, mogących przybrać poważniejsze rozmiary po śmierci starego Maryańskiego.

Był w ciągłym oczekiwaniu czegoś niespodziewanego, czegoś, coby go „postawiło” wyrwało z niewyraźnego tłumu miejskiej młodzieży, tych „nobodies” salonowych, służących do zaczerniania balów i za tło dla damskich toalet; „czegoś,” coby mu pozwoliło upozować się na stałe w jakiejś roli oznaczonej: „dobrego księcia,” albo zblazowanego sybaryty, protektora krajowego przemysłu, albo dyletanta w dziedzinie sztuki, zależnie od koteryi, z której by dostał żonę z majątkiem i nazwiskiem.

Ponieważ prawie każdy człowiek stara się pozować na co innego, niż jest w istocie, Maryański, na tymczasem, zadowalał się kopiowaniem Tenczyńskiego we wszystkich szczegółach wewnętrznych i zewnętrznych, zachowując jednak tę różnicę, że jeżeli naprzykład Tenczyński w przejażdżkach lub na wyścigach używał monokla, Maryański rozdierał sobie nim oko na wszystkich wizytach i u siebie w domu, jeżeli Tenczyński był lekko ironiczny i czasem złośliwy, Maryańskiemu w wielkim zapale zdarzało się powiedzieć impertynencye – kopia była, jak wszystkie kopie, przesadna i nie umiejąca zachować *le juste milieu*.

Dano hasło do wybierania się; ożywiona i chciwa wrażeń czwórka wyszła na ulicę.

Na dworze było jasno i ciepło, jak to niekiedy bywa w dzień późnej wiosny: kiedy niekiedy, jako zapowiedź lata, jakiś skwarny promień słońca dopiecze zuchwale i dotkliwie, ale zuchwalstwo jego nie przybiera jeszcze formy ognistej swawoli i nie wypala z powietrza świeżych powiewów, a z przyrody żywych i młodych barw wiosennych.

Te świeże wiosenne słoneczne podmuchy płynęły z niedalekiej Saskiej Szwajcaryi, błąkały się na ulicach Drezna, budząc chęć do życia, zabawy i wesołości, płacząc promienie słońca z jasnymi wiosennymi toaletami, zieleniąc klomby ogrodów i skwery publiczne.

Pani Julia szła z Maryańskim, puszczając naprzód Ninę i Tenczyńskiego. Miała w tem swoje przezorne wyrachowanie: nie chciała Tenczyńskiemu okazywać większego zajęcia, aby Maryańskiemu nie przyszły do głowy jakieś niepotrzebne spostrzeżenia, mogące zrodzić plotkę, niekoniecznie dla niej dogodną i pożądaną.

Rozmawiała z nim uprzejmie, nawet, gdy już weszli do galeryi, zdawała się zapominać o gorących postanowieniach wpatrywania się w Madonny i twarze Świętych, dla wypoczynku myśli „po życiowych walkach i trudach;” zajęła się natomiast wypytywaniem Maryańskiego o warszawskie nowinki i skandaliki. Chęć dowiedzenia się o bliżnim czegoś drażliwego i możliwość powiedzenia na tem tle jakiejś zręcznej złośliwości były myślą najświeższą i ostatnią, za nią wiec poszła, nie bacząc na poprzednie.

Tenczyński i Ninka ginęli im czasem z oczu w małych bocznych gabinetach. Tenczyński z umysłu Ninką był wyłącznie zajęty: chciał trochę odwetu za oziębłość nagłą pani Julii, która w ostatnich dniach przesiadywała u jego ciotki i zajęta była wyłącznie budującymi rozmowami z „panienką z klasztoru.”

– Przejdźmy do wielkiej sali mistrzów hiszpańskich – rzekł, – pokażę pani obraz, który na mnie największe z całej galeryi zrobił wrażenie.

Ninka z ciekawością poszła za nim. Tenczyński stanął przed obrazem Eibeiry, przedstawiającym świętą Agnieszkę.

– Niech się pani dobrze wpatrzy w twarz tej dziewczynki – ciągnął dalej; – dla mnie, ta twarz, taka niewinna i dobra, zarazem święta i dziecinna, uosabia najidealniejszą formę, jaką może przybrać dusza kobieca.

Ninka na obraz patrzyła z zajęciem i czuła, że ją wzruszają słowa Tenczyńskiego.

– Przecudna! Dobra i święta, toteż poszła na męczeństwo, na chwałę Bożą, bo jej szkoda było dla świata. Ludzie ówczesni stracili bardzo wiele.

– Tak pani sądzi? A mnie się wydaje wprost przeciwnie. Nawet pewny jestem, że święta

Agnieszka nie byłaby życiem swoim, które przeszłoby niepostrzeżone, oddała drugim tyle przysług, ile świętością i męczeństwem, przygotowując swoim przykładem, wespół z wielu innymi, cały zastęp tych późniejszych Świętych, które czują, myślą i cierpią... za odkupienie i zbawienie lubiących się bawić grzeszników.

Tenczyński ostatnie słowa wymówił z uśmiechem; chciał przypomnieć jej pierwszą ich rozmowę i uwagi, które wtedy wypowiedział.

Ninka była uszczęśliwioną, czuła w jego słowach uznanie i zrozumienie jej myśli i dążeń.

– Nie przypuszczałam, że Święte mają w panu wyznawcę tak gorliwego – zauważyła.

Wogóle Tenczyński zaczynał być dla niej niezrozumiałym, przypomniawszy sobie bowiem z ubiegłych dni różne szczegóły zachowania się jego względem pani Julii i różne zdania głośno wypowiedziane, nie mające z zamiłowaniem do świętości nic wspólnego.

Tenczyński znów się uśmiechnął i rzekł z widocznym odcieniem szczerości:

– Widzi pani, każdy człowiek z tego, co go otacza na świecie, wybiera to, co mu się wydaje najpiękniejszym i najlepszym, to stawia na jakiejś wysokości i uważa za swoje bożyszczce, za najdoskonalszy wyraz stworzenia. Bożyszczem na ołtarzu moich pojęć jest kobieta dobra i cnotliwa. Ludzie bez stawiania ołtarzy żyćby nie mogli.

Ninkę słowa Tenczyńskiego w zachwyt wprowadziły. Byłaby go z przyjemnością wzięła za rękę, uśmiechnęła się i z zapalem powiedziała:

„A ja na ołtarzu moich pojęć ciebie postawię, za to, że rozumiesz to, co jest piękne i dobre, za to, że uznajesz i szanujesz to, co jest moim ideałem i dążeniem, i za to... że masz uśmiechy tak zdradzieckie i czarujące, jakich nigdy przedtem u nikogo nie widziałam.”

Ale milczała, słuchała tylko objaśnień Tenczyńskiego, dotyczących się obrazów i malarzy.

Byłaby mocno zdziwioną, gdyby jej był kto powiedział, że jeżeliby Tenczyński chciał swoje rozumowanie do końca konsekwentnie doprowadzić, według tego, jak zwykle myślał i postępował, musiałby ciągnąć mniej więcej w sens następujący:

„Rozumiem, przyznając rację bytu i schylam czoło przed cnotą i dobrocią, ale w kwestiach tych wolę zachować stanowisko dyletanta, który, obejmując rozumem wiele dróg i celów, wskazanych przez wielkich i szlachetnych, te tylko wybiera dla własnego zastosowania i użytku, które są dogodniejsze i bardziej przyjemne. A jeżeli dobrą i cnotliwą kobietę postawi na ołtarzu czci i szacunku, to ją wnet zostawi w spokoju, a pójdzie za mniej dobrą i mniej cnotliwą, ufny, że tamta nawet pomimo jego nieobecności nie zejdzie ze swego ołtarza.” Przeszli do sali niderlandzkiej. Tenczyński zatrzymał się z uwagą przed obrazem Rembrandta: „Ofiara Manoacha i jego żony.”

– Jakaż siła i groza w wyrazach tych twarzy! – rzekła Ninka, wpatrując się w Rembrandtowskie arcydzieło.

– Dla mnie obraz ten jest potęgą – odrzekł Tenczyński. – Trzeba być prawdziwym artystą, żeby tyle wielkich uczuć uwięzić ha jednej twarzy i umieć je wywołać w umyśle widza. Jest tu i groza na wspomnienie krwawej ofiary całopalenia i siła woli, która ich do tego popchnęła, i wielka jakaś wiara, i ufność w Bogu, na którego cześć palą ofiarę. Ten obraz wzrusza.

Przez długą chwilę przyglądali się malowidłu. Potem Tenczyński, jakby sobie coś nagle przypomniał, oczyma po sali powiódł, a na twarzy jego odbiło się pewne zniecierpliwienie.

Gdzie się podziała pani Julia? Złość go naraz ogarnęła za to, że go zaniedbuje i zdaje się nie dbać o jego towarzystwo. A że wszystko kończyło się ironicznym uśmiechem i uwagą odpowiednią, spojrzawszy na obraz, jakby się chciał na nim zemścić za kaprysy pani Julii.

Po chwili obserwacji, zauważywszy, że Tenczyński oczyma szuka pani Julii, a nie widząc jej, w ironii daje ujście swojemu niezadowoleniu, rzekła nieśmiało:

– Zdaje mi się, że pan należy do tych ludzi, którzy przez zwyczaj i względne otoczenie śmieją się głośno z tego, przed czym zginają kolana po cichu i w głębi serca.

Nie przypuszczała, że w jej intuicyjnej uwadze mieści się określenie całej duchowej istoty Tenczyńskiego.

Tenczyńskiemu podobało się to określenie.

„Ta mała wcale nie jest głupia” – pomyślał sobie, a głośno dodał:

– Posiadasz pani dar przeczuwania. Czy potrafiłaby pani przeczuć tak samo, gdzie obecnie znajduje się pani Julia? Powinniśmy się na nią obrazić, tak nas nieparlamentarnie opuściła.

– Pewno jest w sali włoskich mistrzów – rzekła chłodno; – mówiła mi, że najlepiej lubi włoskie obrazy.

Ale pani Julii nie trzeba było szukać tak daleko. Za ledwie weszli na schody, prowadzące do okrągłej rotundy z gobelinami, skąd było zejście do włoskiej sali, zobaczyli ją i Maryańskiego, siedzących w tej rotundzie. Sami byli, zajęci rozmową, nie zważając wcale na zwieszające się wokół nich prześliczne gobeliny. Tenczyński na ostatnim już stopniu nogę stawiał, gdy ujrzał naraz, jak Maryański rękę pani Julii do ust podniósł. Coś się w nim zaburzyło i zatrzęsło, a przez myśl przebiegły następująco słowa:

„Ten idyota do reszty zgłupiał i już mu się zupełnie w głowie przewróciło.”

Przyśpieszył kroku, Ninkę we drzwiach wyprzedził i znalazł się niespodzianie przy rozmawiającej parze. Nie pytając się, wziął pod rękę panią Julię, przycisnąwszy dość silnie, zmusił do powstania, i rzekł tonem, nawpół uprzejmym, a nawpół szorstkim:

– Jeżeli się pani wcale obrazami nie zajmuje, warto przynajmniej dla Madonny Sykstyńskiej zrobić wyjątek – i zwrócił się szybko w stronę Rafaelowskiego gabinetu.

Maryański i Ninka poszli za nimi. Maryański uśmiechał się i myślał, że tam „coś” być musi, a ten wspólny pobyt w Dreźnie nie pochodzi chyba z samego tylko przypadku. Ninka zaś zaczęła dostrzegać wyraźniej sympatyę między panią Julią a Tenczyńskim. Doznała wrażenia, jakby się jej działa jakaś krzywda, jakby jej zabierano jakiś przedmiot, którego formy i nazwy niezdolną była określić, jakby się ktoś zaśmiał krzykliwym i ochrypłym dysonansem, nie tylko uszy szarpiąc boleśnie, ale jeszcze i głębiej odbijając fałszywe echo, słowem – ogarnęły ją jakieś nieokreślone uczucia smutku i żalości, dla których nie miała jeszcze nazwy, ani ich dokładnego zrozumienia.

Pani Julia i Tenczyński znacznie tamtych wyprzedzili.

– Za cóż to Maryański tak serdecznie pani dziękował? – spytał z oznaką złego humoru.

Podobało jej się znalezienie Tenczyńskiego. Dał jej do zrozumienia, że nikomu w drogę wchodzić sobie nie pozwoli i zabierać praw, których ostatecznie on sam jeszcze nie posiadał. To też pani Julia, lubiąca swoim pokornym wielbicielom wchodzić na głowę i niebaczna na zmysł czucia, wyrabiać tam różne harce fantastyczne, spokorniała nagle i rzekła z przymileniem:

– Pozwoliłam mu się w Warszawie odwiedzać, i to go wprawilo w taki zachwyt. Silił się, aby mnie bawić, ale ja tymczasem o panu ciągle myślałam, i przykro mi było, że pan zupełnie nie troszczy się już o mnie.

Dużo było osób w gabinecie Madonny Sykstyńskiej, przeważnie Amerykanów i Anglików, zajętych podkreślaniami w Bedeckerach ustępów, Madonnie poświęconych.

To samo uczynił i Maryański, będąc wyłącznie zajęty panią Julią i Tenczyńskim. „Tam coś jest” – myślał ciągle i dalej w następstwie kombinował sobie, że jeżeli rzeczywiście tam „coś jest,” to on, jako świadomy rzeczy, powinien czuć, i jeżeli nadarzy się sposobność, zużytkować dla siebie tę tajemnicę. Miał ciągle na myśli swoje „postawienie się” w stosunkach towarzyskich. Posiadanie tego sekretu mogło go zbliżyć więcej do Tenczyńskiego, z którym zażyłość, ze względu na jego znaczny majątek i nazwisko, miała także swoje znaczenie.

Nie podoba mi się taka ciemna karnacya ciała – rzekła pani Julia. – Ta Madonna wygląda jak nieumyta.

Tenczyński nie patrzył na Madonnę; ale na panią Julię.

Ninka była smutna, rzuciła na obraz spojrzenie zupełnie obojętne.

Nie spodziewała się wielu wrażeń, a jednak doznała dziwnego wzruszenia, gdy stamtąd, z

tego obrazu spojrzwały na nią oczy jakby żywe a precudne, zajrzały do głębi serca i myśli. Zdawało jej się, że dusza jej bratnia, tak samo smutna, patrzy na nią temi oczyma.

Wrażenie to jednak trwało zaledwie kilka sekund, pani Julia bowiem, wypowiedziawszy o Madonnie powyższe spostrzeżenie, wyszła do sali sąsiedniej. Twierdziła, iż taka moc obrazów miażdży jej nerwy swoją ilością i wielkością, zatem czas wrócić do domu i dobrem śniadaniem pokrzepić siły nadwątlone.

Ninka obiecywała sobie, że tu niezadługo powróci, aby się przyjrzeć lepiej tej Madonnie legendowej, której oczy głębokie, smutne a dobre, szły za nią, jak wspomnienie jakiegoś idealnego objawienia, jak żywa istota, rozumna, kochająca.

„Cała rzecz w tem, że jestem niemądra, a przytem egoistka i zazdrosna, zarozumiała i zawistna.”

Powyższe komplementa Ninka powtarzała sobie uporczywie przez cały dzień następny, chcąc znaleźć wytłumaczenie swoich uczuć bolesnych i jakby dotkniętych do żywego widokiem gorącej sympatii, panującej między panią Julią, a Tenczyńskim.

„Opanowały mnie niskie, ziemskie uczucia. Chciałabym, żeby wszystkich oczy na mnie jedną były zwrócone; zdawało mi się w mojej zarozumiałości, że to będzie zupełnie naturalne, a gdy jest przeciwnie, kiedy ktoś ode mnie godniejszy i piękniejszy wyróżnia się i górę bierze, zdaje mi się, że mnie spotyka jakaś krzywda osobista, a tymczasem to tylko moja miłość własna i pycha na próbę były wystawione, ja zaś niegodna, zamiast zapanować nad moimi niskimi uczuciami, brudzę sobie serce jakąś goryczą i smutkiem.”

Zdawało jej się, że zarzuty te są trafne i logiczne, że powinny odwrócić jej myśli od tego dziwnego przygnębienia, o którym powtarzała sobie, że jest bezzasadne i ubliżające; myślała, że argumentami tymi powróci sobie dawny spokój umysłu, niezmacony żadną burzą uczucia, ani nieznanem wstrząśnieniem serdecznem; że przestanie zajmować się sympatią tamtych dwojga, że niepokojące wspomnienie Tenczyńskiego ustąpić powinno z myśli i zasunąć się powoli w niepamięć obojętną.

Ale tymczasem tak nie było. Smutek, nazwany raną pychy i zazdrości, nie ustępował z myśli, zajętych bezustannie tym samym przedmiotem, ścisnął jej serce w obecności Tenczyńskiego i pani Julii i rósł prawie z każdą godziną, z Tenczyńskim spędzoną, który, jakby na urąganie, myśli jej i uczucia przykuwał do siebie coraz więcej.

Spartańskie Ninki pojęcia o bezpretensjonalnym, skromnym ubiorze, uległy pewnej zmianie. Ulubiona dawniej gładka czarna suknia rozkoszowała się spoczynkiem w głębi szafy, a niebieska z koronkami widywała teraz codziennie wieczorem światło lampy. Znalazł się również powód do usprawiedliwienia tej większej w toaletach staranności. Przypomniała sobie Ninka twierdzenie Tenczyńskiego, że kobieta, nie umiejąca się ładnie ubrać, zdradza małą inteligencję i brak sprytu. Nie mogła się przecież na to narazić, aby ją uważano za jakąś ograniczoną gąskę i bezmyślną.

Ninka, od czasu poznania pani Julii, wszystkie prawie godziny dnia miała wypełnione jej towarzystwem. Kiedy panowie byli zajęci naradami i przeglądaniem jakichś papierów, przez Maryańskiego przywiezionych, panie wędrowały po muzeach i używały w odkrytym powozie zamiejskich spacerów.

Nareszcie projekt wielkiego pieca w Zaleszynie należycie rozważono. Tenczyński i Maryański do kraju się już wybierali.

Stało na tem, że towarzyszyć będą w podróży pani Julii, która także na wyścigi zdążyła do Warszawy.

Ostatniego dnia przed wyjazdem, pani Julia, wszedłszy do mieszkania pani Tenczyńskiej po jakiejś z Ninka na miasto wycieczce, rzekła, śmiejąc się, do tych panów, czekających jej powrotu:

– Nie. Panna Janina warta jest, żeby ją jak dziwowisko w ramki oprawiono. Niech państwo sobie wyobrażą, że jeszcze nigdy w życiu nie była na operze. Otóż dziś, wszyscy, dla miłości

panny Janiny, pójdziemy we czworo do teatru. Doskonała sposobność, bo dają „Fausta.”

Długo się nie namyślano, gdy wieczór nadszedł, Maryańskiego posłano po bilety, a panie tymczasem zajęły się toaletą.

Ninka była w doskonałym humorze; teatr jej ogromnie się podobał, przyglądała się wszystkiemu z wielkim zajęciem.

W łoży Maryański usiadł obok niej i dawał jakieś objaśnienia; Tenczyński tymczasem nachylił się do pani Julii:

– Mam do pani prośbę... – rzekł półgłosem.

– Pan?... Czyż pan potrafiłby zniżyć się do prośby? Myślałam, że pan tylko tych rzeczy pragnie, które sobie prawem kaduka, bez proszenia, można przywłaszczyć. A jeśli odmówię? – mówiła z uśmiechem, myśląc o różnych drobnych szczegółach jego postępowania, mających na celu zagarnięcie nad nią panowania, w sposób dosyć despotyczny i zuchwały.

– Są prośby – rzekł – które odmowę wykluczają, gdyż zbyt wielką robią przyjemność tym, do których się stosują.

Pani Julia pytała oczyma o treść tej prośby, niepewna i ciekawa, czy wypadnie jej obrazie się, czy też spełnić jego życzenie.

– To wielka drobnostka. Chciałbym, żeby pani nie patrzała tak bezustannie na scenę, ale zwracała się czasem w moją stronę, żebym mógł mieć na chwilę przed oczyma profil pani. Niczego mi więcej nie potrzeba tego wieczoru dla mojej przyjemności. Jeżeli nie spodziewam się odmowy, to dlatego, że wiem, iż każdemu robi to wiele przyjemności, gdy mu się ktoś przypatruje z zajęciem i... i... zachwytem.

– Może dla mnie zachwyt pana nie będzie przyjemnością i odmówię.. – rzekła z kokieterią pani Julia.

– Nie odmówi pani.

– Czy pan jest tego bardzo pewny?

– Będę mówił takie ładne i zajmujące rzeczy, że się pani mimowoli ku mnie odwróci i nachyli,

– Niewiadomo, czy słowa pana byłyby ładne i zajmujące. Co za zarozumiałość!

– Są argumenty, których każda kobieta bez wyjątku słucha z zajęciem.

– Pana pewność siebie i lekki sąd o kobietach wyprowadzić mogą z ostatnich granic cierpliwości. Doznałabym prawdziwej przyjemności, gdybym mogła wachlarz na pana złamać.

– Byłoby to narzucenie swego zdania „prawem kaduka.”

Pani Julia lubiła u niego ten ton ironiczny. Wogóle ostatnimi dniami zapatrywania jej, tyczące się Tenczyńskiego, ulegały pewnej powolnej zmianie.

Nawpół jeszcze nieświadomie nabierała przekonania, że ma on nad nią większy wpływ, aniżeli początkowo przypuszczała, że uczucie jego jest jakieś niebezpieczne a wabiące, nie uniżone i błagające zlitowania, ale oparte na silnej woli, która ma urok swój odrębny, zawrotliwy i drażniący.

Przedstawienie tymczasem było już rozpoczęte, Ninka była zapatrzona i zasłuchana.

Muzyka ją rozrzewniała i podniecała. Doznawała wrażenia, jakby każdy smętniejszy zwrot melodyjny znajdował na jej nerwach ton odpowiedni a bolesny, ilustrował jej własne nieokreślone roztkliwienie, podsuwając różne spostrzeżenia i porównania. Zdawało jej się, że widzi w Małgorzacie duszę bratnią. I tamta z czystymi myślami i sercem wychodziła z Bożego przybytku, oczy miała w dół spuszczone i spokojne, chyba tylko wzrokiem duszy szukała światłości dobra i cnoty – tymczasem szatan pokusę przed nią postawił, rozdmuchał żary i wichry walk wewnętrznych, a gdzie będzie ich koniec i kres?...

I jej się zdawało, że na życiową wędrówkę do udoskonalenia i dobra wstąpiła ze spokojem i ufnością, kiedy niespodzianie, po kilkodniowym zetknięciu się z ludźmi obcymi, zamęt dziwny powstał w jej myślach, i jakiś szatan z rysami i głosem Tenczyńskiego oddalał ją od

życia pełnego duchowej równowagi, odbierał chęć do zajęć, cudze dobro a osobistą zasługę mających na celu, rozbudzał jakieś uczucie gwałtowne i nieznanne, cechujące ziemskie słabostki i zawiści. Co to jest?... Gdzie spokój myśli, który się jej do osiągnięcia tak łatwym zdawał? Gdzie się podziało jej zamiłowanie cierpienia i postanowienie pracy dla przyszłości zagrobowej, jeżeli ją opanowały marzenia o jakimś ziemskim szczęściu i radości? Chyba szatan zsyła jej te myśli na pokusę i udręczenie.... Następstwem pokusy musi być walka, a wrażliwy umysł Ninki drżał przed próbą i wysiłkiem!

Podczas jednej ze scen końcowych, kiedy Małgorzata walczy z Faustem i nie pozwala mu się wciągnąć do piekła, pani Julia odwróciła się do Tenczyńskiego i rzekła półgłosem:

– Ona go prawdziwie nie kochała W miłości nie rozumuje się, ale idzie naoślep... A pan czyby ze mną poszedł do piekła? – dodała nagle z dziwnym uśmiechem.

– Poszedłbym, bo gdzie pani jest, niema piekła. Ale żądałbym w nagrodę chociażby jednego uśmiechu.

– Lepiej nic nie żądać, bo może moja wspaniałomyślność byłaby większą, niż pana żądanie...

Powiedziała to z uśmiechem zagadkowym i znów odwróciła się do sceny. W loży przez ten czas nikt nie rozmawiał, i słowa ich, choć półgłosem wymawiane, doszły wyraźnie do uszu Ninki.

Coś ją ścisnęło za serce i za gardło; myślała, że to współczucie dla biednej, nieszczęśliwej Małgorzaty.

Tymczasem muzyka ozwała się rytmicznymi tonami marsza i nadeszła ostatnia scena przedstawienia.

Czysta i biała dusza Małgorzaty unosiła się pod skrzydłem anioła w niebieskie przestworza, do stóp Boga, po uspokojenie i nagrodę.

Nince zdawało się, że doznaje lekkiej otuchy. Przecież nawet i na scenie nie zawodzi ufność w skrzydło opiekuńcze i w spokój, choć oddalony, ale istniejący!

Przedstawienie się skończyło, wszyscy opuszczali swoje miejsca.

– A teraz proszę państwa do mnie na herbatę – rzekła pani Julia, – pannę Janinę po herbacie dopiero odwieziemy pani Tenczyńskiej....

Ninka się nie opierała i pojechała do hotelu. Pani Julia kazała podać herbatę, a zainstalowawszy się wygodnie na kanapie, pytała się Ninki o wrażenia, z teatru wyniesione. Tenczyński był zamyślony.

– Panu Tenczyńskiemu czegoś w Dreźnie brakuje – rzekła pani Julia; – czy czasem nie zielonego stolika, nicejskiego towarzysza godzin wieczornych?

Trochę w tem było złośliwej aluzji do jego zamiłowania w grach hazardownych, któremu, podczas pobytu w Nizy, dawał szerokie i dość rozgłośne ujście.

– Rzeczywiście, – odrzekł – grałbym dzisiaj z wielką przyjemnością.

– Nie radziłabym. *Vous savez le proverbe. Malheureux en jeu...* – i pani Julia z zalotnym uśmiechem przechyliła się w jego stronę, oczyma dopowiadając koniec przysłowia.

– Czy pan pamięta wtedy w kasynie nicejskiem, kiedy pan grał na złość złej *veine*'ie, a ja ciągle mówiłam, że pan przegra?

– Pamiętam, że pani uśmiechała się wtedy łaskawie, i nie żałuję wcale tych przegranych czterdziestu tysięcy.

Ninka, która więcej uważała na słowa Tenczyńskiego, aniżeli na to, co jej Maryański opowiadał, skoczyła na te słowa i spytała ze zdumieniem:

– Jakto? I pan przegrał taką masę pieniędzy? Czyż to istnieją takie gry? To grzech podobno hazardować sumy tak wielkie!

Wszyscy śmieli się głośno ze zgorszenia Ninki. Jej zaś szybko stanęły w pamięci rozmaite szczegóły, zasłyszane i przeczytane o ludziach, którzy mienie na karty tracą, których pobożni piętnują mianem grzeszników, gubiących siebie i rodziny.

Jakto? Ten Tenczyński, pełen uroku, który rozumiał tyle uczuć pięknych, myśli jej czarował i marzenia budził, – ten Tenczyński byłby potępienia godnym szulerem, tracącym jednym odkryciem karty sumy ogromne, któremi można tysiącom nieszczęśliwych ły obetrzeć?

– Proszę, bardzo proszę, niech mnie pani nie posyła jeszcze na dno piekła; nie należę wcale do najgorszego gatunku graczy. Widzi pani, to jest taka sama zabawa, jak i każda inna, i tak samo, jak i za inne, płacić trzeba. Kto inny znajduje przyjemność w koniach, w podróżach, w kolekcjonowaniu lub też ubraniu, ja zaś – w hazardzie, na który poświęcam sobie z rocznego dochodu pewną sumę oznaczoną. Jeżeli ją przegram, do końca roku kart do ręki nie biorę i jestem w porządku z kieszenią i sobą samym. Częściej jednak więcej mam do przegrania, niż to, co z dochodu na to przeznaczam, gdyż także poświęcam na ten cel wszystkie wygrane.

Rozumowanie to miało swoją logikę, i Ninka, zawsze łatwowierna i ulegająca wpływom, rozbroiła się trochę względem hazardujących i hazardu, mając jednak jakieś przecucie, którego jeszcze wyrazić nie umiała, że zgubne są i złe te zabawki, które podniecają ludzkie namiętności i grają na ich strunach.

– Ja adoruję hazard! – rzekła z przejęciem pani Julia. – Czasem urządzam u siebie w Warszawie niewinnego baczka, w tym małym moim buduaru. Robię to jednak w wielkim sekrecie przed starszemi paniami, niemożliwemi zwykle purytankami, którym zawsze zostawiam na pastwę duży salon oficjalny. To tak zabawnie broić w sekrecie pod bokiem tych pań i hazardować, udając, że się pasyansa stawia, lub gra w garybaldkę albo quick'a!

– Powracając do hazardu – rzekł Maryański, który chciał poznać dokładnie zapatrywania Tenczyńskiego – czy pan zawsze siada do gry z ludźmi, o których pan wie, że przegranie sumy, dla pana drobnostką będącej, nie doprowadzi ich do ruiny i krytycznego położenia?

– Nie jestem niczym opiekunem, ani gubernierem i nie zmuszam nikogo, by mi placu dotrzymywał. Sam dla siebie szukam rozrywki, a jeżeli ktoś przy tej sposobności okazuje lekkomyślność i słabość charakteru, nie mogę być za to odpowiedzialnym. Mam dla takich lekceważenie i litość, ale im gry nie odmawiam. Wolna każdemu wola.

– Ale jest pan złym przykładem i pokusą – rzekła żywo Ninka; – grzeszy pan przez uczestnictwo w nierozważnym postępku.

Mocno się zaczerwieniła, gdyż zlekła się śmiałości swego wystąpienia. Wszyscy się znowu śmieli, a pani Julia rzekła żartobliwie:

– Brawo! klasztorna panienczko! Jesteś pani stworzona na misyonarkę. I ja w zupełności podzielam zdanie pani, ale mimo to, jak się sposobność trafi, zawsze będę hazardowała. Czasem sobie naumyślnie pozwalam na małe grzeszki, żeby później nie być w kłopotcie na Wielkanoc i mieć się z czego wypowiedzieć. Po herbacie Ninkę odprowadzono. Na ulicach było pusto, powietrze było ciepłe i spokojne.

– Niech pan Władysław idzie z panną Janiną i naprawi zgorszenie, jakiego był przyczyną – rzekła pani Julia, która chciała Maryańskiemu powiedzieć tymczasem trochę uprzejmości dla zatarcia w jego pamięci kilku swoich spojrzeń i uśmiechów bardzo śmiałych, tego wieczoru do Tenczyńskiego skierowanych. Tenczyński podał ramię Nince i szli razem.

– Gzy panią rzeczywiście zgorszyła ta wiadomość, że jestem miłośnikiem hazardu? Czy rzeczywiście pani potępiłaby mnie za to, że lubię uprzyjemniać sobie życie?

– Bałabym się takich przyjemności. Zdaje mi się, że wrażenie przy grze hazardowej musi być tak silne, że pewno więcej męczy, aniżeli zadowala.

Ogarnęła ją jakaś pobłażliwość dla Tenczyńskiego; zdawało się jej, że to, co on czyni i mówi, powinno być zawsze dobre i słuszne, i że w tej ich obecnej rozmowie, wśród ciszy wieczoru i odosobnienia, idąc tak we dwoje obok siebie, głos jego przybiera odcienie miękkie i łagodne, jakby stworzone tylko dla wyrazów dobrych, serdecznych i tkliwych, kołyszących myśli do marzenia rozkosznego.

– Widzi pani, – mówił do niej – według mnie, człowiek wtedy tylko żyje prawdziwie, kiedy odbiera wrażenia, czasem rzeczywiście są one tak silne, że jak narkotyk sprawiają zawrót i omdlenie, ale w tym właśnie jest cała rozkosz.

Dziwnem wydało się Nince to rozumowanie. Pierwszy raz słyszała, żeby ktoś cel życia zakładał na pogoni za wrażeniami i cenił wartość jego według ich ilości. Ale tłómaczyła sobie, że myśli Tenczyńskiego chyba tylko chwilowo zatrzymują się na tem dziwnem i czczem rozumowaniu, że gdyby ktoś bardzo kochający objął go ramieniem i dobierając słów przekonywających, jak to umieją czynić ci, którzy kochają, powiedział, że szkoda marnować życie na taką błahą pogoń, bo ono nam dane, aby ducha doskonalić w jego walkach i zanieść potem jak dyament czystym i szlachetnym w lepsze światy, – toby przecież umysł jego, rozumiejący dobro i piękno, dostrzegł i objął ten wielki i szeroki horyzont myśli i skierował się do pracy na tem polu.

Ninka jednak nic nie mówiła, czuła się nieśmiałą, jak nigdy jeszcze przedtem, odurzona głosem Tenczyńskiego.

– Suma wrażeń przyjemnych, które się przyjmuje ze spokojnym uśmiechem zadowolenia, jest tak ograniczoną, że trzeba dla różnaitości szukać rozrywki we wrażeniach, które na pozór przykre mi się wydają. Jak dla mnie, to nawet emocya, doznana przy przegraniu w karty, jest pewnem przyjemnem wrażeniem. Samo wzruszenie stanowi przyjemność, o jego zaś źródle i skutkach nie warto myśleć. Znałem naprzykład pewną kobietę z bardzo subtelnymi nerwami, która zawsze twierdziła, że płacz robi jej wielką przyjemność, że może płakać bez żadnej przyczyny i bez powodu: ot, tak sobie.

– To mi się wydaje chorobliwem i nienaturalnem – odważyła się zawyrokować Ninka.

Zatrzymano się tymczasem, gdyż już stano przed drzwiami willi pani Tenczyńskiej.

Nince zdawało się, że szła zaledwie kilka sekund.

– Dobranoc, zobaczymy się zatem jutro na kolei; niech pani nie zaśpi, musimy się jeszcze raz pożegnać – rzekła pani Julia. – A niech się pani Mefisto nie przyśni.

Drzwi otworzono. Ninka weszła do przedpokoju, a tamci odeszli.

Bardzo wolno szła na górę, doznawała wrażenia, jakby ją ktoś ze snu przebudził, i żał jej się zrobiło, że dalej nie śni.

Przechodząc koło sypialnego pokoju pani Tenczyńskiej, zauważyła światło i przez szklane mleczne drzwi, na korytarz prowadzące, niewyraźną sylwetkę ciotki, przy biurku siedzącej. Zaniepokojona, czemu pani Tenczyńska jeszcze nie śpi, weszła i spytała ją troskliwie o przyczynę tak długiego czuwania.

– A! To ty, Ninko? Dobrze, żeś przyszła-O tobie właśnie myślałam. Siądź, moje dziecko, pogawędzimy trochę.

Ninka była rada zaproszeniu i rozmowie; przeczuwała, że gdyby się zaraz znalazła u siebie, smutne myśli by ją opadły w samotności i rozmarzeniu, wywołane rozmową z Tenczyńskim.

– Moja Ninko, jutro, jak pójdziesz na banhof pożegnać się z panią Nessel, to oddasz ten list, który teraz właśnie piszę, Maryańskiemu. Jest to list do jego ojca. Ani się domyślasz – tu pani Tenczyńska znacząco się uśmiechnęła – że w tym liście o tobie jest tylko mowa.

– O mnie, ciociu?

– Tak, ale nie rób takich wielkich oczu, Ninko. Dobrze, żeś weszła do mnie, to odrazu dzisiaj, a nie jutro rano, jak miałam zamiar, pomówię z tobą o tem, co napisałam. Żałuję bardzo, że stary Maryański sam tym razem do Drezna nie przyjechał, byłabym z nim wszystko ustnie omówiła; z młodym niepodobna. Dla tego też, choć *a contre-coeur*, muszę się listem posłużyć. Tak, moje dziecko, o tobie tam jest tylko mowa, ponieważ już jesteś panną dorosłą, o której przyszłości, nam starszym myśleć wypada. Mówię z tobą otwarcie i poważnie. Chciałabym, żebyś się na życie zdrowo zapatrywała, a nie urabiała sobie pojęć według jakichś rojeń pensyonarskich, wypływających z nieświadomości i braku

doświadczenia. Posłuchaj mnie, moje dziecko. Nie jesteś bogatą, bo twoje trzydzieści tysięcy rubli, w stosunkach, w jakich się obracasz, nie są posagiem, więc zamażpójście łatwym dla ciebie nie będzie. Trzeba zatem, ile można, korzystać z lat młodych, bywać w świecie i ustalić się, jeżeli trafi się partya odpowiednia. Tutaj, u mnie mogłabyś przez całe lata nikogo obcego nie zobaczyć. Piszę zatem do Maryańskiego, ażeby cię zabrał do Warszawy na karnawał. Oni są wszędzie dobrze widziani i szanowani, bardzo dobre mają, stosunki i dużo bywają; opiece ich mogę cię powierzyć z całą ufnością.

Ninkę za gardło coś ścisnęło, nie wiedzieć dlaczego. Tenczyński stanął w jej pamięci, i złękła się planów ciotki.

– Ciociu, – rzekła nieśmiało – nie mam wielkiej ochoty tak prędko za męża wychodzić. Nie wiem czemu, ale ja się boję zamażpójścia.

– Urojenia! – i pani Tenczyńska lekceważąco ręką ruszyła. – Powtarzam ci, moje dziecko, że na wszelkie urojenia zważać nie trzeba, ale korzystać z młodości, która zawsze ma swój urok. Z każdym rokiem będzie ci trudniej z zamażpójściem.

Ninkę upokarzała ta kombinacja.

– Moja droga ciociu, – rzekła ze łzami w głosie – niech ciocia pozwoli mi jak najdłużej przy sobie pozostawać. Chciałabym być cioci w czemkolwiek użyteczną, rozerwać może czasem moim towarzystwem... Chciałabym teraz choć trochę żyć dla drogiej cioci... A co do mojej przyszłości, to tam kiedy później dość czasu będzie myśleć o tem. Tak, teraz, na tę chwilę będę najszczęśliwszą, jeżeli będę z ciocią i dla cioci... Proszę pozwolić, bardzo proszę... moja droga ciociu...

I Ninka przechyliła się trochę ku pani Tenczyńskiej, jakby wyczekując, aby ją do siebie przygarnęła i uścisnęła. Dusza jej się rwała do serdeczności i jakiegoś ramienia, któreby ją objęło czule i pieszczotliwie, bo potrzeba jej było, dziś właśnie wyjątkowo, więcej ciepła i uczucia, oddawała tedy siebie i serce ciotce, jedynej istocie blizkiej sobie; ale była zbyt nieśmiała i lękliwa, aby miała pierwsza, bez zachęty zbliżyć się z oznaką serdeczności; wołała czekać, czy ofiara jej będzie przyjęta.

Pani Tenczyńska tymczasem mitenki na rękę poprawiała i odrzekła ze zwykłą sobie obojętną uprzejmością:

– Dobre jesteś dziecko, moja Ninko, i szlachetne masz porywy, ale ja z twojego poświęcenia nie chcę korzystać; byłoby to egoizmem z mojej strony. I ty, moje dziecko, mną się nie krępuj, gdyż towarzystwo mojej *dame de compagnie*, która lada dzień powróci ze swoich wakacji, najzupełniej mi wystarczy. Ona zna oddawna moje usposobienie i nawyknięcia, a w moim wieku przyzwyczajenie najgłówniejszą gra rolę w trybie życia. Dziękuję ci, moje dziecko, za twoje dobre chęci, ale mam sobie za obowiązek przede wszystkim twoją przyszłość mieć na względzie.

Ninka wyprostowała się napowrót. Z twarzy jej znikł wyraz serdecznego wylania; była jak mimoza, która za najłżejszym powiewem zimnego wiatru, listki swe zwija, i, jakby zraniona tem muśnięciem, składa je na dnie swego wrażliwego kielicha.

Nie zrozumiały się. Jej ofiarę z serca i przywiązania pani Tenczyńska wzięła za poświęcenie; nie zrozumiała, że Ninka rwie się do uczucia i prosi o nie, aby mózgiem na niem oprzeć w zaufaniu swoje serce.

– Każda inna panna na twoim miejscu skakałaby z radości, że się trochę zabawi i ludzi pozna, a ty tak wyglądasz, jakby cię spotkało coś bardzo niemiłego.

– Nie wiem czemu, ale do wszelkich zabaw nie czuję najmniejszej ochoty, to zaś, co wszyscy uważają za zwykłe i naturalne, mnie się zawsze wydaje dziwnem i niezrozumiałem. Jeżeli to cioci nie zrobi różnicy, to bardzo, bardzobym prosiła, żeby tego listu nie posyłać jeszcze. Przecież to można przez pocztę uczynić w każdej chwili, a chciałabym tymczasem rozważyć to wszystko, co mi dziś ciocia powiedziała.

– Dobrze, jeżeli ci na tem tak zależy. Jesteś rozpieszczone dziecko, moja Ninko, robisz ze

mną, co ci się tylko podoba – dodała z uśmiechem pani Tenczyńska.

– Dziękuję cioci.

– A teraz dobranoc. Już późno, wyśpij się dobrze, żebyś jutro z niewywczasu sińców pod oczyma nie miała.

Ninka ciotkę w rękę pocałowała i poszła do siebie.

Ale tej nocy sen jej nie dopisywał. Tenczyński co chwila stawał jej w pamięci, przypominała sobie, jak on w lot zawsze zgadywał jej myśli, i choć ich czasem do końca nie dopowiadała, wiedział, jaką jej dać odpowiedź i objaśnienie.

Kiedy się położyła i oczy zamknęła, zdawało się jej, że ta otaczająca ją ciemność jest jakimś morzem czarnem a straszem, którego fala unosi ją w dal pustą, ciemną i samotną, a na brzegu, wśród światła i zieleni, zostają pani Julia i Tenczyński, złączeni w miłosnym uścisku.

Ciężko jej było bardzo na tej czarnej, pustej fali, a marzenia przybierały coraz wyraźniejsze kształty. Z ciemnego morza wychodziły ciemne, brzydkie postacie i w głębiny chciały ją wciągnąć, wyszedł Mefisto i wskazując tamtą kochającą się parę, śmiał się szyderczo i złośliwie: Ha! ha! ha! Tak samo śmiał się, kiedy stał w kościele za modlącą się Małgorzatą: Ha! ha! ha! I wszystko tak samo za nim się śmiało: i ciemne morze, i postacie, i pani Tenczyńska, która także wśród nich stała, i Tenczyński, który się od niej odwrócił i szedł za panią Julią, – a ją fala niosła ku jakiejś skale ostrej i samotnej...

Ninka chciała się otrząsnąć z dźwięku tych śmiechów niemiłych, mimowoli siadła na łóżku, i sen na resztę nocy uleciał z jej powiek.

Mizernie też Ninka na drugi dzień wyglądała, kiedy wstawszy rano, pojechała o ósmej na bahnhof w towarzystwie panny służącej.

Przyjechała jeszcze przed przybyciem pani Julii i jej towarzyszków.

Była niespokojna i wzruszona; zdawało się jej, że pożegnanie z Tenczyńskim musi być inne niż z drugimi, że dzień ten, takiego napozór banalnego rozłączenia, jest dla niej decydującym i bardzo ważnym, że z jej duchowej istoty coś zabierze i coś jej zostawi, czego przedtem wcale nie posiadała, a czego dotychczas nie знаła jeszcze nawet z imienia.

Zjawili się nareszcie oczekiwani. Pani Julia miała gustowny kostium podróży, w którym jej bardzo było do twarzy, a jej towarzysze, odpowiednio do okoliczności, wyglądali na bardzo zadowolonych.

– A, panna Janina ranniejszy od nas ptaszek! – rzekła pani Julia po przywitaniu. – Jaka pani pocziwa, że się dla nas poświęciła i wstała tak rano! Ale nasza „panienka z klasztoru” wiedziała dobrze, że mi swoją obecnością zrobi wiele przyjemności.

– Myślałam też i o swojej – dodała Ninka z uśmiechem.

Panowie zajęci byli biletami, oddawaniem rzeczy i lokowaniem panny służącej pani Julii. Pani Julia dalej z Ninka rozmawiała.

– Mam nadzieję, że pani napisze do mnie czasem jakie słówko o sobie. Chyba pani nie wątpi o mojej sympaty i wie, jak mnie interesować będzie każdy o niej szczegół. A proszę mi czasem nie zakochać się nierozsądnie! – tu pani Julia pogroziła jej z uśmiechem. – W ostatecznym razie niech się pani mnie poradzi: jestem starsza i więcej doświadczona.

Ninka śmiała się i obiecała korespondencję.

– Jeszcze mamy dziesięć minut – rzekł Tenczyński, obok niej siadając. – Rzeczy nasze już zaniezione do wagonu, my sami możemy wsiąść dopiero w ostatniej chwili.

Tenczyński czasu nie tracił, nawiązał zaraz z Ninka rozmowę osobistą.

– Wyrzucam sobie, – rzekł z uśmiechem – że takie niekorzystne pojęcie zostawię w pani wspomnieniach. Pociesza mnie to jednak, że może po jakimś czasie, kiedy wrażenia, z klasztoru wyniesione, trochę się zamglą przez oddalenie w pani pamięci i zetrą ostre barwy i kontury, a pani z życiem się obznajmi, to chyba znajdzie się trocha pobłażliwości dla tego grzesznika, który ma odwagę kart się dotykać, nie dbać o umartwienia, a przeciwnie, lubi

bardzo wszelkie przyjemności. Może wtedy i dusza jego wyda się pani nie taką czarną, jak gdyby ją, kto umaczał w atramencie.

Ninka już teraz uśmiechała się pobłaźliwie.

– Nie mogę pozbyć się jednego przekonania, – rzekła – ale niech pan nie gniewa się za to, co powiem. Zdaje mi się, że pan pozuje na gorszego, niż jest w istocie.

– Już drugi raz, choć w innej formie, robi pani to samo spostrzeżenie, a ja drugi raz nie zaprzeczam, może... tylko przez grzeczność, aby innego niż pani nie być zdania.

„Ta mała ma naprawdę umysł subtelny, – myślał sobie – trochę intuicji i mimowolnego przeczuwania drugich wpływającego z wrażliwości. Gdyby istniała kolekcja kobiet, posiadających właściwość mimowolnego przeczuwania tego, do czego inni rozumowaniem dojść nie mogą, to byłby z niej jeden z bardziej obiecujących okazów.”

– Trzeba już koniec położyć bałamuceniu panny Janiny – rzekła z uśmiechem pani Julia: – do wagonu już czas wsiadać.

Żegnano się. Ninka stała jeszcze na peronie i przez okno rozmawiała z panią Julią.

– A niech pani pamięta pisać zawsze do mnie o wszystkim! – rzekła pani Julia.

– Z największą przyjemnością. Do widzenia! Ninka za jej plecami szukała sylwetki Tenczyńskiego, ale on nie patrzył już przez okno: zajęty był zdejmowaniem paltota z pani Julii.

Pociąg ruszył, w oknie stanął Maryański i ostatni ukłon posłał Nince...

– Panienko, może już do domu pojedziemy? – rzekła panna służąca, kiedy pociągu widać już nie było, a Ninka patrzyła za nim jeszcze.

– Możemy pójść piechotą, czas jest prześliczny, a jeszcze jest tak wcześnie, że ciocia nieprędko będzie cię potrzebowała do ubierania.

Do kogoż się ma śpieszyć? – myślała sobie. – Przecież jej nikt nie potrzebuje, nikomu nie jest pożądaną, ani użyteczną. Pani Tenczyńskiej wystarcza towarzystwo *dame de compagnie*, sama j ej to wczoraj powiedziała. Czy wróci wcześniej, czy później, nikt na tem nie ucierpi, nie zatroszczy się, ani zatęskni...

Zdawało się Nince, że to ona gdzieś daleko odjechała, że zostawiła za sobą jakieś przedmioty drogie i bliskie, że jej po nich tęskno i smutno, jakby się oddaliła od całego uroku, jaki miało dla niej życie.

Właśnie przez most przechodziła. Widać było daleki horyzont Elby w obydwóch kierunkach, pełen powietrza i aromatu wiosny, szerokiej przestrzeni, niebieskich konturów gór oddalonych i odbłyśków słońca, łamiących się w falach wody.

Ninka weszła na taras Bruhlowski i usiadła na jednej z ławek. Upajał ją ten wiosenny, słoneczny widok, miała ochotę marzeniom puścić wodze, pomiędzy światłem i zielenością rozpedzić przygnębienie i apatyę.

Uwijały się wokoło niej gromadki dzieci, kilka par młodych stało opartych o baryerkę i gawędzili, zajęci sobą wyłącznie.

Dążenie do życia, radości i swobody zdawało się krążyć w powietrzu, i Ninke ogarnęła naraz jakaś chęć szczęścia i upojenia, a zarazem jakaś tęsknota, splątana ze wspomnieniem Tenczyńskiego. Ale ten wesoły i słoneczny widok Drezna jakoś ją dziwnie odosabniał; nastrój ten nie harmonizował z jej wewnętrznym usposobieniem, nie mogła z nim sympatyzować i doznać ulgi. Jejby potrzeba było teraz jakiejś istoty, która byłaby smutna, tak samo osamotniona i na uboczu, któraby rozumiała, że dusza jej rwie się do szczęścia i przywiązania, do jakiegoś celu dla dążeń i uczucia jej tymczasem smutno, bo niema koło siebie ani uczucia, ani celu, ani równowagi ducha, ani spokoju; bo każdy powiew balsamiczny, bo każdy uśmiech natury i życia, każda melodia muzyki lub fala światłości słonecznej rozbudza w niej tęsknotę, kreśląc, niewiedomo dlaczego, rysy Tenczyńskiego.

Ale... nie... tak źle nie jest... Tam... z krainy jakichś niewyraźnych wspomnień patrzą na nią czyjeś oczy, bardzo smutne, a zdające się czytać w myślach jej i uczuciach...

Czyje to oczy?... I kto na nią patrzył tak, z tym wyrazem?...

A patrzył tak ktoś na nią – oczy te coraz jaśniej rysują się w jej pamięci...

Naraz przypomniała sobie wycieczkę do Galeryi z panią Julią... To Madonna Sykstyńska patrzyła tak na nią z Rafaelowskiego arcydzieła.

Ninka uczyła, że zobaczyć znowu ten obraz byłoby dla niej wielką przyjemnością. Zdawało jej się, że znajdzie tam kogoś bliskiego, kto ją przygarnie w swej dobroci, wskaże drogę do spokoju i równowagi uczuć i umysłu.

Spojrzała na zegarek. Galeryę za kwadrans dopiero otwierano.

Przeczekała ten czas na Bruhlowskim tarasie, a później rzekła do panny służącej:

– Możesz wrócić do domu; będziesz tam pewno potrzebna. Powiedz cioci, że poszłam do Galeryi i że stamtąd wrócę dorożką.

Wchodziła do Galeryi z chwilą otwarcia; sale były zupełnie puste; skierowała się wprost do Madonny.

I tam było pusto; myśleć mogła spokojnie i swobodnie, łączyć swoje uczucia i wrażenia z realnym marzeniem artysty...

Zaczęła się uważnie wpatrywać w malowidło, na które za pierwszej swojej w Galeryi bytności mogła była spojrzeć tylko dorywczo i mimochodem.

I zdawało się jej, że marzenie przybiera kształt rzeczywistości, że naprawdę portyera się rozchyliła, i Marya, na obłoku z Aniołów, z nieba schodzi...

Nie błyszczy jaskrawymi kolorami, ani blaskiem migotliwym, a jednak jasność wokoło niej się roztacza, delikatna i niebiańska, która nie oślepia, ani przestrasza, ale miękkim swoim światłem wabi i ośmiela, rozmarza i nasuwa myśli o nadziemskiej krainie...

Marya stoi, lecz widać, że dopiero w tej chwili z nieba zesłała; suknia jej, jeszcze ruchem rozwiana, nie miała czasu podążyć za nią. Marya i Jezus patrzą na ziemię; patrzą spokojnie, bez zdziwienia, bo im wiadome jest wszystko – i smutek powłókł ich twarze. Jezus zamyślił się poważnie, jakby formułował wyrok sprawiedliwości; lecz ten wyrok surowym nie będzie, twarz zaraz rozjaśnił się gotową miłością, przebaczeniem i miłosierdziem. A choćby był surowy, to go zagładzi prośba Maryi, bo w jej rysach jest całe niebo słodczy i miłości.

I ona z zamyśleniem przyglądała się tłumowi, który w pochodzie życia u jej stóp płynie. Smutno patrzy, a widać w rysach, że jej nieobojętnym jest widok ludzi, rozumie ich dusze, odczuwa bole, nad nieświadomymi się lituje, zaślepionych oświeca, złych nawraca, a wszystkich do siebie przygarnia, bo jej dobroć jest nieograniczona – jak wieczność.

Czyż nie tak Boskość winna być wyobrażaną? Patrząc w rysy Maryi, odchodzisz ze świata, zapominasz o gwarze, małostkach i zabiegach, rozplywasz się w jej Boskim spokoju, nie martwym, ale wypełnionym wielkimi, szlachetnymi uczuciami, które początek mają w Bogu.

Spokój, uczuć pełen, to niebo, ideał. Na ziemi go niema, jak niema ideału. Człowiek może się tylko do niego zbliżyć, ale całkowitego nigdy nie osiągnie.

Skądże więc artysta czerpał wzór i natchnienie do swego dzieła? Chyba tylko z nieba. Gdyby nieba nie było, nie byłoby i natchnienia, bo nie mógł w otoczeniu swoim znaleźć dla obrazu treści i formy.

Do czegoż dusza twoja tęskni, jeżeli nie do nieba, patrząc w rysy Maryi? Patrzy i odchodzi gdzieś daleko, o otoczeniu zapomina, tylko czuje, że jest jej błogo, dobrze i spokojnie, myśl szerokie światy obejmuje, a niema w nich. dysonansu, ostrej barwy ani tonu, ani niskiego uczucia, ani wspomnienia padołu łez...

Ninka wciąż patrzyła na Madonnę. I zdawało jej się, że oczy Maryi są coraz słodsze, że przyjmuje z uśmiechem ofiarę z jej ufności i zachwytu. A kiedy na chwilę oczy w inną odwróciła stronę, to jej się żal zrobiło, że się znowu na ziemi znalazła. Ale Madonna patrzyła na nią ciągle, zawsze gotowa przyjąć ją w swoim Królestwie, wciąż jednakowo dobra, miłosierna i spokojna.

Czas mijał, a jej dobrze było pod wzrokiem Madonny, w niebie swoich myśli, a twarz

Maryi była ciągle jednakowo słodka i spokojna, tylko smutna, bardzo smutna. Smutną była Madonna, bo widziała na świecie ludzkie błędy, przewrotności i upadki, zaślepienie, urąganie Bogu i prawdzie. Smutną była, lecz bezgraniczna miłość i przebaczenie wypisane były w jej rysach. I Ninka pożałowała naraz, tak szczerze, jak może nigdy przedtem, wszystkich swoich błędów i słabostek, wszystkich postępków, któreby twarz Maryi smutkiem powlec mogły, wszystkiego, co ją do ziemi przykuwało, oddalało od nieba, było niskie i nieuduchowione, niegodne jej wejrzenia. I czuła, że coraz większa ją ogarnia miłość dla Maryi, że byłaby zdolną do każdego poświęcenia, byleby tylko spłoszyć smutek z jej oblicza...

A Marya, taka dobra, litościwa i miłosierna, może da jej za to trochę spokoju ducha, zapomnienia ziemskich wspomnień, goryczy i słabostek, przygarnie w swojej krainie, krainie myśli, dobra i cnoty...

Co to?... Czyż Madonna do nieba wraca?... Czy już grzechy ludzkie przerosły jej miłość i nie chce już więcej na świat spoglądać?... Mgła ją jakaś zasłania, oddała się i rozplywa – i już nie widać twarzy, ani spojrzenia Boskiego...

Ninka potarła oczy, a strumień łez popłynął po jej twarzy i rękę. Wzrok się odsłonił, a Madonna znowu patrzyła, dobra, słodka i spokojna – i zdawała się przyjmować ofiarę z jej uczuć i łez...

Tymczasem wrażenia kształtowały się w jakiejś myśli jasne i określone, a tak były silne, że zdawały się być podobnymi do głosu, który wyraźnie do duszy przemawiał:

„Oderwij się od tego, co ziemskie, a w tem oderwaniu znajdziesz udoskonalenie i spokój wewnętrzny.”

„Świat to wędrówka w kajdanach ciała, a ten szczęśliwy, kto umie wzrok utkwic w niebie – bo tam jest prawdziwa ducha ojczyzna...”

Od czasu wyjazdu Tenczyńskiego i samotnego rozmyślenia przed Madonną Sykstyńską, Ninka stawała się coraz poważniejszą i więcej w sobie zamkniętą.

Trawiła godziny na wczytywaniu się w pisma świętej Teresy; zdawało się jej, że coraz lepiej rozumie tę wielką, świętą entuzjastkę, apostołkę cierpienia i ekstazy dla miłości Boga i oderwania ducha od wszystkiego, co ziemskie, co nie jest ściśle związane z życiem duchowem i nie zaskarbia zasługi na pozagrobowe szczęście.

Zgnębienie tej marnej, cielesnej powłoki, zwyciężenie pragnień i marzeń o rozkoszach i upojeniu, walka z ziemskimi uczuciami, które usuwać należy nawet wtedy, gdy uśmiechami wabią, – to drogie kamienie, z których składać się będzie przyszła korona zbawienia i chwały!

Myśli podobne opanowywały ją coraz bardziej.

Nikt nie zauważył, że Ninka zrobiła się obojętną i małomówną, że na twarzy wychudła i pobladła.

Pewnego dnia, wieczorem, siedząc sama jedna w salonie z panią Tenczyńską, Ninka robotę na bok odłożyła, a zbliżywszy się do ciotki, rzekła bez żadnej przedmowy i wstępu:

– Chciałabym z cicią pomówić o mojej przyszłości.

Pani Tenczyńską uśmiechnęła się zlekka; myślała, że Ninka prosię ją będzie o wyjazd do Warszawy i debiut w świecie.

– Moja ciciu, mojem największym marzeniem jest powrócić do klasztoru.

– Do klasztoru? Po co, moje dziecko?

– Ażeby zostać zakonnicej – odrzekła Ninka naturalnie.

Pani Tenczyńską przestała się uśmiechać, patrzyła poważnie w twarz siostrzenicy, w której rysach wyczytała spokój i powagę, silne postanowienie, uniemożliwiające opór i walkę.

– Dziecko, zastanów się, przecież to chodzi o całe życie... o całą przyszłość...

Ninka uśmiechnęła się z politowaniem.

– Życie? Ta jedna chwila? Cóż ono znaczy wobec wieczności? Ja życia nie chcę brać w rachubę. A przyszłość... Przyszłość nie może być na tej ziemi, ani w życiu świeckim, ani klasztorzem...

Czuła, że ją ogarnia coraz większe rozrzewnienie i łzy dławią...

Upały już na dobre w Warszawie gospodarowały i tych, których stać było na świeże powietrze, rozpędzały na prawo i na lewo.

Tenczyński, choć minęły już wyścigi, pozostawał ciągle na miejskim bruku.

Zatrzymywała go pani Julia Nessel.

Ciągle jej towarzyszył, a postępowaniem swoim dawał do zrozumienia, iż stara się o jej rękę.

W tym też celu zawarł bliższą znajomość z bratem nieżyjącego jej męża, Eustachym Nessel, który zajmował się jej interesami, był rodzajem opiekuna, materiałem bardzo odpornym, któremu pani Julia, mimo najszczerzych chęci, nigdy nie mogła narzucić swej woli. Liczył około lat 40, odznaczał się wykształceniem i wielką prawdomównością, z tego też względu w kółku swoich znajomych uchodził za oryginała.

Tenczyński, widząc, że zdanie Eustachego Nessla w wyborze pani Julii będzie miało wiele wagi, starał się o jego przyjaźń.

Łatwo im to przychodziło, gdyż wzajemnie sympatyczne na sobie wywarli wrażenie.

Jednego dnia, gdy we dwóch siedzieli w fumoirze Nessia, Tenczyński, rozmawiając o pani Julii, wyjawiał mu pierwszy raz swoje zamiary.

– Taak? – rzekł Nessel z wielkiem zdziwieniem, którego Tenczyński bynajmniej się nie spodziewał, – hm, hm, dziwne! Przyznam się panu otwarcie, iż przypuszczałem zupełnie co innego. Zdawało mi się, że pan ma względem mojej bratowej mniej szlachetne zamiary, choć także bardzo serdeczne, ale... nie matrymonialne. I wie pan, nad czym się już frasowałem? Żał mi było naprzód naszej przyjaźni, bo chyba pan rozumie, że zbałamucenie mojej bratowej nie miałoby u mnie poparcia. Wypada mi teraz przeprosić pana za niesłuszne posądzenie. I śmiejąc się, wyciągnął ku niemu rękę. Tenczyński był trochę zbity z tropu; odezwał się dopiero po chwili:

– Winienem panu otwartość za otwartość. Nie mogę powiedzieć, iżbym miał sumienie bardzo czyste. Tylko przedewszystkiem niech pan nie patrzy na mnie tak melodramatycznie, bo jeżeli mówię, że nie mam sumienia zupełnie czystego, to mam na myśli tylko maleńkie grzechy powszednie, same chęci bez uczynku; o śmiertelnych grzechach mowy być nawet nie może. Otóż rzeczywiście, poznawszy w Nizy panią Julię, rozmaite projekty przychodziły mi do głowy, i jeszcze przyjechawszy tu do Warszawy, powtarzałem sobie, że muszę ją zbałamucić, o żenieniu się zaś ani pomyślałem.

– Cóż więc pana do tego skłoniło?

– Poznanie mojej omyłki. Przypatrzysz się bliżej pani Julii, pewny prawie jestem, że jest w niej grunt poważny, który jej strzeże od przekroczenia granic salonowego flirtu. „Ożenię się z nią i kwita!” – powiedziałem sobie. Pani Julia jest typem nowoczesnej kobiety. Jest bardzo cywilizowaną, a pomimo to, jako żona, wzbudzać będzie zaufanie. Będzie pewna, a przytem zajmująca. Poważna w życiu, wesoła w świecie, oto co lubię. Właśnie to połączenie dwóch sprzeczności, pozoru wesołej kobietki, który w niej, chwała Bogu, jest tylko pozorem, z niewzruszonymi uczciwymi zasadami, strzegącymi jej od fałszywego kroku, stanowi urok taki oryginalny, a jest to nader rzadkie u naszych kobiet, gdyż mało która jest konsekwentna i umie zachować równowagę.

– Widzę, żeś pan mocno „zahaczony” – rzekł Nessel z uśmiechem.

– Podoba mi się pani Julia więcej, niż wiele innych kobiet. Będzie z niej doskonały kolega we wszystkich sportach i rozrywkach.

Wyznanie Tenczyńskiego ciągle odtąd Nesslowi stało w myśli. Ciekawy był dalszego ciągu tej intrygi.

Znał on dobrze soją bratową i wiedział, że te, tak zwane przez Tenczyńskiego „zasady,”

które ją jakoby powstrzymywały od fałszywego kroku, pomimo tylu pokus i sposobności, nie były niczem innym, tylko usposobieniem, niezdolnym do trwałych uczuć, kontentującym się zdawkową monetą flirtu salonowego, wspieranem zwykłym tchórzostwem kobiety, która boi się stanąć do walki z opinią publiczną, nie chce podobną brawurą odbijać się od ogółu, bo przecież praktyczniej jest i spokojniej stać zawsze po stronie większości.

Wiedząc zaś, że Tenczyński nie należy do tych ludzi, którzyby się zatrzymali w połowie drogi, gdy idzie o zadośćuczynienie jakiejś fantazyi lub zachciance, Nessel pewnym był prawie, że flirt pani Julii bez następstw nie pozostanie.

Na drugi dzień po rozmowie z Tenczyńskim udał się do swojej bratowej.

Pani Julia zajmowała w alejach ładny apartament. Chociaż jej w mieście nic nie zatrzymywało, nie śpieszyła się z wyjazdem na wieś. Miała nową seryę adoratorów, którzy nią byli zajęci, miała Tenczyńskiego, który ją samą zajmował, i jak na tymczasem, najzupełniej jej to wystarczało.

Codzień wieczorem zgromadzało się u niej kilka osób, przeważnie mężczyzn, gdyż pani Julia zwierzała się nieraz poufnie, że „z babami wdawać się nie lubi,” Nessel zatem poszedł w rannych godzinach, ażeby ją móżdż samą zastać.

Wszystkie drogi do Rzymu prowadzą, zaczęto więc rozmawiać o upale i kanalizacyi a skończono na Tenczyńskim.

– Czy wiesz o tem, że on jest w tobie zakochany? – rzekł Nessel znienacka, ażeby zaskoczyć panią Julię i zobaczyć pierwsze wrażenie.

– Królowa Bona także umarła – odrzekła pani Julia zupełnie spokojnie, – to taka sama nowina. Jeżeli tylko takie wiadomości masz mi do zakomunikowania, to szkoda było fatygi – dodała, śmiejąc się.

– Nie, mam lepszą. Tenczyński myśli o małżeństwie. Czy wyszłabyś za niego?

– Czy on sam o tem mówił?

– Tak. No, ale teraz miej się na baczności. Będiesz miała do czynienia z zawiścią wszystkich matek, posiadających córki na wydaniu. Tenczyński jest świetną partyą, robiono mu ze wszystkich stron wiele „awansów.”

– Nie bronię i nadal. Małżeństwa boję się, jak ognia. Byłabym najniešťczęśliwszą, a z Tenczyńskim więcej niż z innymi. Znadto podobni jesteśmy do siebie pod niektórymi względami. Naprzykład oboje wolimy być bożyszczami, które ofiary przyjmują, ale do składania ich żadne z nas nie miałyby najmniejszej ochoty.

A w małżeństwie wtedy jest tylko harmonia, kiedy jedno wspaniałomyślnie przyjmuje ofiary, a drugie samo jest ofiarą, lub je składa. Nie, nie zrobię nigdy tego szaleństwa. Małżeństwo jest niewolą, zabiciem miłości, najtrywialniejszą stroną życia. Mam za delikatne ręce na kajdany. Zakuć się w nie na całe życie? Brrr... nigdy!!! Przymierzać je czasem dla rozrywki... toby mnie bawiło, ale nigdy na to się nie ośmielę, bo mój szwagierek utkwiliby we mnie swój wzrok piorunujący, a w dodatku ludzieby obmówili.

– Te kajdany, przymierzane niby dla rozrywki, bywają czasem cięższe od prawdziwych – wtrącił Nessel z uśmiechem, – nie radziłbym takiej zabawki, bo rączek szkoda.

Pani Julia była zamyślona; zdziwiła ją trochę wiadomość o planach Tenczyńskiego. Pochlebiali jej bardzo głębokie jego uczucie, zaś co do odrzucenia jego przypuszczalnych oświadczeń, nie wyjawiała swych myśli, gdyż wogóle mijanie się z prawdą praktykowane było przez panią Julię we wszystkich porach dnia i roku.

W gruncie rzeczy sama jeszcze nie wiedziała, jak postąpi. Wszystkie postanowienia zależały u niej od zewnętrznych okoliczności; ostatnie wrażenie decydowało o postępkach, będącym nieraz w sprzeczności z poprzednimi zapatrywaniami i intencjami.

Miłość Tenczyńskiego miała dla niej więcej uroku, niż wszystkie inne, ale to nie przeszkadzało mówić wprost przeciwnie:

– Doprawdy, Tenczyński spadł bardzo nisko w moich oczach. Nie myślałam, że z niego

taki dudek. Niemożliwy jest ze swoją parafiańszczyzną! Żeby też nie umieć flirtować bez następstw, ale chcieć zaraz wszystko aż do ostateczności doprowadzać! Żenić się w trzydziestym roku życia! To cóż on sobie na pięćdziesiątkę rezerwuje?

– Może flirt bez następstw – rzekł Nessel z uśmiechem. – A tymczasem tobą silnie jest zajęty. Nigdy go jeszcze nie widziałem w takim stopniu zadurzenia. Jeżeli nie masz zamiaru wychodzić za niego, to radziłbym wiele ostrożności, żeby sytuacji zbyt nie naprężyć i nie brawować. Tenczyński zanadto zepsuty jest powodzeniem i zanadto dumny i pewny siebie, ażeby tanim kosztem odstąpił od tego, co sobie klinem wbił do głowy.

Ostrzeżenie Nessla miało ten skutek, że pani Julia, rozciekawiona, jak to będzie wyglądał Tenczyński do ostateczności doprowadzony, postanowiła w duchu nie zaniedbać żadnego sposobu i sposobiku, ażeby go widzieć działającego stanowczo i na seryo. Może to będzie dla niej trochę ryzykowne i niebezpieczne, ale... im większy hazard, tem większa emocja, a zatem przyjemność.

Wkrótce los oddał jej przysługę, dostarczając sposobności większego zbliżenia się z Tenczyńskim.

Tydzień nie upłynął, gdy Tenczyński otrzymał bilecik następującej treści:

„Jeżeli pan ma czas, to proszę przyjść do mnie dziś wieczorem. Między ósmą, a dziewiątą przyjdzie ciotka Olimpia, Downarowski i Maryański. Mam panu do zakomunikowania ważną wiadomość, zatem oczekiwać będę o godzinę wcześniej. Julia N.”

Tenczyński był zaintrygowany i nad wyraz niespokojny. Na obiad poszedł do Europejskiego hotelu, prawie że nic nie jadł, a o siódmej punktualnie dzwonił do drzwi pani Julii.

Była sama jedna, wybiegła żywo na spotkanie swego gościa.

– Czy pan nie miał z Dreżna żadnej w tym czasie wiadomości? – spytała zaraz po przywitaniu.

– Owszem. Dwa tygodnie temu pisano mi, że ciotka miała atak sercowy, ale teraz jest zupełnie dobrze. Doktor straszy za każdym razem, że taki atak może być śmiertelnym.

– Ależ nie o to idzie! Dziś rano miałam list od Ninki Olszyńskiej: pisze mi, że wstępuje do klasztoru! Czy pan może sobie wyobrazić coś podobnego?

– Ninka do klasztoru?... No, co prawda, miała ona zawsze taki święty zakrój.

– Nie, to jest niepodobieństwo! Nie można przecież dopuścić, żeby szła na zatracenie, żeby się żywcem w grobie zakopała...

– Rzeczywiście, szkoda dziewczyny. To dobry materiał, tylko zanadto krańcowa.

– To też właśnie niech pan posłucha, co umyśliłam. Ninka już jest w klasztorze Przemienienia pod Krakowem, gdzie była wychowaną. Pisze mi, że za dwa tygodnie będzie ceremonia wstąpienia jej do nowicyatu; zawiadamia mnie o tem, gdyż jeszcze w Dreźnie obiecała dawać mi czasem o sobie wiadomości. Niepodobna patrzeć na to z założonemi rękoma, to też nie zwlekając, jadę zaraz do Krakowa i zrobię co mogę, aby jej ten plan z głowy wybić. Biedne dziecko, żałowałaby po niewczasie.

Tenczyński zachwycał się w duchu dobrem sercem i uczynnością pani Julii.

I rzeczywiście ogromnie ją interesowała ta sprawa. Miało to trochę romantycznej barwy, wyobrażała sobie, że Ninka jest ofiarą jakiejś tragicznej tajemnicy, i w jej ruchliwej imaginacji wysnuł się jak z płotka gotowy romans, godny średniowiecznego trubadura. Idealna rozrywka! Chyba los litościwy zesłał jej na ogórkowy sezon upał i kurzu ten zajmujący i niebanalny sposób zabicia czasu!

Sam klasztor jest ciekawością w swoim rodzaju, coś zupełnie nowego i nieznanego. Wyswobodzenie Ninki z tej otchłani grobowej, a jeżeli to się nie uda, asystowanie obrzędowi wstąpienia do nowicyatu, grobowe śpiewy i ceremonie, zakonnice, jak czarne duchy, z gromnicami w ręku otaczające swoją zdobycz, i kratka, oddzielająca chór zakonny od kościoła, zamykająca się z trzaskiem za nowoprzybyłą nowicyuszką, – czyż to wszystko nie

ciekawe?

Widowisko takie jak w teatrze, tylko więcej wzruszające, bo prawdziwe. Wrażenie będzie całe zniwo.

– Czy już dawno pojechała do klasztoru? – spytał Tenczyński.

– Pojechała zaraz po sercowym ataku ciotki pana, jak tylko doktorowie upewnili, że niema już żadnego niebezpieczeństwa. To dziwna dziewczyna. Niech pan posłucha co mi pisze.

Pani Julia wzięła ze stolika list Ninki i zaczęła odczytywać niektóre ustępy:

„...Szczęśliwą jestem, iż Pan Bóg dał mi poznanie jasne tego, że życie jest jedną chwilą, do której nie warto się przywiązywać. Nie zaznam spokoju, dopóki nie będę mogła sobie powiedzieć, że każda sekunda mego istnienia jest wypełniona pracą nad udoskonaleniem mojej duszy, oderwaniem od wszystkiego, co może tamować postęp w dobrem i zaskarbieniu sobie Bożego miłosierdzia na życie przyszłe, które jest dopiero prawdziwym życiem.”

– Zupełnie jakby przepisane z książki do nabożeństwa – przerwała pani Julia.

Tenczyńskiemu przypomniały się różne rozmowy Ninki, i zdziwił się, że to, co brał wtedy za pozę i egzaltację, przybrało w niej kształt tak poważny.

– Tam na to powołanie wpłynęła jakaś inna przyczyna, nam niewiadoma – rzekł. – Jak jej pani klasztor wyperswadowuje, co jej pani wskaże jako cel życia na jego miejsce?

Pani Julia zakłopotana była tem pytaniem. W gruncie rzeczy cel życia Ninki zupełnie był jej obojętny.

– Za mąż wyjdzie i koniec – rzekła po chwili. – Ale niech pan dalej słucha.

...Za dwa tygodnie będzie ceremonia mojego wstąpienia do klasztoru. Zwykle rodzina nowicyuszki asystuje obłóczynom, z moich zaś nikt nie będzie na tym obrzędzie; nie mam nikogo z blizkich, oprócz ciotki Tenczyńskiej, a ta nie może już podróżować. Pani jest jedyną kobietą, którą poznałam poza klasztorem i od której doznałam tak wiele dowodów życzliwości; nie wiem, może to zbyt śmiałe żądanie, ale gdyby pani mogła być przy mnie w tak ważnej chwili, czułabym się nad wyraz szczęśliwą i mniej samotną.

Obrząd ten jest opuszczeniem świata, bardzo ważnym w życiu przełomem, i robi się jakoś smutno na myśl, że nikt swój z tego świata nie przyjdzie na pożegnanie z serdecznym słowem. Miałoby się wrażenie, że się poza sobą zostawia głuchą pustynię.”

– Jak pan widzi, choćbym nawet nie bawiła się w żadne perswazyje, to takiemu żądaniu odmówić nie mogę i muszę zadośćuczynić życzeniu tej biednej Ninetki. To wszystko mnie się dopiero tycze, ale są jeszcze inni, oprócz mnie, którzy powinni być przy Ninie z obowiązku rodzinnego. Cóż pan na to?

– Nic. Nie wiem kogo pani ma na myśli.

– Pana. Choć pan nie jesteś Ninki krewnym, ale jesteś pan za to krewnym jej ciotki i spadkobiercą. Część obowiązków ciotki na pana spada. W braku blizkich Ninki, pana jest powinnością reprezentować rodzinę na tak ważnym dla Ninki obrzędzie.

Tenczyński niezupełnie zdawał sobie sprawę ze swojego nowego obowiązku reprezentowania rodziny panny Olszyńskiej, ale ponieważ zaraz sobie skombinował, że wspólna z panią Julią bytność w Krakowie byłaby rzeczą bardzo przyjemną, nie stawiał zatem żadnej opozycji jej rozumowaniom.

Bo też i pani Julii o ten wspólny pobyt głównie chodziło. Jej wpływ nad Tenczyńskim mógł dojść przylej sposobności do najdalszych granic.

Myśl ta była w gruncie rzeczy główną sprężyną całego planu.

Omówienie szczegółów prędko poszło.

Pani Julia miała jeszcze przedtem na Kujawach odwiedzić swoją znajomą, miano się zjechać w Skierniewicach i potem już razem kierować do Krakowa.

Zależało jej na tem, aby ta podróż miała pozór przypadkowy.

Wieczorni goście zastali panią Julię w złotym humorze.

Najpierwsza stawiła się ciotka Olimpia. Była to niemłoda panna, której stanowisko

społeczne polegało na oddawaniu przysług wszystkim członkom swojej rodziny. Jedną z takich przysług było asystowanie wieczornym przyjęciom pani Julii, zabezpieczające ją tym sposobem przeciw ludzkiej złośliwości, mogącej wyrokować nieprzychylnie o przyjmowaniu samych mężczyzn.

Nikt na nią nie uważał, biedactwo nudziło się śmiertelnie, lecz z prawdziwym bohaterstwem opędzała się Morfeuszowi i dotrzymywała placu innym gościom.

Po ciotce Olimpii przyszedł Maryański. Od czasu bytności swej w Dreźnie, zapisał się na stałego adoratora pani Julii, nawet kilku osobom zwierzył się, że stara się o jej rękę. Nadawało mu to, w jego własnym przekonaniu, bardzo wiele znaczenia i „pozowało” w towarzystwie.

Względem niej samej umiał być użytecznym w każdej okoliczności, spełniał wszystkie zlecenia, załatwiał nudne interesy, znosił plotki, mówił komplementa, objaśniał, w której sukni jest jej najwięcej do twarzy i najwięcej zbiera laurów – i czekał.

– A gdzie „Beniaminek?” Przecież mieliście razem przyjść? – spytała pani Julia zaraz po przywitaniu.

– Pisz list do swej matki na ośm stronich; zaraz przyjdzie – odrzekł Maryański.

„Beniaminkiem” był młody Janio Downarowski, student, z prześliczną główką, jakby stworzony pendzlem Rafaela.

W niespełna dziesięć minut zjawił się oczekiwany, a ucałował rękę pani Julii z wielkim namaszczeniem, usiadł przy niej możliwie najbliżej.

Był to syn dawnych sąsiadów jej rodziców. Gdy był jeszcze dzieckiem, rósł za szybko, i doktorowie straszili piersiową chorobą. Zatrwożeni rodzice wyjechali z nim na Południe i edukację postanowiono w domu przeprowadzić.

Chłopak był zdolny, dużo korzystał; w powszednie dni uczył się pilnie, a w święta, za pozwoleniem mamy, czytywał powieści pani Craveu i poetyczne wywody Lamartine’a.

Skoro był już zupełnie zdrow i z ośmiu klas zdał egzamin, wstąpił do uniwersytetu. Było to jego pierwsze z rodzicami rozłączenie. Matka go odwiozła i ulokowała w wygodnym mieszkaniu, polecając go równocześnie opiece wszystkich swoich krewnych i znajomych, a między innymi i pani Julii, która obiecała solennie „okiem macierzyńskim” czuwać nad młodzieńcem. Wcale jej to jednak nie przeszkadzało bałamucić Downarowskiego na swój własny rachunek, zaś „macierzyńskie oko” przybrało postać Feliksa Maryańskiego, który otrzymał poufne zlecenie strzeżenia Downarowskiego od wszelkich wpływów niepotrzebnych.

Downarowski u pani Julii czuł się jak w raju, a urokowi jej poddawał się bez dyskusji.

– Czemu pan jeszcze na wakacje nie wyjechał? – spytała go półgłosem; – to brzydko nie pomyśleć o tem, że rodzice liczą sekundy do pana przyjazdu.

Pani Julia wiedziała aż nadto dobrze, że to ona była powodem tej zwłoki, ale przekonawszy się nieraz, iż Downarowski kłamać nie umiał, chciała od niego samego usłyszeć przyczynę tego opóźnienia.

– No, dlaczego? – pytała dalej. – Niech się pan zwierzy starej przyjaciółce. Każdy postępek musi mieć swoją przyczynę. A co? Zaczewienił się pan: to bardzo zły znak. Ten pobyt w Warszawie wśród wakacji wcale mi się nie podoba.

Downarowski był zmieszany.

– Doprawdy... myślałem, że będę mógł być pani w czemkolwiek użytecznym...

– I dlatego pan został? I myśli pan, że uwierzę w taką wymówkę? Robi mi pan wielką przykrość, odbierając swoje zaufanie.

Mówiła to półgłosem, uśmiechając się prześlicznie dla zachęty i odwagi.

Downarowski miał na ustach serdeczne wyznanie, że rozłączenie z nią byłoby mu nad wyraz przykrem i wstrzymywało go od podróży wakacyjnej. Ale w jego pojęciach każde wyznanie było oświadczeniem i kojarzyło się z obrazem ołtarza i ślubnej obrączki, a o tem

przecież nie ośmielił się nawet marzyć; milczał więc uparcie.

– Warszawa o tej porze jest bardzo przyjemna – rzekł po chwili.

– Aha! Czy to ładnie myśleć o swojej przyjemności kosztem cudzego zmartwienia? A tam rodzice niepokoją się o pana i czekają niecierpliwie. Tak pan mówi, jakby pan nie był moim pupilem; brzydko być takim egoistą. Jeżeli pan ma sumienie czyste, to proszę mi prosto w oczy spojrzeć.

– Doprawdy, można się stać lepszym po każdej z panią rozmowie.

– Widzi pan; nie wiem jak kto, ale ja zawsze siebie samą na końcu kładę. Teraz na przykład panna Olszyńska, moja przyjaciółka, wstępuje do klasztoru i prosi mnie, abym była na tej ceremonii. Cóż zrobić? Pojadę, choć mi to wcale nie dogadza; bo inne miałam plany. Ale ponieważ jej to zrobi przyjemność, więc odkładam na bok moje widoki i zamiary.

Aureola anielskości największe na Downarowskim czyniła wrażenie... Pani Julia w tej postaci podobną była do idealnych bohaterki pani de Genlis i Craveu, istot bez wad, eterycznych, które mu w swoim czasie spać nie dawały.

„I mówią – myślał – że bardzo światowe kobiety duszy nie mają, że ją na pyłki rozkruszają, na ulotne wrażenia i błahe przyjemności! Głupstwo!... Ta kobieta jest aniołem!”

– Ale ja inaczej z panem postąpię, ja dobrem za złe dopłacę, zaufaniem za jego brak, bo to mój zwyczaj i zwierzę się panu z mojej troski.

– Pani ma troski? A któż jest ich przyczyną?

– Niech się pan uspokoi, zaraz wszystko opowiem. Niech pan sobie wyobrazi, że Tenczyński, skoro tylko się dowiedział, że jadę do Krakowa, korzystając z tego, iż panna Olszyńska jest jakaś krewną, czy znajomą, także na ceremonię jej wstąpienia do klasztoru jechać postanowił. Ale mnie się to nie podoba, gdyż wiem, że on chce się tym sposobem zbliżyć do mnie więcej. Ja sobie tego wcale nie życzę; nie mam żadnego zamiaru wychodzić za niego. Ten człowiek mnie przestrasza. Onieśmiela mnie jego uśmiech drwiący i ironiczny. Nie lubię ludzi, dla których niema nic prawdziwego, ani świętego. Mam przeczucie, że on stanie się przyczyną niejednej mojej łzy, gdyż ludzie źli bywają i lubią z pozorów o wszystkim sądzić, gotowi jego częste wizyty i tę podróż różnie tłómaczyć. A ja nie chcę dać mu do zrozumienia, aby się zdała trzymał, gdyż boję się jego zemsty i złośliwości...

I zdawało się Downarowskiemu, że już widzi w oczach pani Julii te przepowiedziane łzy trwogi przed złym demonem w postaci Tenczyńskiego, który ją prześladowuje swoją miłością, daje powód do zmartwienia i ludzkich pogawędek. Ale te łzy w jej oczach tak się jakoś dziwnie spletały z uśmiechami prześlicznymi, że Downarowski nie wiedział, co go więcej wzrusza i zachwyca: czy te łzy przypuszczalne, czy te uśmiechy zdradliwe i pełne uroku?

– Jak to? Czyż pani nie wie, że są tacy, którzy byliby gotowi oddać życie, byleby tylko z drogi pani usunąć wszystkie troski i zmartwienia?

Słowa Downarowskiego były tak pełne zapału i szczerości, że na pani Julii wywarły wielkie wrażenie.

Robiąc zwierzenie powyższe, chodziło jej o zapewnienie sobie w Downarowskim żarliwego obrońcy, na wypadek, gdyby jacyś niedyskretni ludzie niewinnemu flircikowi z Tenczyńskim chcieli nadać skandaliczną barwę. Chodziło jej też bardzo, ażeby i Downarowskiego utrzymać jak najdłużej w jego niekłamanem dla niej uwielbieniu. Skargą na Tenczyńskiego uprzedzała wszelką analizę jej postępów, która mogła mu być podsunięta przez któregokolwiek ze znajomych i mogła wypaść na jej niekorzyść.

A niewiadome, dlaczego chodziło jej bardzo o utrzymanie tego młodego uczucia, które jej się oddawało z zapałem, bez zastrzeżeń, otaczało upajającą atmosferą pierwszej miłości, pełnej poezji i ułudy, która biła z każdego rysu prześlicznego chłopca, o twarzyczce Archaniola, jakby zeszej z obrazu jakiegoś mistrza Odrodzenia.

Pani Julia ani się spostrzegła, że od jakiegoś czasu jej flirt z Downarowskim, który uważała dotychczas za zabawkę niewinną, dostarczał jej wrażeń coraz silniejszych i ją samą

wciągał nieznacznie w swoje koło czarodziejskie.

Nicejskie wrażenia, przez Tenczyńskiego wywołane, bladły prawie z każdą godziną.

Tymczasem Tenczyński i Maryański siedli do baccarata.

Pani Julia, jako wielka amatorka hazardu, zbliżyła się do grających. Downarowski za nią.

– Chciałbym nauczyć się tej gry – rzekł do Tenczyńskiego Downarowski, przysuwając się do stolika.

Tenczyński nie lubił Downarowskiego. Gniewało go to, iż pani Julia przyjmuje jego wszystkie demonstracyjne adoracje.

– Z zasady nie uczę nikogo gier hazardownych – rzekł zimno.

– Ale pan grać lubi. Zdaje mi się, że jest w tem trochę sprzeczności.

– Gram, bo mnie to bawi. A gdybym pana grać nauczył, to wszystkie pana późniejsze przegrane byłyby dla mnie niemiłe, a nie lubię niemiłych wrażeń. A zresztą, możeby pan był niepojętny, i nudziłaby mnie taka nauka.

– W gruncie poczciwie, z wierzchu złośliwie, *voilà le secret de votre charme* – rzekła półgłosem pani Julia, nachylając się ku Tenczyńskiemu; – lubię sprzeczności,

– Teraz rozumiem, dlaczego pani w sobie jest tak zakochaną: przez amatorstwo sprzeczności! – odrzekł z uśmiechem ironicznym, gdyż nie mógł jej jeszcze przebaczyć matkowania Beniaminkowi.

– *Toujours le meme.*

Bawiły ją, jak zwykle, jego różne złośliwe przycinki, wcale się też za nie nie gniewała.

Maryański, który ze wszystkimi chciał żyć w przyjaźni, poświęcił mały kwadransik na emablowanie panny Olimpii.

– W Salonie Krywulta jest przesłiczny portret Wielopolskiego, Pochwalski malował – rzekł, zbliżając się do niej po skończonym baccaracie. – Dziś na wystawie ciągle o pani myślałem, jakiejby pani doznała rozkoszy estetycznej przed tem malowidłem. Bo rzeczywiście nie znam osoby, znającej się lepiej niż pani, na malarstwie.

Panna Olimpia uśmiechnęła się wdzięcznie za ten komplement.

Znała się ona w istocie na malarstwie, i ile zostawało jej czasu poza oddawaniem przysług całej rodzinie, malowała drobnostki wcale udatne. Największem jej marzeniem, jedynem może, które jej pozostało, było wymalować obraz większych rozmiarów i posłać go na wystawę. Marzeniu temu, tak na pozór łatwemu do wykonania, znowu na przeszkodzie rodzina stawiała. Temu trzeba było odnowić stary portret, tamten chciał koniecznie ekranu przed kominkiem, innemu wypadało darować porcelanowy serwis, malowany ze wzorów sewrskich – tak, że obraz panny Olimpii ustępował miejsca pilniejszym pracom, tylko tematów z każdym rokiem przybywały całe góry, choć jeszcze zdecydowanem nie było, co ten obraz ma przedstawiać.

Panna Olimpia zwierzała się wszystkim ze swoich pomysłów, to też i Maryański nie uszedł jej tego wieczoru.

– Przyszedł mi niedawno do głowy – rzekła – świetny pomysł do obrazu, który mam zamiar w Zachęcie wystawić: będzie bardzo duży obszar wody, bardzo przezroczystej, z wodnemi trawami i kwiatami, a nad brzegiem stać będzie kobieta z załamanemi rękoma, jakby miała skoczyć lada chwila. Tytuł będzie:

„Ostatni krok.” Poproszę Julii, żeby pozwoiliła się sportretować. Ona ma „obrazową” twarz.

– Czy ten obraz będzie do nabycia?

– A czy miałby już pan kupca?

– O, tak!

– Na model, czy na obraz?

– Może na jedno i na drugie.

– Hm, hm, nie wiedziałam, że z pana jest taki żarliwy... protektor sztuk pięknych.

– Czy panią moje... hm... amatorstwo dziwi, albo gorszy? Czy ono się pani nie podoba? – spytał Maryański, który chciał wy badać, czy panna Olimpia jest jego sprzymierzeńcem i czy mógłby liczyć na jej poparcie w swoich bardzo śmiałych, na pozór nieprawdopodobnych zamiarach, dotyczących się pani Julii.

Ale właśnie pani Julia rozmowę im przerwała.

Usiadła obok Maryańskiego i zaczęła mówić odrazu, żywo i bez ogródki:

– Panie Maryański! trzeba, żeby pan koniecznie tego dzieciaka Downarowskiego jak najprędzej wyprawił do rodziców na wakacje. Na wykłady już nie chodzi, zupełnie niepotrzebnie wałęsa się tylko po Warszawie. Taki młodzik, może wpaść bardzo łatwo w jak najgorsze towarzystwa i rodzicom narobić kłopotu i zmartwienia. A szkoda by go było, bo to poczciwy chłopak. Proszę pana bardzo, niech go pan choć gwałtem zapakuje do jutrzejszego wieczornego pociągu...

Pani Julia nawet przed sobą samą nie przyznała się jeszcze w myśli, iż jest trochę zazdrosna o Downarowskiego i że boi się, aby ktoś inny nie wywierał na niego zbyt wielkiego wpływu.

Nie zdawała sobie sprawy, dlaczego zależy jej na tym chłopcu... ot, poprostu, odurzało ją to młode uczucie, ten zapal dwudziestu dwóch lat, w którym była i cześć, i uwielbienie, i miłość ślepa, idealna, która się oddaje bez zastrzeżeń, bez uśmiechu niedowierzania i analizy...

Go pani Julia postanowiła, to wykonała.

Nie mając żadnych obowiązków rodzinnych i będąc materyalnie zupełnie niezależną, mogła dogadzać każdej swojej zachciance i fantazyi.

Podróż była zupełnie uzasadnioną. Pani Julia płaciła haracz przyjaźni, Tenczyński jechał na obłóczyny swojej kuzynki, a że zdążali do jednego celu – nic dziwnego, że znaleźli się w jednym pociągu.

Pani Julia wsiadła w Skierniewicach, Tenczyński jechał od Warszawy.

Przyszedł niezwłocznie do jej przedziału, postarawszy się przedtem, aby im nie dawano towarzyszków.

– Chwała Bogu! – rzekł po przywitaniu, drzwi starannie zamykając – obawiałem się, że może pani zmienić dzień podróży lub spóźni się na pociąg.

– Przypuszcza pan, że nie umiem być poważną? Nie polega pan na mnie nawet w takiej drobnostce, jak ranne wstanie?

– Może dlatego, że jest drobnostką, bo zdaje mi się, że właśnie w poważniejszych sprawach jest pani sobą, poważną, tą dobrą, poczciwą panią Julią, umiejacą być przyjaciółką, taką, jaką się panią przeczuwa, a widzi – tylko przypadkiem.

– A dalej? Niech mi pan jeszcze powie co o mnie. Lubię to bardzo... A więc w drobnostkach zewnętrznych nie jestem sobą?

– Nie, nie sobą, prędzej... mozaiką.

– Ach! I to jest komplement w swoim rodzaju. Mozaika jest dziełem sztuki. Ale na to wychodzi, iż gram komedię. Dziękuję. Albo też, może mnie pan jeszcze nie zrozumiał...

– A zrozumiawszy panią lepiej i poznawszy, czybym doznał rozczarowania?

– Niewiadome, może miłej niespodzianki...

– Tyczącej się mnie osobiście?

– O! za wiele pan stawia pytań. Nie mogę się przecież cała wypowiedzieć, choćby przez samą kokieteryę. Zawsze trzeba choć małą cząstkę siebie zostawić w cieniu. Ma to właściwy sobie urok.

– Ma pani słuszność. Wogóle każda kobieta tylko dopóty jest interesującą, póki jej się nie zna do gruntu.

– Trzeba było złośliwość w Warszawie zostawić – rzekła z uśmiechem pani Julia. – Nie jedzie się na obłóczyny zakonnice z takimi światowymi akcesoryami.

Ujechano kilka stacyi. Rozmowa była ciągle szermierką salonową, chwilami rwała się, brak jej było treści.

Wogóle oboje doznawali pewnego skrepowania.

Doprowadziwszy wreszcie podróż tę do skutku, a spodziewając się po niej wielu przyjemności, nie wiedzieli na razie, jaką nadać formę tym miłym wrażeniom, odczuwając przytem trochę rozczarowania.

Tenczyński wiele sobie obiecywał z tych kilkunastu godzin poufnej, bez świadków, pogawędki.

Pominąwszy przyjemność znajdowania się w towarzystwie pani Julii, przypuszczał, iż będzie to jedyna sposobność, aby wypowiedzieć się i zajrzeć do głębi jej uczuć; myślał, że może pani Julia, pod wrażeniem, iż jadą do wspólnego celu, łączącego ich jakby maleńką niteczką jakiejś spójni, powie mu o swoim wewnętrznym „ja” coś więcej, niż dotychczas słyszał, że może usłyszy jej zapatrywanie na tryb życia dotychczasowy, może niewyraźną, skargę na brak obok siebie istot drogich i blizkich, może... coś z tej głębi, którą się zachowuje dla wybranych sercem, a której się nie rozrzuca w zdawkowych rozmowach i znajomościach. Cóż byłby dał za to, by ją raz widzieć rozrzewnioną, rozbrojoną z tej zawsze jednakowej pewności siebie i spokojnego podtrzymywania banalnej pogawędki, nie wychodzącej za granicę flirtu! Byłaby wtedy więcej kobietą, istotą, potrzebującą oparcia i kochania, a on byłby ukląkł przed nią, o świecie zapomniał i błagał ją, by mu pozwoliła przez całe życie myśleć tylko o jej szczęściu.

Od jakiegoś czasu opuściła go chęćka ironicznej krytyki małżeństwa. Choć się do tego nie przyznawał, ale zawsze w głębi serca uważał życie rodzinne za jeden z czynników najczęściej uszlachetniających; to też od kobiety, mającej stać na straży tego ogniska, żądał w zasadzie podniosłości ducha i uczuć subtelnych. Dotychczas jednak było to zasadą, w rzeczywistości zaś zauważył, że kobiety „wyższe” są strasznie nudne, zatem ożenienie się odkładał do czasu nieograniczonego, a starał się o względy kobiet, nie mających żadnej pretensyi do wyższości umysłowej lub moralnej.

Pani Julia zrobiła w jego myślach trochę przewrotu.

Skoro z dość zaciętym uporem nie chciała zrozumieć jego strategii, nie przypuszczał, przez miłość własną, aby to było obojętnością, lub zabawką; zaczął więc w jej prześlicznych oczach i czarującym uśmiechu dopatrywać się duszy nieskalanej i anielskiej, a wyobraźnia zakochanego, podniecana urokiem sprytniej osóбки, umiejącej się podobać i sobą zając, dokonała reszty i doprowadziła do stanowczego zamiaru małżeństwa.

Gniewało go zachowanie się pani Julii i to, że nie rozumie lub rozumieć nie chce, iż on pragnie teraz innej rozmowy, serdecznej, opartej na zaufaniu i wzajemnem uczuciu sympatycznym, wiążącym serca trwałej, niż stuła i obrączka.

Nie chciał z nią rozmawiać tak, jak w Nizy na plaży lub w warszawskim salonie; dosyć miał gry słów, która się tylko ślizga po powierzchni przedmiotów, nie zaglądając do ich głębi.

Chmurniał też coraz bardziej, stawał się małowimnym i opryskliwym, choć pani Julia nie żałowała swoich uśmiechów najładniejszych, a urok ich trwał ciągle, denerwował coraz bardziej i obezwładniał myśli Tenczyńskiego.

Pani Julia zrobiła sobie pocichu spostrzeżenie, iż jej towarzysz jest tego dnia dziwnie nudny i za mało nią zajęty. Downarowski jej się przypomniał – i żał się jej zrobiło, że jego ślicznej twarzyczki, zapatrzonej w nią z zachwytem, nie zobaczy przez kilka tygodni. Ten umiałby ocenić swoje szczęście... I zaczęła żałować, że zamiast Tenczyńskiego, Beniaminek nie siedzi w jej przedziale.

W Piotrkowie zjedli drugie śniadanie, humory się poprawiły i z ożywieniem wrócono do wagonu.

– Mogą nas brać ludzie za młodą parę w podróży poślubnej – rzekła pani Julia, wskazując bukiet i cukierki, przywiezione z Warszawy przez Tenczyńskiego. – Jakież to zawsze

jednakowo komiczne i banalne... taka pierwsza podróż poślubna! Nigdy bez cukierków i bukietu obejść się nie może. Państwo młodzi, z minami arcy komicznymi, obraz kompletują, a zawsze w kostiumach prosto z igły! *Comme cela sent le dimanche d'un parvemi!*

– A jednak odgrywała pani niegdyś tę śmieszłą komedię...

– Z przyjemnością wykreśliłabym z pamięci te kartki mojego życia.

– Czy z powodu ubrania prosto z igły, czy też cukierków lub bukietu?...

Chociaż ton zapytania był żartobliwy, pani Julia przeczuwała, że Tenczyński przywiązywał wiele wagi do jej odpowiedzi.

Patrzała na niego przez długą chwilę i rzekła powoli, z naciskiem:

– Z powodu... z powodu... kajdan.

Tenczyński zamyślił się. W słowach pani Julii mieściło się całe jej usposobienie. Wszystko dla niej było miłe, pełne uroku i wabiące, dopóki nie wychodziło poza granice fantazyi, kaprysu, lub rozbujającej imaginacji. Gdy zaś przybierało formę zobowiązania i moralnej odpowiedzialności, traciło swój powab i stawało się kajdanami.

Czyżby był naiwnym marzycielem? Czyżby naprawdę nie było wśród kobiet takich dusz świetlanych, któreby potrafiły kochać bez myśli o sobie, dla których kajdany z rąk ukochanych są marzeniem, bo pozwalają przez wszystkie chwile życia myśleć o szczęściu wybranego?

Tenczyński uśmiechał się ironicznie. Czyż on ma lat dziewiętnaście, że sobie stwarza w wyobraźni jakieś kobiety o skrzydłach anioła?

– Proszę, niech mi pani powie zupełnie otwarcie, bardzo panią o to proszę... Czy nigdy pani na myśl nie przyszło, że małżeństwo, po za tem, iż nakłada kajdany, ma jeszcze strony dodatnie, subtelne, serdeczne... które człowieka zachowują w moralnej równowadze, a które każdy uczciwy człowiek szanuje w głębi serca, choć niezawsze o tem głośno mówi? Czy naprawdę małżeństwo byłoby dla pani tylko ciężkimi i nudnymi kajdanami?

Pani Julia przypomniała sobie wzmiankę Nessla o zamiarach Tenczyńskiego i zrozumiała jego pytanie. Uśmiech pogardliwy, który przed chwilą zauważyła na jego twarzy, zdenerwował ją trochę i zniechęcił – i znów, niewiedomo czemu, Downarowski stanął w jej myśli.

Jakiż on jest zawsze pełen zapału i kochać umie! Onby się złośliwie nie uśmiechał, onby całował skraj jej sukni i przysięgał, że kajdany jej ręką nałożone byłyby dla niego rozkoszą i szalem życia! A Tenczyński?... Najpierw ją z jej zapatrywań chce wyegzaminować, nim ją zaszczyca oświadczeniem swojej miłości! Nie. Bezwarunkowo on się starzeje i nabiera starokawalerskiej pedanterii!... Downarowski – to złoty chłopak, pełen życia i młodości!...

Chciała rozmowę utrzymać w nieokreślonym tonie i dała odpowiedź wymijającą:

– Byłam w małżeństwie bardzo nieszczęśliwą. Byliśmy parą niedobraną.

Powiedziała to z odcieniem smutku, gdyż stanęły jej w pamięci różne wspomnienia przykre i niemiłe.

Tenczyńskiego to wzruszyło. Były to pierwsze wyrazy jakby jakiegoś wyznania trosk przebytych... Po takich zwierzeniach serdeczniej roztwiera się serce i ramiona.

Coraz bardziej działał na niego niewytłómaczony jej urok, którym go opętała i zaślepiła. Drżały mu na ustach bezładne słowa miłości, lecz pytał dalej:

– Czy pani nigdy na myśl nie przyszło, że tembardziej należy się pani więcej szczęścia? Czyżby pani do nikogo nie miała zaufania?... Przecież o zaufanie to tak łatwo, jeżeli się ma choć trochę... życzliwej wzajemności...

Słowa i wzruszenie Tenczyńskiego znowu panią Julię mimowoli rozmarzyły. Jadąc tak razem, czuła się bardziej do niego zbliżona; nieustanny łoskot pociągu sprawiał trochę odurzenia, zdawał się nie dopuszczać do nich żadnego echa ze świata zewnętrznego.

Doznawała nieco wdzięczności za to uczucie, które jej Tenczyński okazywał. I rozmarzeniu pozwalała się unosić, napół jeszcze tylko niepewna, czy pójść za ostatnimi

wrażeniami, wyciągnąć ku Tenczyńskiemu rękę i podążyć z nim na drogę życia, czy milczeć?

Słuchała dalej jego głosu, a wrażenia z Nizzy i Drezna, zatarte już trochę w pamięci, zaczęły znowu nabierać nieznacznie barw świeżości.

– Szczęście nosimy w nas samych – rzekł Tenczyński.

Nagle przy tych słowach znikł cały urok...

Dziwny traf: to samo zdanie wypowiedział jej nieżyjący mąż przy oświadczynach.

Pani Julia się uśmiechnęła.

Czyżby wszystko na świecie było podobne do siebie? Czyżby pożycie z Tenczyńskim miało być podobne do jej pierwszej małżeńskiej próbki?...

Przyszły jej na myśl ...szczęśliwe chwile narzeczeństwa, najpierw świat iluzji, a potem rozczarowań. Przypomniała sobie Nessla, jak zostawił przy ołtarzu całą subtelną delikatność postępowania, a tyleż był przykrym tyranem domowym, ile był wyszukany i wykwinny w towarzystwie obcych ludzi. Przypomniała sobie Tenczyńskiego złośliwe uwagi i uśmiechy ironiczne, pewną bezwzględność despotyczną i upór, aby zawsze na swoim postawić, a twarzyczka Downarowskiego znów się zjawiła, nie wołana, i odzierała Tenczyńskiego z resztek uroku.

Chcąc rozmowę sprowadzić do granic zwykłej wymiany słów, rzekła obojętnie i swobodnie:

– Tak, ma pan słuszość. W nas samych jest tylko szczęście; to też ja go od innych wcale nie żądam, i tak mi jest z tem doskonale, że za nic w świecie nie zmieniałabym swojej roli. Prędej wszystko, niż powtórne małżeństwo!

– Czy to jest ostatnie pani słowo?

– Tak!

W Tenczyńskim gniew zawrzał. Nie spodziewał się takiej odpowiedzi. Pierwszy raz na myśl mu przyszło, że może pani Julia bawi się jego uczuciem, ale go nie podziela. Pytając patrzył na nią, a zdrażnięta miłość własna burzyła mu krew.

Ale im bardziej był wzburzonym, tem spokojniejszą była pani Julia. W oczach miała trochę szyderstwa i wyzwania. Mówić się zdawała: „A widzisz, to tyś się złapał, ale nie ja!”

Tenczyński przez kilka chwil nic nie mówił, zbladł na twarzy, a wewnątrz wrzał gniewem gwałtownym.

Kobieta, której się oddawał tak, jak żadnej dotychczas jeszcze, nie rozumiała go i bawiła się jego uczuciem.

Miał ochotę mówić jej niegrzeczności, dokuczać, wyrządzić przykrość w jakibądź sposób, ale panował nad wrażeniami, tylko w ironicznym uśmiechu dawał im trochę ujścia.

– Czy pani lubi dyamenty? – spytał nagle.

– Lubię – odrzekła pani Julia, zdziwiona tą nagłą zmianą frontu.

– A czy pani wie, dlaczego niektóre uczucia ludzkie i pojęcia porównywane są do dyamentów? – Nie.

– Oto dlatego, że się nimi niektóre płocze kobiety stroją, jak dyamentami, po to tylko, ażeby im w nich było do twarzy.

– Wzbudzając zazdrość w tych, których nie stać na takie stroje – odrzekła pogardliwie pani Julia.

– Niema czasem tak bardzo czego pożądać i zazdrościć. Przyjrząwszy się bliżej, rozpoznaje się nieraz, że te dyamenty, czy też uczucia, lub pojęcia, to tylko szkiełka, albo tandeta podrabiana.

Oboje czuli się skrepowani, to też z przyjemnością dojechano do granicy, a zajęcie z rzeczami, biletami, pasportami, w samą porę rozrywało myśli wzburzone.

Gdy na austriackiej stronie znów się razem w wagonie znaleźli, dokładał wszelkich starań, aby rozmowa zawiązała się naturalna i swobodna, jakby nigdy żadna kwestya drażliwa nie była między nimi poruszana.

Rozmawiano o potocznych sprawach i wypadkach, chwilami nawet śmiano się i dowcipkowano, ale czuli oboje, że jest wtem więcej komedyi, niż szczerości, że się w ich stosunku coś przerwało, co się już nigdy nie nawiąże.

Wychowawczy klasztor Przemienienia oddalony był od Krakowa o dwie mile. Wyjeżdżano koleją, od stacyi prowadziła ładna aleja, wiorstę długa, zakończona widokiem na ogród i na klasztorną osadę.

Klasztor zbudowany był niedawno. Robił wrażenie dochodowej kamienicy z przedmieścia, bez wyraźnego stylu, z weneckimi oknami i elektrycznym dzwonkiem u bramy.

Wygląd ten zewnętrzny dziwił trochę panią Julię, jadącą z Tenczyńskim od stacyi kolejowej. Nigdy jej nie przyszło na myśl, że klasztory wychowawcze, ze względu na uczennice, idą za postępem i stosują się w praktycznych udogodnieniach do chwili bieżącej. Klasztor w jej pojęciu kojarzył się z ponurym widokiem pustelni odludnej, sklepionych krużganków, napełnionych piwnicznym powietrzem, jakby stworzonych do roznoszenia ech złowrogich.

Przypomniała sobie różne zagraniczne opactwa, zwiedzane jako zabytki średniowiecznej architektury, w niczem niepodobne do klasztoru Przemienienia.

Trochę klasztornego wrażenia odebrała z szyb na biało malowanych i z małego okienka, które się w bramie na odgłos dzwonka otworzyło, ukazując głowę siostry furtyanki.

– Czy możemy widzieć się z przełożoną? – spytał Tenczyński. — Jesteśmy znajomymi panny Olszyńskiej.

Wrażenie jednak zostało zepsute, gdy furtyanka przez telefon zaczęła rozmawiać z przełożoną.

Wprowadzono ich do tak zwanej rozmównicy. Był to nieduży salonik, wesoły, urządony z pewną elegancją, z firankami u okien i garniturem świeżych mebli. Przedzielony był kratą żelazną, przez którą z zakonnicami rozmawiano. Za kratą po stronie zakonnej stały tylko drewniane krzesła, tworzące kontrast ze starannem urządzeniem saloniku, dla gości przeznaczonego. Za kratą ukazała się przełożona.

– Państwo przyjechali odwiedzić pannę Olszyńską? – spytała uprzejmie.

– Tak – odpowiedziała pani Julia. – Pan Tenczyński jest jej krewnym, a ja jedyną przyjaciółką, jaką miała poza klasztorem. Chcielibyśmy ją nie tylko widzieć, ale być obecnymi przy jej obłóczynach, które podobno w tych dniach mają się odbyć. Czy można ją widzieć? Tak nas wszystkich zdziwiło to nagłe postanowienie, że chcielibyśmy z nią pomówić trochę obszerniej.

– Chwała Bogu, że nie tylko mnie jedną dziwi to nagłe powołanie – rzekła żywo przełożona. – Rada jestem, że państwo się zjawili, może ze swoimi blizkimi będzie otwartą i szczerze pomówi.

Była to kobieta w średnim wieku, o dużych jasnych oczach, patrzących spokojnie i rozsądnie, przyzwyczajonych zaglądać do dusz dziecinnych i naiwnych, tudzież wątpiących i rozczarowanych, lub egzaltujących się i idealnych, o oczach, które się wielu rzeczom dziwić przestały, a w doświadczeniu duchowym nauczyły się odróżniać niepotrzebne chwasty wybujałej fantazyj od prawdziwych skarbów dusz podniosłych.

Od pierwszej chwili rozmowy była swobodna i z zajęciem mówiła o Nince.

– To nagłe powołanie wydaje mi się trochę nienaturalnem – ciągnęła dalej. – Gdyby była miała wrodzoną skłonność do klasztornego życia, byłybyśmy to zauważyły, kiedy była pensyonarką, ale tego nikt nawet nie spostrzegł, zaś poza klasztorem tak mało obracała się między ludźmi, że nie miała kiedy rozgoryczyć się do świata i przejść przez jakieś rozczarowania i zawody. Nie mówię jej tego, ale chcę trzymać ją jak najdłużej w nowicyacie; niech ma czas do namysłu. Później, po złożeniu przysięgi, cofać się niepodobna i nie czas już

wtedy naprawiać pomyłki, wynikłe z niezrozumienia własnego nastroju wewnętrznego.

– Biedna Ninetka! – westchnęła pani Julia. – To nic innego, tylko przywidzenie to powołanie; napewno kiedyś tego pożałuje.

– Myśmy tu już miały niejedną ofiarę takiej pomyłki. To najczęściej młode istoty, nie umiejące zachować równowagi umysłu przy pierwszym jakimś zmartwieniu, lub zawodzie. Później, kiedy takie młode stworzenie ochłonie z pierwszego wrażenia, to rwie się do życia. marnieje w nieodpowiednim otoczeniu i... umiera. Mamy na naszym cmentarzu niejednego grób takiej zakonnicy, która, nie mając powołania, ale w przystępie jakiejś egzaltacji wstąpiła do klasztoru, była pełna życia i zdrowia, a później w oczach nikła i trzydziestego roku nie dożyła.

Po słuchających lekki dreszcz przeszedł.

Jednak ten klasztor, pomimo wyglądu zachęcającego, pomimo wesołego saloniku dla przyjezdnych, pomimo elektrycznych dzwonek, okien weneckich i telefonów, mógł być zarazem i grobem dla dusz niepowołanych, które tak jak rośliny, przesadzone na grunt nieodpowiedni, tęsknią do wspomnień, marnieją powoli i umierają... Czy wszystkie?

Tenczyński przyglądał się przełożonej, takiej zadowolonej i spokojnej, z wyrazem twarzy, pełnym dobroci i pogody, jakby tryumfującej ze zwycięstw, odniesionych nad ułomnościami natury i słabostkami światowemi.

I nagle ta skromna postać w grubym habicie wyrosła w jego wyobraźni do rozmiarów wielkich i nadzwyczajnych.

Panią Julię znów zaczęło interesować to wnętrze klasztoru, którego skrawek widziała przez kratę, i rzekła z przymileniem:

– Ach, mój Boże... gdyby to pani zechciała zrobić mi wielką przyjemność... ale doprawdy, nie śmiem prosić... Teraz są wakacje uczennic, w klasztorze wiele jest miejsca... Gdybym tu mogła pozostać z Ninką do jej oblóczyn... to tylko dwa dni... a ja byłabym taka szczęśliwa...

Przełożona zgodziła się na to żądanie i obiecała jej gościnność na ten krótki przeciąg czasu.

Po chwili rozmowy wyszła, aby przysłać Ninkę Olszyńską.

Ninka weszła z zakłopotaniem.

Wiadomość o niespodziewanym przybyciu Tenczyńskiego wzruszyła ją i zmieszała spokój myśli.

– Moja ty droga Ninetko! Pozwól, że ci po imieniu będę mówiła – rzekła pani Julia. – Przyjechaliśmy zaraz po twoim liście. Co znaczy to wstąpienie do klasztoru? Coś zrobiła, brzydka dziewczyno, żeś sobie naznaczyła aż taką pokutę?...

Przywitanie było serdeczne, chociaż krata żelazna utrudniała pocałunki.

– Potośmy przyjechali, żeby panią z klasztoru wyrwać – mówił Tenczyński z uśmiechem i serdecznie, – bo nikt ze spokojem patrzeć nie może, gdy taka dobra osóбка odwraca się z pogardą od ludzi i pozbawia ich swojej osoby i... świętości, mogącej czasem uświęcić jakiego grzesznika. Nazywając rzecz po imieniu, to nic innego, tylko egoizm.

– Bardzo proszę, niech pan do niej nie mówi w tak drwiący sposób – przerwała pani Julia z miną arcy pompatyczną i z przeświadczeniem o ważności swojej misji. – To kwestya zanadto poważna, aby ją zbywać jakimiś drwinkami... Moja Ninko, powiedz nam otwarcie, my jesteśmy tobie tak bardzo życzliwi, a przecież nie masz nikogo więcej znajomego i bliskiego; powiedz, dlaczego chcesz zostać zakonnica?... Moja Ninetko, skąd ci ta myśl przyszła?

Ninka nie od razu zdobyła się na odpowiedź. Czuła na sobie pytający wzrok Tenczyńskiego i bała się, że może jej wyznanie wywoła drwiący uśmiech na jego usta, że może jej idealne marzenie, wrażenia, zesłane jakby z nieba przez oblicze Madonny Sykstyńskiej, ta chęć czerpania duchowej rozkoszy w odtrąceniu wszystkich ziemskich uroków – może to wszystko byłoby niezrozumiałe dla tych istot *par excellence* światowych i materyalnych?...

To też na samo przypuszczenie ironii, lub uśmiechu w kwestyach, które z jej oczu

wyciskały łzy wzruszenia, maleńka jej odwaga zamykała się w sobie i trwożliwie zwijała skrzydła. Zresztą nie mogła być zupełnie szczerą, nie mogła powiedzieć, że wtedy dopiero straciła chęć do życia światowego, kiedy Tenczyński zabrał jej myśl, a nie dając nic wzamian, skierował wyobraźnię ku marzeniom zaziemskim i duchowym.

Po chwili rzekła z przymusem:

– Boję się świata. Byłabym bardzo nieszczęśliwą.

– Przywidzenie, Ninko, nic, tylko przywidzenie! Całe nieszczęście w tem, żeś nigdzie nie bywała i nie miała czasu zakochać się... Młode panny powinny bez przestanku być zakochane, bo inaczej, skoro nie mają o czym marzyć, niepotrzebne myśli do głowy im przychodzą...

– To bardzo łatwo, niech mi pani wierzy. Potrzeba tylko trochę dobrych chęci i raz spróbować – rzekł Tenczyński.

– Ach, proszę, nie mówmy już o mojem powołaniu! Mam. tak silne postanowienie, że wszelkie perswazyje są zbyteczne.

Znać było w wyrazie twarzy Ninki, że rozmowa ta sprawia jej wiele przykrości. Tenczyńskiego umacniało to w przekonaniu, że Ninka nie chce wyjawic prawdziwej przyczyny swojego postanowienia.

Żał mu jej się zrobiło, patrzył na nią ze współczuciem, a za kratą, która nie dozwalała ogarnąć wzrokiem całkowitej jej postaci, wydała mu się od nich więcej oddaloną, inną a lepszą. Rzekł też poważnie, a w głosie dźwięczały nuty serdeczne i życzliwe:

– My nie chcemy pani robić przykrości, nie chcemy odradzać tego, co dla pani może być szczęściem; tylko na to trzeba zwrócić uwagę, czy pani obliczyła się ze swojemi siłami moralnemi? Łatwiej jest coś postanowić w chwili podniecenia, ale wytrwać w tem postanowieniu przez całe życie – czy to nie ciężiej? Przecież może przyjść na panią jakaś chwila wewnętrznej reakcyi, jakaś myśl, że poza murami klasztornymi istnieje świat inny, który, pomimo wielu stron ujemnych, może dać niejedną chwilę bardzo wielkiego szczęścia... Czy pani jest pewną znaleźć w sobie zawsze jednakową wytrwałość i siłę woli?

– Bóg dopomoże – odrzekła Ninka z jakąś smutną rezygnacją.

Wzruszenie za gardło ją ścisnęło; słowa serdeczne tem większe na nią wywierały wrażenie, iż je Tenczyński wypowiadał. Rozrzewniały ją i malowały żywszemi barwami wszystkie wspomnienia. Słowa jego i obecność wywoływały tysiące wrażeń nowych i sprzecznych, burzących względny spokój, z takim mozołem zdobywany przez systematyczne wypełnianie zakonnych obowiązków, przez zamknięcie myśli w ściśle określonym horyzoncie pracy moralnej dla dobra duszy. Miała uczucie, jakby Tenczyński wyrządził jej jakąś krzywdę swoim przyjazdem, ale w myśli przyjmowała wolę Bożą; zdawało się jej, że Bóg, przez odnowienie wspomnień serdecznych, wypróbować chce jej silną wolę i duszę jej, jak kruszec w ogniu, oczyścić tą próbą z ziemskiego przywiązania, ażeby była godną stanąć u stóp Jego ołtarza.

Z wnętrza klasztoru doszedł dzwonek, oznajmiający szóstą godzinę, „Anioł Pański” i zamknięcie bramy.

– A więc do widzenia za trzy dni! – rzekła Ninka; – pożegnam się z panem dopiero w dzień obłóczyn.

– I do Krakowa razem powrócimy – dorzuciła pani Julia.

Tenczyński odszedł, drzwi boczne otworzono, i pani Julia znalazła się razem z Ninka na klasztornym kurytarzu.

Światło szło niewyraźne od okna malowanego, wyobrażającego klasztorną Patronkę; po bokach były drzwi do sal i klas pensyonarskich. Dla uniknięcia głośnych kroków, chodnik był na podłodze rozesłany.

– Mamy jeszcze godzinę czasu – rzekła Ninka; – o siódmej kolacja, a później są jeszcze wieczorne modlitwy, po których rozmawiać już niewolno. Chodźmy do ogrodu.

Przeszły przez podwórze, starannie wyasfaltowane. Ogród był za baryerką, stanowił równy czworobok, urozmaicony kilku trawnikami i strzyżonymi klombami. Nawprost wejścia dywanowe rośliny składały imię „Jezus,” a w środku między kwiatami stała figura Matki Boskiej.

– Ładnie tu u was – rzekła pani Julia, siadając na jednej z ławek blisko figury. – Idealnie utrzymany jest ten ogródek. To zupełnie tak wygląda, jakby u jakichś wód niemieckich, mniej odwiedzanych. Ale Ninko, teraz jesteśmy same, mówmy otwarcie. Wyjaśnij że mi to twoje klasztorne powołanie. Niepodobieństwo przecie, abyś się tak długo upierała przy swojej fantazji. Nie możesz przecie przez całe życie mieć przed oczyma tylko tego kwadratu z wysokim murem i tej żółtej trzypiętrowej kamienicy. Można sobie nawet wzrok osłabić, patrząc ciągle na to samo.

Ninka uśmiechnęła się, choć była niezadowolona z tej rozmowy. Znowu to szperanie w jej myślach i uczuciach!

Postanowiła dawać odpowiedzi jak najkrótsze i wymijające.

– Nikt tu na oczy nie cierpi – rzekła. – Patrz, kilka zakonnice chodzi po ogrodzie. Przyjrzyj się ich twarzom: niema żadnej zachmurzonej i malkontentki.

Rzeczywiście, na zakrętach uliczek, pod linię wystrzyżonych i wyżwirowanych, rysowały się czasem postacie zakonnice. Niektóre odmawiały zaległy z dnia różaniec, inne spacerowały, rozmawiając.

Niedaleko Ninki i pani Julii siedziały dwie zakonnice. Jedna z nich pisała coś z zajęciem; był to rozkład godzin na rok szkolny. Druga przeglądała jakieś nowe wydawnictwa i świeże dzienniki. Dziwny to był widok dla pani Julii. Zakonnica z twarzą uśmiechniętą i pogodną, z gazetą w ręku, nie zajęta biczowaniem i nieustanną kontemplacją w ciemnej, wilgotnej celi, w towarzystwie trupiej głowy, była dla niej zjawiskiem zupełnie niespodziewanym.

Nie umiała zdać sobie sprawy, że zakony wychowawcze, obok swojej reguły, mają w założeniu wskazane, jako cel, całkowite poświęcenie się wychowaniu młodego pokolenia, w następstwie czego zakonnice są obowiązane do nieustannej pracy umysłowej, do znajomości bieżących wyników na polu wiedzy i nauki, znajomości okólników rządowych, postępów metody i prądów chwili. Czemże byłyby ich nauka i wychowanie, gdyby wzięły zupełny rozbrat z duchowem życiem świata? Powoli pojęcia ich doszłyby do jakiejś oderwanej abstrakcji, nie mającej zastosowania w żadnym społeczeństwie.

Taka nowoczesna zakonnica wychowawczyni, chociaż jest najczęściej kobietą o szerokim zakresie myślenia, mimo światowej ogłady, gdyż zwykle wyższe towarzystwa dostarczają kandydatek do ich zastępu, traci może na zewnętrznym, malowniczym uroku w oczach malarza lub poety romantycznego, szukającego efektu w półcieniu średniowiecznej celi klasztornej i ponurego nastroju gotyckiej katedry, roznoszącej echa psalmów pokutnych, śpiewanych przez czuwające dniem i nocą zakonnice, zapatrzone w krzyże, lub czaszki umarłych; ale czyż taka terażniejsza zakonnica nie stoi o całe niebo wyżej od swoich poprzedniczek z wieków ubiegłych?

Tamta zachętę do zakonnego życia czerpała w swoim otoczeniu. Nie straszyl jej tryb życia, nie będący bardzo oddalonym od trybu życia codziennego w rodzinach, ewangelicznie życie pojmujących. Nie znała krainy zwątpienia, niewiary i obojętności, nie szła pojęciami na przebój przez prądy chwili, tak, jak ta terażniejsza, która przez umysłową styczność ze światem widzi się ciągle na przeciwnym krańcu pojęć życiowych, w książkach i dziennikach znajduje hymny na cześć życia i użycia, i tych uciech zewnętrznych, których wyrzekła się dobrowolnie. Znajduje tam pojęcia, wzbudzające powątpiewanie i sceptycyzm, siejące burze w jej umyśle, poruszające tysiące zagadnień moralnych i życiowych, których istnienia nie przypuszczała nawet zakonnica z wieków poprzednich. A czy będąc w niezgodzie z sobą samą... znajdzie zawsze w sercu swoim odpowiedź na wszelki zamęt myśli?... A jeżeli nic jej nie zniechęci, jeżeli zwycięży moralne niepokoje i jeżeli zawsze szczęściem jej będzie dobro

drugich i oderwanie swojej istoty od wszelkich ziemskich pragnień, czyż nie jest świętą? Czyż nie z większym trudem zdobywa swoją świętość, niż wiele męczennic pierwszych wieków chrześcijańskich, w jednej chwili entuzjazmu składających życie na ołtarzu wiary? Jej zapał starczyć musi na wszystkie chwile życia – życie bywa nieraz bardzo długie, a słabszym duchom w ciągłej pielgrzymce ku górze nieraz tchu zbraknąć może...

Klasztor Przemienienia, jak wogóle wszystkie klasztory, dawał wrażenie spokoju, wypełnionego życiem odmiennym, a które jednak samo w sobie było światem, mieszczącym nieraz i grę uczuć różnorodnych, i walki ducha, i jego upadki i zwątpienia, lub bieg jego tryumfalny ku jasności cnoty i piękna...

Przy nieustannym, prawie machinalnym wykonywaniu obowiązków, w tem samym ciągle otoczeniu, ze spokojną świadomością, że tak samo będzie jutro, i pojutrze, i za rok, i za trzy lata, zatracą się powoli miarę czasu, w jedno nieokreślone wspomnienie ścierają się dni pojedyncze, zaznaczone tylko niekiedy mniejszym lub większym wysiłkiem ducha, rysującym się wyraźniej na szarem, jednostajnym tle życia, codziennego.

Spokój ten, z odcieniem pogody i zadowolenia, wywierał wiele wrażenia na łatwo ulegającej wpływowi naturę pani Julii.

Odmienny to był świat, w niczem niepodobny do jej zwykłego otoczenia. Oderwany od wszystkiego co zewnętrzne, pokazywał jakby za mgłą, w oddaleniu, wszystkich Tenczyńskich, Downarowskich et Comp.

Pani Julia uczuła się w klasztorze w bardzo świątobliwym usposobieniu. Klęcząc w pustej kaplicy, asystowała modlitwom zakonnic i myśli, odpowiednio do okoliczności, miewała też bardzo dyskretne i poetyczne. Nie hazardowała się nigdy na wspomnienie o Tenczyńskim: byłoby to profanacją kaplicy przywoływać wyobraźnię jego rysy, tak często drwiące i złośliwe. Do marzeń w tem poświęconem i poetycznym miejscu nadawał się tylko Downarowski, gdyż piękny był jak cherubinek, a zakochany w niej idealnie i czcił ją niby obrazek święty. Snuła się też jego twarzyczka po myślach pani Julii i coraz więcej nabierała uroku, im w większem znajdowała się oddaleniu.

Na drugi dzień pobytu jej w klasztorze, gdy się rozchodzono z kaplicy po wspólnych modlitwach, zbliżyła się do Ninki i rzekła wesoło:

– Chodźmy do ogrodu, moja „święta.” Podczas waszych modlitw przyszła mi myśl genialna. Mam świetny plan. Jeżeli ten argument nie wyciągnie cię z klasztoru, to uwierzę w twoje powołanie.

– No, cóż takiego? – spytała Ninka, siadając obok pani Julii na ogrodowej ławce.

– Zdaje mi się, że ci jeszcze nie opowiedziałam o pomysłe tego dudka Tenczyńskiego. Wyobraź sobie, że teraz, jadąc tutaj, gdy mu zabrakło tematu do rozmowy, zaszczycił mnie niewyraźnymi oświadczeniami.

– I jesteście zaręczeni? – przerwała Ninka, której niewiadome czemu, tchu brakło w oczekiwaniu odpowiedzi pani Julii.

– Ach, co za przypuszczenie! Dałam mu do zrozumienia, że wcaleby mnie nie bawiło powtórne małżeństwo. Uważałam, że mu to było nieprzyjemnem. Okropnie był zły na mnie. Ha! ha! On jest tak zarozumiały i pewny siebie, że moja odmowa wydała musie prawdopodobnie czemś niepojętem, kolosalnem!

Nince żal było Tenczyńskiego, ale równocześnie miała ochotę rzucić się na szyję pani Julii i podziękować jej za coś serdecznie, wstać i biec gdzieś daleko, na kraniec horyzontu, lub dalej jeszcze... A pani Julia mówiła ze śmiechem:

– Ale posłuchaj tylko. Wiesz co, że ty i Tenczyński bylibyście parą idealną. Wybierając z dwojga złego, wolałabym Tenczyńskiego, niż mury klasztorne. Decyduj się, to cię wyswatam. Właśnie w kaplicy o tem myślałam. On będzie należał do tego gatunku mężów, którzy od rana do nocy prawią morały swoim żonom, ale warunek ewangelicznego, zgodnego pożycia: że im samym wszystko będzie dozwolone i przebaczone. Ty zaś jesteś tak dobrą, że na

wszystko będziesz mu pozwalala i zastosujesz się we wszystkim do jego dziwactw. Bylibyście małżeństwem najprzykładniejszym w świecie.

Ninka uśmiechnęła się, choć żarty te robiły jej wiele przykrości.

– E, kto wie, może mam różki, ale dobrze ukryte, i pokazałabym je po niewczasie.

Ogarniało ją silne wzruszenie, żal i niepokój; nie chciała dalej rozmawiać w tym tonie i szybko przerzuciła się na inny temat.

Nadszedł dzień obłóczyn. Klasztorną kaplicę ubrano w kwiaty i wysłano czerwonym sukniem, które służyło do wszystkich obchodów tego rodzaju.

Czekano tylko na przybycie biskupa z Krakowa i kilku osób z towarzystwa.

W całym klasztorze panował uroczysty nastrój, zawieszono wszystkie codzienne czynności. Pani Julia spacerowała po klasztornej podwórku i rozmawiała z zakonnicami.

– Żal mi opuszczać to ciche ustronie – mówiła ze smutkiem. – Niewiadome, kiedy przeszły mi te trzy dni. Nie zapomnę nigdy miłego wrażenia, jakie stąd wywozę. Już mi teraz Ninki wcale nie żal, ale zazdroszczę jej, że się zdobyła na ten krok stanowczy i znalazła w sobie tak wiele mocy charakteru. Ona jest szczęśliwa... Obrała najlepszą część. Kto wie, może i ja tu wrócę niezadługo i na zawsze?

Była szczerą, poddawała się, jak zwykle, wrażeniom chwili. Owładnęła ją pogodna i spokojna klasztorna atmosfera; widok istot, zajętych wyłącznie spełnianiem obowiązków, imponował jej wielce, bawił i zajmował przez chwilę, jak każda nowość.

Mimo zapowiedzi budzącego się klasztornej powołania, pani Julia ubrana była z większą, niż dni poprzednich, starannością. Grzywkę miała modnie zafryzowaną, i mimo upału, trzymała się ciągle między murami, nie odważając się wyjść do ogrodu, gdzie jaki wietrzyk niedyskretny mógł być zburzyć całą harmonię loczków jej misternych. A angielski kostium, szeleszczący jedwabną podszewką, dziwnie odbijał od grubych zakonnych habitów. Elegancja była poniekąd uzasadniona klasztorną uroczystością, przybyciem księdza biskupa i Tenczyńskiego. Ninka tymczasem była w kaplicy. Przed chwilą odbyła spowiedź z całego życia, przyjęła Komunię św., a gdy pozostała zupełnie samą, klęczała nadal przed ołtarzem i snuła wątek swoich myśli pobożnych, nawpół modlitwę, a nawpół pożegnanie świata, którego nie znając, wyrzekała się na zawsze.

I plątały się różne wspomnienia i szczegóły, które jej już dawno z pamięci uleciały, a teraz z powrotem cisnęły się tłumnie i natarczywie. Była rozentuzymowana modlitwą i naukami spowiednika, rozmarzona ciszą i samotnością kaplicy, rozważała swoje zakonne powołanie i okoliczności, które ją tu sprowadziły.

Przypomniała sobie długie rozmyślanie, nasunięte niegdyś widokiem boskiego oblicza Madonny Sykstyńskiej, i przyczyny, dla których szukała tam samotności, w towarzystwie smutnych myśli.

Wszak to było tego dnia, kiedy Tenczyński z Drezna wyjeżdżał, i kiedy przypuszczała, że go już nigdy nie zobaczy. A więc to nieszczęsne przywiązanie było przyczyną jej powołania?

Trwoga ją ogarnęła i bojaźń, iż jest niegodną stać się Bożą służebnicą, gdyż nie sama miłość Chrystusa i myśl o poświęceniu skierowały jej kroki do stóp ołtarza.

Ale jej idealna wiara, bez zastrzeżeń, dawała odpowiedź na wszystkie wątpliwości. Nie, to była wola Jego wszechmocna, a przywiązanie to było tylko próbą i środkiem, naprowadzającym ją na myśl o przyszłości i służbie Bożej.

Rozmarzyły ją własne myśli, odrywały od rzeczywistości i świata zewnętrznego. Szeptala modlitwę dziękczynną za to, iż ją Bóg powołał w zastęp wybranych, którym jest dana świadomość i wzgarda ziemskich znikomości. Modlitwa jej była pełna zapału, czystych uniesień i prośby o moc i wytrwanie, a choć niewiadomo czemu ogarniał ją jakiś żal i smutek, patrzyła z tryumfem na swoją przyszłość, dar miłosiernego Stwórcy – przyszłość, kreślącą swój pochód ku dalekiej duchowej wyżynie.

Szelest sukni rozległ się po kaplicy i ktoś dotknął ramienia Ninki. Odwróciła się – była to

pani Julia.

– Ninetko, moja droga! – rzekła. – Nie możesz dłużej klęczeć w kaplicy. Chodź odpocząć. Pójdziemy do rozmównicy. Jest tam Tenczyński; porozmawiamy sobie razem, ten raz ostatni.

Ninka pochyliła się nad książką.

Znowu Tenczyński! Ciągłe prześladowuje ją ten człowiek w myślach i rzeczywistości!

– Nie – odrzekła; – nie mam już czasu. Muszę iść przebrać się, zaraz będzie ceremonia.

I spiesznie odeszła w głąb klasztoru.

Wkrótce potem zaludniła się pusta kaplica. Było kilku ciekawych, kilku księży, osoby wchodzące w skład klasztoru, biskup, pani Julia i Tenczyński.

Kaplica wywierała bardzo sympatyczne wrażenie. Jasna była i ciepła, utrzymywana z wyszukaną starannością, podobna do prywatnego oratorium wykwintnej damy, której pobożność nie ma w sobie nic ponurego, ani surowego.

Ksiądz biskup Mszę odprawiał uroczyście, z liczną asystą; hymny, śpiewane przez chóry zakonnice, brzmiały poważnie, przepelniały atmosferę jakimś nastrojem religijnym, mówiącym obecnym o ważności tej chwili, podczas której dusza czysta i anielska ślubuje służbę Bożą i składa na ołtarzu poświęcenia doczesne szczęście i uciechy.

Pani Julia siedziała w ławce obok Tenczyńskiego i słuchała pięknego śpiewu zakonnice, który ją rozmarzał i nasuwał potoki sprzecznych myśli. Często ku drzwiom spoglądała, gdyż za nią przy samem wejściu od ulicy, klęczała Ninka.

Ubrana była w białą suknię i welon, jak do ślubu, twarz miała na ręku wspartą; niewiadomo, czy była zatopiona w myślach, czy w modlitwie.

Pani Julia patrzyła na nią ze współczuciem, a później wzrok jej kierował się w najciemniejszą stronę kaplicy. Koło ołtarza, z boku, czerniała krata chóru. Można było dostrzedz zdaleka czarne sylwetki zakonnice zawoalowanych, w modlitwie pochylonych.

Panował tam szary półcień, zimny i ponury, kaplica zaś była jeszcze jasna i wykwintna; będąc przystępną dla osób prywatnych, miała w sobie trochę światowej elegancji, ale tam, za kratą, był już klasztor, klauzura, o której progi rozbijała się ciekawość pani Julii, gdyż jej tam nigdy nie wpuszczano.

Ninka twarz miała spokojną. Powtarzała sobie w duchu, iż jest wreszcie u celu swoich dążeń i że szczęśliwą czuć się powinna, lecz głowę ciągle ku książce pochylała, gdyż o kilka kroków naprzód, między nią i ołtarzem, rysowała się postać Tenczyńskiego, który jej zasłaniał oblicze Chrystusa.

Ale to była już ostatnia próba i zmieszanie pokoju myśli.

Po Mszy ksiądz biskup zbliżył się do niej z asystą, według przepisów ceremoniału, a spytawszy, czego żąda, zaprowadził od drzwi kaplicy w stronę ołtarza.

Ninka szła, patrząc przed siebie... Przewyciężyła się, aby ostatni raz nie zatrzymać wzroku na Tenczyńskim. Minęła go, za sobą zostawiając, jako uosobienie ludzkiego uczucia i światowych wspomnień. Szła pewnym krokiem ku swej przyszłości i uklękła na stopniach ołtarza. Otoczyły ją zakonnice, trzymając w rękach świece zapalone i śpiewając pieśń odpowiednią, nim Ninka powtórzyła słowa ofiarowania.

– Obsiadły ją, jak kruki! – szepnęła pani Julia.

I przysunęła się do Tenczyńskiego, jakby i j ej osobie zagrażało jakieś niebezpieczeństwo.

– A to co? – dodała po chwili i podniosła się z ławki, aby ceremonię widzieć lepiej.

Ninka położyła się krzyżem przed ołtarzem, i przykrywano ją czarnym kirem, jak umarłą. Otaczały ją zakonnice i śpiewały pieśni pogrzebowe. Bo też to miało oznaczać, że umierała dla świata i spraw jego, a krzyż, który białął na czarnem przykryciu, oznaczał wszystkie trudy, walki i troski, które nowicyuszka ślubowała wziąć na swoje barki, za zbawienie duszy swojej i drugich, za ludzkość cierpiącą i odkupienie błędów grzeszników.

I Nince zdawało się, że rzeczywiście umiera w niej jakaś część jej duszy, a leżąc tak pod całunem, jakby w trumnie, mając wokoło siebie tylko ciemność i falę dźwięków hymnu

ponurego, doznawała wrażenia, jakby z jej istoty pozostawały senne tylko, duchowe uczucia i żal po czymś nieokreślonym, i religijny zapal, pobudzony tą ceremonią, i rozkosz w cierpieniu dla wzniosłej idei.

Po skończonej pieśni pogrzebowej otworzono kratę, dla wprowadzenia nowicyuszki do chóru zakonnego. Krata ta była otwierana tylko przy takich uroczystościach, co zdarzało się zaledwie raz na parę lat; to też zawiasy i zamek głośno zgrzytnęły, a pani Julia mocno drgnęła.

– Grób otwierają! – rzekła do Tenczyńskiego; – pochowali ją już żywcem...

– Niema już Ninki Olszyńskiej... – odrzekł Tenczyński.

Znać było w jego głosie, że ceremonia ta wywarła na nim pewne wrażenie.

W okienku kraty klęczała już siostra Anna, gdyż takie nadano Nince imię klasztorne, w białym woalu nowicyuszki i odmawiała głośno ostatnią modlitwę ceremoniału.

Skoro po skończeniu wszystkich obrzędów znaleźli się wszyscy przybyli w klasztornej rozmównicy, pani Julia wciąż była zamyślona, pozostawała pod wrażeniem całej ceremonii. Zapomniała nawet grzywkę poprawić, a korzystając, iż wszystkie zakonnice zajęte były przygotowaniem śniadania dla księdza biskupa, siadła obok Tenczyńskiego i półgłosem zaczęła rozmawiać:

– Nie, ja tu nie wytrzymam ani minuty! Ta Ninka pod tym całunem będzie mi się całą noc śniła. Ja to odchoruję. Trzeba być rybą, żeby z taką zimną krwią wyrzekać się życia!

– Niech się pani siostrze Annie poświęci jeszcze na trzy godziny. Pociąg odchodzi do Krakowa o pół do czwartej.

– Pójdę dziś zaraz do teatru. Nie wie pan co dają? Potrzeba mi rozerwania i zapomnienia tych scen strasznych! Ostatecznie, sama nie wiem, po co ja tu przyjeżdżałam. Dusi mnie to klasztorne powietrze.

Tenczyński patrzył na nią uważnie i uśmiechał się ironicznie. Przed dwiema godzinami, jak tylko przyjechał, słyszał od tej samej pani Julii zapewnienie, że Ninki losu można zazdrościć, a życie klasztorne jest najpiękniejszą w świecie sielanką.

Zamyślił się, nie dając odpowiedzi.

Dokąd dojść może kobieta, będąca ciągle zależną od swoich nerwów, wrażeń i wyobraźni? Jeżeliby się umiało korzystać z chwili... możnaby ją unieść z każdym prądem, jak łódkę bez steru... Czyby... nie warto wrócić do pierwszych planów, które miał względem pani Julii, nim mu małżeństwo na myśl nie przyszło? Wszak zawsze jest jednakowo uroczą i wabiącą, denerwującą ciąglemi niespodziankami usposobienia i nastroju...

Rozumowanie to zgodne było z charakterem Tenczyńskiego. Chciał jakimś sposobem na swoim postawić i odegrać jakąś rolę w życiu pani Julii. Nie chciał należeć do kategorii banalnych wielbicieli, których zmieniała co czas jakiś i zaszczyciała skrawkiem flirtu.

Zamyślał się coraz bardziej, a po niejakiem czasie wyjął z kieszeni przewodnik kolejowy i szybko zaczął kartki przerzucać.

Naraz twarz mu się rozjaśniła, książkę żywo schował napowrót do kieszeni, zbliżył się do pani Julii, jakby z jakimś stanowczo powziętym zamiarem, i rzekł, starając się nadać głosowi ton zupełnie naturalny i obojętny:

– Mogłaby pani za godzinę być w Krakowie, ale trzeba by dojechać do poprzedniej stacji. Idzie sznelcug od Granicy, ale tutaj się nie zatrzymuje. Prześliczna jest droga do tamtej stacji, rozkoszny zrobilibyśmy spacer; panią bardzo by to rozerwało.

Znać było, że mu bardzo zależy, aby odpowiedź pani Julii była przychylną.

– Ach, i owszem! jestem gotowa, możemy jechać każdej chwili.

– A więc jedźmy; trzeba się śpieszyć, bo pociąg zatrzymuje się tylko dwie minuty.

Po twarzy Tenczyńskiego przemknął jakiś zagadkowy uśmiech zadowolenia, ale pani Julia nic nie widziała, gdyż zaraz zajęła się swoim wyjazdem.

Czuła, iż ovladnęła ją zdwojona chęć do życia, że po tych kilku dniach cichej

jednostajności, szczęśliwą będzie, gdy zobaczy rozległy horyzont, trochę wesołości, choćby w letnich jasnych sukniach, usłyszy trochę gwaru miejskiego i turkotu, rozmowy lekkiej, chociażby najbanalniejszej.

Nareszcie zaczęto się żegnać. Do rozmównicy przysła Ninka w zakonnym ubraniu, zmieniona do niepoznania.

Rozmowa poufna była niemożliwą wobec kilkunastu zakonnic, to też pani Julia od razu się pożegnała, zasypując Ninkę tysiącami całusów i zapewnień życzliwości i przywiązania, lecz nie zauważyła, że biednej siostrze Annie ręce drżały i bladą była nadzwyczajnie. Znikła jakoś pod grubym habitem, a twarzyczka, okolona woalem, niby w ramkach, wydawała się drobniejszą, jakby dziecinną.

– A niech pani nie zapomina o swoich serdecznych przyjaciółach, – rzekł Tenczyński półgłosem – i niech się pani czasem za nich pomodli; może to będzie talizmanem ich szczęścia.

– Żegnam pana... nie zapomnę... w modlitwach...

I ukloniła się zdaleka, ponieważ reguła klasztorna nie dozwalała mężczyźnie podawać ręki.

Oczy miała spuszczone, gdyż czuła pod powiekami gorąco łez, a nie chciała okazać swojego wzruszenia.

Jeszcze jeden ukłon, i już się brama za nimi zamknęła, a Ninka doznawała takiego uczucia, jakby teraz dopiero naprawdę wzięła zupełny rozbrat ze światem.

Tymczasem pani Julia i Tenczyński, wsiadłszy do czekającego na nich powozu, zdążyli do stacji kolejowej.

Dzień był skwarny i słoneczny, gdyż było to dopiero w pierwszych dniach lipca.

Na polach panował ruch żniwiarski, spotykano czterokonne wozy ze zbożem i lud krakowski, zawsze wesoły i ochoczy, śpiewający przy każdej robocie, choćby najcięższej.

Pani Julia nic nie mówiła, wzrok jej błędził po dalekim widnokręgu, po niebieskich konturach wzgórz podkarpackich; wciągała powietrze, nasiąkła zapachem ziemi i zbóż dojrzałych, polnego kwiecia i łąk sąsiednich, a wiatr, muskając ją po twarzy, przynosił czasem z gór niedalekich jakiś powiew chłodniejszy, albo żywiczną woń igliwia.

– Niech pani wyrzuci z pamięci te ponure klasztorne wspomnienia, – rzekł nagle Tenczyński. – Nie rozumiem takiego dobrowolnego zatruwania sobie życia. I tak jest ono dobrze ścieśnione przez różne parafiańskie przywidzenia i przesady, które utrudniają korzystanie ze wszystkich źródeł szczęścia...

Słowa Tenczyńskiego znalazły potakiwanie W myślach pani Julii, przyznać się jednak do tego nie chciała i rzekła z pewnym szyderskim odcieniem, z uśmiechem zachęcającym do dalszych zwierzeń:

– Czy naprawdę mówi to Władysław hrabia Tenczyński? On sam w swojej osobie? Ten sam, który podobno nie byłby przeciwny, aby ścieśnić się dobrowolnie i zakuć w kajdany małżeńskie?...

– Hm... Nie należy wszystkiego dosłownie sobie tłumaczyć. Czasem mówi się wiele różnych... rozmaitości, dla przekonania się, jak daleko, dróżką tą, łatwowierni daliby się zaprowadzić. Tylko, według mnie, trzeba zawsze umieć w porę zatrzymać się, aby nie wpaść we własną pułapkę.

Tenczyński mówił to wolno, jakby chciał, aby żadne z jego słów nie uszło uwagi pani Julii. Wyraz jego twarzy był wyzywający i ironiczny. Zdawał się mówić:

„Ha, ha, ha! Jakaś ty była łatwowierna! Brałaś na seryo to, co ja mówiłem dla zabawki! Tyś się wtedy śmiała, ale ja się śmieję ostatni.”

Na razie oczy pani Julii gniewem zaświeciły, ale nie odrzekła ani słowa, tylko na Tenczyńskiego patrzyła uważnie.

I dziwnego doznała wrażenia. Zamiast przyjąć odezwanie się to jako impertynencję, gniew jej prędko stopniał, aby ustąpić miejsca pewnemu miłemu wrażeniu, jakie Tenczyński

wywarł na niej.

W słowach jego przebijała pewna hardość i przekora; znać było, że nie mógł zapomnieć lekceważenia swego uczucia, które chciał jej szczerze ofiarować, a nie mogąc zemścić się inaczej, korzystał ze sposobności, aby choć ukłóć złośliwym słówkiem.

Nie był grzeczny, ale i nie banalny, tą banalną uprzejmością, która nic nie mówi, a często denerwuje.

Pani Julia pomyślała sobie, że to wielkie niezadowolenie z nieudałych projektów wpływało z przyzwyczajenia do zwycięstw w kobiecym świecie i z charakteru, nie znoszącego przeszkód i oporu. Podobał się jej z tego względu, gdyż nie był podobny do wielu innych, którzy mówili jej całe tyrady o uczuciach, a nie doznawszy wzajemności, ze spokojem ludzi uprzejmych szli do jej krewnej lub znajomej powtarzać te same opowieści. Przytem Tenczyński ubrany był bardzo starannie, żaden szczegół nie psuł harmonii dobrego gustu; profil jego rysów ostrych dodatnio uwydatniał się wśród letniej jasności i płowych kolorów dnia skwarne.

To też pani Julia nie umiała gniewać się na niego, a jego złośliwość bawiła ją. Wszystko ją rozmarzało – i wspomnienia klasztoru, i ponurej ceremonii obłóczyn, która jej się w myślach plątała, jakby jakiś sen przykry i wesoły, malowniczy krajobraz, wśród którego ujrzała się nagle, i jasność słońca, i Tenczyńskiego uczucie, które przeglądało z poza jego złośliwych pocisków i udawanej złośliwej obojętności.

– Nie wierzę ani słowa temu, co pan powiedział – rzekła z uśmiechem.

– Dlaczego?

– Dlatego... dlatego... że podobno mowa jest dana dla ukrycia myśli, a pan nie jesteś tak złym, za jakiego chcesz uchodzić.

Rozmawiali dalej wesoło; złośliwy początek, nie mając odpowiedniego ze strony pani Julii dalszego ciągu, zmienił się w swobodną pogawędkę. Rozmawiano trochę o siostrze Annie i o klasztorze, o projektowanym wyjeździe pani Julii do kąpiel morskich, o wyścigowych koniach Tenczyńskiego, a trochę i o uczuciach ludzkich, które im się plątały po myślach, i słowach, i we wszystkich uwagach, i tematach.

Przyjechano wreszcie na stację kolejową.

Tenczyński zajął się kupnem biletów, był jakiś niespokojny i szybko chodził po peronie, dopytywał się o biuro telegraficzne, a gdy pociąg przyszedł, rozmawiał z konduktorami i domagał się o osobne *coupe* pierwszej klasy.

Pociąg stał tylko dwie minuty. Tenczyński, nabiegawszy się, przyszedł na salę po panią Julię, wsiedli do wagonu, drzwiczki zamknięto, i pociąg ruszył.

Dzięki zabiegom Tenczyńskiego byli sami. Nic nie mówili. Pani Julia szukała w swoim worku podróżnym pudełka z pastylkami miętowymi. Gdy podniosła wzrok na Tenczyńskiego, zdziwił ją wyraz jego twarzy. Dziwnie się jakoś uśmiechał, jakby z tryumfem i urąganiem; pochylony był naprzód, jakby chciał coś mówić, lecz w myśli dobierał jeszcze słów odpowiednich.

Pani Julia patrzyła na niego ze zdziwieniem.

– O czym pan myśli? – spytała.

– O pani. Ale jak się pani zdaje, dokąd jedziemy?

– Jak to dokąd? Do Krakowa.

– Nie. Ten pociąg jedzie z Krakowa do Wiednia.

Pani Julia cofnęła się na siedzeniu i patrzyła pytająco:

– Czy to są żarty, czy jakiś wybryk nie na miejscu? Nic nie rozumiem, co to wszystko znaczy!

– To znaczy, że teraz wszystko, świat cały za sobą pani zostawia... i jedzie dokąd ja chcę... ze mną... i dla mnie...

– Jak pan śmie mówić tak do mnie! – przerwała pani Julia.

Wstała żywo z siedzenia, poszła do okna przeciwnego i znów powróciła na swoje miejsce. Była wzburzona, chciała uciec z tej klatki, w której ją zamknięto podstępnie. Im bardziej była rozgniewana, tym spokojniejszym był Tenczyński.

– Niech się pani nie niecierpliwi i nie gniewa, – mówiąc to, wziął ją za obie ręce i trzymał mocno. – To wszystko na nic. Wyjdzie pani z tego wagonu dopiero w Wiedniu... Żaden konduktor tu nie wejdzie: są opłacony. A teraz proszę mnie spokojnie wysłuchać... Czy pani przypuszczała, że jeżeli panią pokochał, to moje uczucie schowam do kieszeni? Nie. Pani dobrze wiedziała, dokąd mnie możesz doprowadzić, a jednak prowadziłaś!... dla zabawy! Musimy teraz zrównać nasze stawki. Ja nie chcę być więcej stratnym. Pani mnie musisz kochać i będziesz mnie pani kochała tak, jak ja panią Kocham! Niech pani o niczym nie myśli i na nic się nie ogląda... Pojedziemy, dokąd pani zechce, gdzie najpiękniej... będziemy szczęśliwi, bardzo szczęśliwi... Niech tylko pani nie psuje naszego szczęścia... Po co dręczyć się dobrowolnie, jeżeli szczęście jest tuż pod ręką?

– Ha! ha! ha! Dzika pretensja, nakazywać komuś miłość! A skąd pan wie, że miłość pana da mi szczęście? Go za piekielny despotyzm i zarozumienie! ha! ha! ha!

– Niech się pani nie śmieje tak szyderczo, bo pani w tej chwili nie jesteś szczerą. Czy pani może powiedzieć, że byłem dla niej zawsze obojętnym? Czy pani pamięta nasz pobyt w Nizy i Dreźnie? Nie, nie wierzę w pani obojętność. Pani musisz nareszcie być sobą i przyznać, że mnie Kochasz!

Tenczyński mówił długo, zapalał się z każdym słowem, ręce pani Julii ścisnął coraz mocniej, lecz długo nie otrzymywał żadnej odpowiedzi.

Ostre jego słowa początkowo miękły ciągle; w miarę jak mówił z większym ożywieniem, przybierały odcienie więcej łagodne i serdeczne.

Pani Julia nic nie mówiła. Zamyśliła się, patrząc z zajęciem na Tenczyńskiego, a słów jego słuchała z uwagą. I znów czuła, że Tenczyński opanowuje jej wyobraźnię silną swoją wolą i uporem, dlatego może takie wrażenie na niej wywierając, że ona sama nigdy zdobyć się nie mogła na stałość uczuć i dążeń. Zależną zawsze była od ostatniego wpływu, a upodobania i zdania zmieniała jak rękawiczki.

Mówiła sobie w myśli, iż powinna robić mu wyrzuty, oburzać się za ten rodzaj podstępного wykradzenia, żądać, aby otworzono wagon na najbliższej stacji i czempredzej wracać do Krakowa; a jednak... nie rzekła ani słowa. Rozmaite sprzeczne myśli przez głowę jej przebiegały, nim zatrzymała się na ostatecznej konkluzji. Ha, nie moja wina... jeżeli on mnie przemocą trzyma w swoich rękach. On silniejszy, uciec mi nie da. A zresztą... to nie jest nic tak bardzo strasznego, taka wycieczka incognito... tyle innych to samo robi i w gruncie rzeczy mało kto za złe im to bierze...

Skłaniała się do usunięcia pewnych skrupułów, które ją cieniutkimi nitkami, zaledwie takimi jak pajęczyna, trzymały dotychczas jako tako na prawej krawędzi życiowej drogi.

– Ale czy pan jesteś pewny, że nikt z naszych znajomych nie jedzie tym samym pociągiem? – rzekła nagle głosem zupełnie naturalnym i spokojnym.

Na ustach Tenczyńskiego mignął nieznacznie jakiś uśmiech ironiczny.

Widocznie nie znał jej do gruntu. Spodziewał się większego gniewu i oburzenia, przypuszczał, że zwycięstwo będzie trudniejsze.

W odezwanym się pani Julii widział pierwszy krok do porozumienia. Tryumfował i uśmiechał się radośnie, ale równocześnie postanowił.. o małżeństwie nigdy już nie wspominać.

W klasztorze Przemienienia jeden dzień szedł za drugim cicho i niepostrzeżenie, podobny zawsze do poprzedniego, bez wyczekiwania jakiejś zmiany lub niespodzianki, chyba tylko w myślach zakonnic, albo w ich wewnętrznym nastroju ducha.

Uczennice z wakacyi powróciły, rozpoczął się rok szkolny. Dni stawały się coraz krótsze, deszcze jesienne zaciemniały blaski słoneczne, zeschnięte liście szeleściły na ścieżkach ogródka klasztornego, nasuwały myśli o znikomości rzeczy ziemskich, o nietrwalej wiośnianej młodości i przemijającym blasku lata.

Ninco przeznaczono trochę zajęcia przy młodszych dzieciach, zalecono doskonalenie się w muzyce, aby później przedmiotu tego udzielać mogła starszym dziewczynom.

Wszystkie godziny dnia zajęte miała pracą, albo wypełnianiem zakonnych obowiązków. A codziennie powtarzało się to samo, z niczem niezamąconą regularnością, i myśli także układały się pomału takim samym równym torem, odpowiednio do zajęć obowiązkowych.

Czuła, że z dniem każdym zamyka się coraz silniej w granicach swego oderwanego istnienia, że ta oaza, tak odmienna od reszty świata, odsuwa ją ciągle od dawnych wspomnień, które, jak oddalające się krajobrazy, zacierały powoli swoje kontury i błękitniały. Niekiedy jednak krajobraz drezdeńskich wspomnień i Tenczyńskiego niespodzianie mgły przebijał i stawał tuż przed oczyma wyobraźni, bogaty we wszystkie barwy rzeczywistości, z najdrobniejszymi szczegółami każdej rozmowy i gamy uczuć, które wywoływał. Za serce mocno ścisnął i zostawiał smutną tęsknotę. Przynosił też nieznacznie po maleńkiej kropelce goryczy, która się zbierała na dnie duszy i coraz częściej stawiała zapytanie: Czemu do umysłu jej przyszła świadomość jakiegoś bardzo wielkiego szczęścia, jakby ze światłości i barw tęczy? Czemu ukazało się niespodzianie, aby zniknąć za chwile i zostawić smutną miłość i tęsknotę?

Powoli nabierała przekonania, że otoczenie i warunki zewnętrzne mogą tylko złagodzić lub zaostrzyć jakieś wewnętrzne usposobienie, ale do gruntu nigdy go nie przeistoczą. A jeżeli my sami chcemy dokonać tej przemiany, to musimy czuwać, aby naprężenie naszej woli w tym jednym kierunku było nieustanne, abyśmy w tym moralnym wysiłku nie znali odpoczynku aż do końca, bo jedno wstecz spojrzenie, jedna chwila zapomnienia rujnuje całą poprzednią pracę i cofa nas do źródła utrapień. Wielkiem zamąceniem w myślach Ninki było zetknięcie się z uczennicami. Powróciwszy z wakacyi, pełne były radosnych wspomnień, opowiadały sobie wzajemnie rozmaite historye bez końca, a w niedzielę, jeżeli wychodziły do krewnych albo znajomych, przynosiły różne wiadomości, spostrzeżenia i uwagi swoje lub cudze. Stanowiło to rodzaj mostu ze światem, którego jednak niepodobna było zniszczyć.

Jednego dnia przypadła na Ninkę kolej pilnowania porządku w sali rekreacyjnej. Uczennice wszystkie spać już odeszły, a ona chodziła jeszcze po sali i zbierała zapomniane książki, jakieś kawałki robótek, albo papiery.

Znalazła między innymi jakąś niedużą książeczkę, zapisaną drobnym pismem. Zaciekawilo ją to trochę, zbliżyła się do lampy i zaczęła kartki przerzucać.

Był to dziennik jednej ze starszych panienek. Banalny jak wszystkie dzienniki pensjonarskie, urozmaicony malowniczymi utyskiwaniami nad niesprawiedliwością zakonną, różnymi klasztornymi przyzwyczajeniami, które są bez sensu i niewiadome po co wymyślone, wreszcie narzekania na niektóre koleżanki, które nie umiały sekretu dochować, albo poprostu były niemożliwe. Skoro doszła do ostatniej stronicy, rzucił się jej w oczy jeden ustęp bardzo zamazyście napisany i z bardzo wielkim na końcu wykrętasem:

„...Dziś postanowiłam, że nigdy w życiu w nikim się nie zakocham, bo to wcale nie jest żaden nowy wynalazek i każdy człowiek to potrafi. Wcale nie myślę pospolitować się i robić tak samo, jak wszyscy ludzie, i najbrzydsi, i najgłupszy.”

Ninka uśmiechnęła się na ten wyskok pensjonarski. Zabawna dziewczyna! I jakaż jeszcze szczęśliwa! Przypuszcza, że uczuciami i wrażeniami całe życie kierować będzie mogła!

Nagle opadły ją różne myśli, o niej samej i o Tenczyńskim, o życiu w ogólności i o jego prawach, niewołane, ani nasunięte, jak to nieraz bywa z myślami, skoro niekiedy jednym słowem, cieniem wspomnienia, albo nawet przeciwieństwem, wywołuje się całą ich krainę.

I przyszło jej na myśl, że prawdą jest to, co tam w tym dzienniku napisano, że wszyscy

ludzie znają miłość, a przecież prawdą jest także, że nie wszyscy przed tem uczuciem uciekają do klasztoru... A zatem, jej tylko osobiście uczucie to krzywdę wyrządziło, bo nie dało ani szczęścia, choć podobno jest największym szczęściem, ani radości życia, choć ludzie mówią, że jest samem jej źródłem, a nawet szalem...

Uosobieniem tej miłości krzywdzicielki był Tenczyński. Uczuła, że on ją naprawdę bardzo skrzywdził, choć przyrósł do serca może dlatego, że zawsze myśl jej do głębi rozumiał, nigdy nie rozerwał szorstką ręką jej idealnych, prawie duchowych na świat poglądów, a złośliwe uwagi i uśmiechy miał tylko dla innych, nigdy dla niej. A jednak skrzywdził... Gdyby mu tak krzywdą za krzywdę oddać?... Jakażby to była dziwna rozkosz!...

Mówić do niego o wszystkim, coby się zgadzało z jego zamiłowaniem i wewnętrznym usposobieniem, takimi słowami jak aksamit otulić mu wspomnienia, aby o niczem innym nie mógł myśleć, zabrać mu serce, a później... odejść i własne serce ofiarować komu innemu! Niechby przeszedł przez te wszystkie uczucia, przez jakie ona przeszła od pierwszego spostrzeżenia, że niepotrzebna miłość wplątała jej się do życia, aż do ucieczki ze świata! Niechby tak jak ona, nagiął na każdym kroku swoją naturę do ciężkich zakonnych obowiązków, niechby przez wszystkie chwile życia pracował tylko dla tej oddalonej przyszłości zagrobowej, niechby tak samo, z wysiłkiem woli, uciekał od wszystkich uśmiechów życia i szczęścia! Ach! niechby cierpiał, lecz ona, tylko ona koniecznie musiałaby być przyczyną jego cierpienia!...

Ninka ciągle stała z pensyonarskim dziennikiem w ręku; coraz żywsze myśli do głowy jej napływały, egzaltując i oddalając od otoczenia. Dopiero znużenie z powodu stania do rzeczywistości ją przywołało. Spostrzegła się, że już jest późno, i poszła spieszenie do sali nowicyuszek.

Przyszła już przed samymi wieczornymi modlitwami. Nowicyuszki pacierz wspólnie odmawiały i robiły codziennie rodzaj rachunku sumienia z całego dnia, ażeby się nie udać na spoczynek z żadną grzeszną myślą na sumieniu, ani postępkami, wypływającym z jakichś wspomnień światowych.

Pod jedną ze ścian był ołtarzyk, przy którym klęczała przełożona nowicyatu.

Po skończeniu wszystkich modlitw, Ninka zbliżyła się do ołtarzyka, uklękła i rzekła do starszej zakonnicy:

– Chciałabym się jeszcze sama chwilkę pomodlić. Myśl grzeszna przyszła mi do głowy i rady sobie dać nie mogę. Przypomniałam sobie jedną osobę, która... mimowoli zrobiła mi przykrość, i nie mogę pozbyć się żalu do niej, ale przeciwnie, ciągle mi w myśli stoi, że doznałabym wielkiej przyjemności, gdybym mogła odpłacić jej przykrością za przykrość.

Przełożona nie była zdziwiona tą spowiedzią. Przyzwyczajoną była, iż nowicyuszki mówiły jej wszystkie swoje myśli i radziły się w każdej moralnej niepewności, a nawet było to ich obowiązkiem.

– Idź na chwilę do chóru przy kaplicy, moje dziecko. Tam nikt ci nie przerwie myśli. Ale nie módl się z książki, tylko wpatrz się z ufnością w twarz Chrystusa i myśl, że Bóg jest miłosierny i nigdy żadnej duszy, która się do niego garnie, nie pozostawi w niepokojach. Sama modlitwa przyjdzie ci na usta i zapomnisz o wszystkich ziemskich żalach i udręczeniach.

– Jak to? iść do chóru? o tej porze? – przerwała Ninka nie tylko ze zdziwieniem, ale także i z pewnym odcieniem przestachu.

Staneło jej w myśli, że będzie musiała przejść kilka bardzo długich kurytarzy, które już są ciemne, straszliwie puste i ciche, że w chórze za kratą będzie czarna głębia kaplicy, a wobec ciemności odczuwała zwykle jakąś dziwną, przykrą obawę, będącą w części pozostałością dzieciństwa, w części następstwem wielkiej wrażliwości, przyjmującej jaskrawo i do głębi wszystkie wrażenia fizyczne i moralne.

Przełożona uśmiechnęła się i rzekła łagodnie:

– Idź, moje dziecko, nie bój się. W chórze całą noc pali się światło. Przewycięż obawę.

Małe zwycięstwa ułatwiają większe.

Ninka obowiązana była do bezwzględnej posłuszeństwa.

W milczeniu zapaliła jedną z latarek, których zwykle zakonnice wieczorem używają, i wyszła z nowicyatu.

Na kurytarzach światło już było pogaszone, mała latarka Ninki rozpraszała ciemność zaledwie w promieniu kilku kroków. Ale Ninka szła szybko i odważnie. Niekiedy zdawało się jej, że ciemność w tył za nią ucieka, i byłaby się za nic w świecie poza siebie nie obejrzała. To znowu w głębi, lub na załomie kurytarzów, taka była chwilami zbita masa tej ciemności, że Ninka doznawała jakiegoś niewyraźnego wrażenia, iż może ten czarny mur zatrzyma jej kroki i nie przepuści.

Lecz szła dalej. Stała wreszcie na progu chóru, oblało ją światło wiszącej na środku lampy, i doznała pewnej ulgi.

Pod jedną ze ścian stał posąg Chrystusa, w postawie nauczającej, z dwoma palcami w górę wzniesionymi; na piedestale był napis:

„Błogosławieni miłosierni, albowiem oni dostąpią miłosierdzia.”

Ninka uklękła obok figury, złożyła ręce i patrzyła z uwagą na twarz Zbawiciela.

I zdawało się jej, że nie jest samą w tym pustym chórze, że rysy Chrystusa występują żywiej w oświetleniu, nabierają pozorów życia, a że były bardzo piękne i pełne jakiegoś spokoju i dobroci, nie budził przestachu i obawy, jak to się nieraz zdarza wobec wielu posągów, jeżeli znajdujemy się przy nich w zupełnej samotności i podnieconym nastroju ducha.

„Błogosławieni miłosierni, albowiem oni dostąpią miłosierdzia.”

Wzrok Ninki przenosił się powoli, raz na ten napis, to znowu na dobrą twarz Chrystusa. Patrzyła na nią przez długą chwilę, i jakieś dziwne rozrzewnienie zaczęło zalewać jej serce.

– Boże, zlituj się nade mną! Spraw, abym była dobrą i miłosierną i dostąpiła Twojego miłosierdzia! Boże, daj wytrwać w dobrem, abym myśli moich nie brudziła niechęcią, ani żalem! Boże, daj taką siłę, abym się czuła szczęśliwą, kiedy cierpię. Boże, pomóż znieść wszelkie udręczenia ducha, dla Twojej chwały i mojego zbawienia!

Szeptala swoją modlitwę więcej myślą, niż ustami, jakby obawiała się, by najlżejszym szmerem nie spłoszyć ciszy chóru. Patrzyła ciągle na Chrystusa, a od tego patrzenia rysy Jego zdawały się mienie w jakieś uśmiechy, pełne słodyczy, dobroci i zachęty do zaufania.

I patrzyła dalej, powtarzając swoje prośby coraz żywiej i serdeczniej, aż oczy jej łzami zasły, i rozegzaltowała się własną modlitwą i poważnym nastrojem otoczenia.

Zdawało się jej, że w tym cichym chórze czuje obok siebie obecność Boga, że nie jest ani samotną, ani opuszczoną, ani nieszczęśliwą, bo ten Bóg, który miłosierdzie obiecuje, wycisnął z jej oczu łzy rozrzewnienia, jakieś bardzo błogie i spokój niosące. Rozwiała się nieznacznie wszelka obawa ciszy i ciemności, a samotność była tylko pozorną i zewnętrzną.

Ten chór, rzucony pośród ciemnego i uśpionego klasztoru, z oświeconą postacią Chrystusa, był jakimś oderwanym, zamkniętym w sobie światem, światem dusz, gardzących doczesnością, prowadzącym myśli na wyżyny ducha.

Ninka modliła się coraz goręcej i czuła, że to otoczenie i modlitwa odosabiają coraz bardziej i od rzeczywistości odrywa.

Do rozbudzonej wyobraźni cisnęły się tłumnie najrozmaitsze obrazy, myśli, wspomnienia, niekiedy bardzo sprzeczne lub jaskrawe, których usunąć nie mogły nawet słowa modlitwy, powtarzane uporczywie. Tylko, że te wspomnienia były już jakby jakieś echa niewyraźne, same kształty, których materya pozostała gdzieś daleko poza progami klasztoru.

Oderwała wzrok od figury Zbawiciela i powiodła nim wkoło siebie.

Na kłęczniku każdej z zakonnice leżała książka do nabożeństwa, a obok czarny welon, którym nakrywano głowę podczas modlitwy.

Ninka smutnie się zamyśliła, patrząc na te kawałki czarnej gazy, równo poukładane,

napozór nic nie mówiące. A przecie, ileż to może łez spłynęło po ich zagięciach, ile widziały różnorodnych uczuć na twarzach, które zakrywały swoim cieniem! Może widziały tęsknotę po dawnych wspomnieniach, których niepodobna było wyrwać z myśli, może znużenie nieustanne od usiłowań nad doskonaleniem ducha, może zniechęcenie i wyczerpanie ciągłą walką ze słabostkami ludzkiej natury, z gwałtownymi porywami do życia całą pełnią, do używania wszystkich darów Stwórcy, do których ma prawo każdy człowiek bez wyjątku, a które wabią urokiem piękna i rozkoszą!

Po każdym naprężeniu woli w jednym kierunku, na każdego przyjść może jakaś chwila obezwładnienia moralnego.

Myśl, że na ciężkiej drodze do nieba i zbawienia, nie ona sama jedna spotyka kolce i ciężkie przeszkody, jakim są jej własne myśli, uczucia i natura, dodawała Nince wiele ulgi i spokoju.

Odnajdował się w niej dawny zapal do poświęcenia całej swej istoty dla uświęcenia duszy, powtarzała sobie, że wszelkie cierpienie jest rozkoszą, gdyż myśl naszą do Boga kieruje, odrywa od ziemskich małości i uszlachetnia.

I byłaby ciągnęła bez końca to swoje dumanie, nawpół modlitwę, gdyby jej z powodu późnej pory nie przywołano do nowicyatu.

Tymczasem o zdrowiu pani Tenczyńskiej dochodziły Ninki bardzo niepokojące wiadomości. Ataki sercowe powtarzały się coraz częściej, doktorowie uprzedzali o mogącej nastąpić lada chwila katastrofie.

Ninka wyrzucała sobie dosyć często, że przy ciotce nie została, szczególnie w takich chwilach, kiedy głośniejsze, niż zwykle, odbywało się w niej pragnienie jakiegoś ludzkiego uczucia, które byłoby bliskie, tuż pod ręką, koło serca, a za którym nie trzebaby ramion ku górze wyciągać.

Wreszcie zawiadomiono ją telegramem o śmierci ciotki. Chociaż faktu tego spodziewała się lada chwila, doznała jednak wzruszenia bardzo silnego. Czuła, że znikł dla niej ostatni i jedyny zakątek świata, gdzie mogła kierować myśli jak do swego własnego domu i znanego, i przychylnego jej otoczenia, że już teraz nic niema dla niej poza klasztorem. Ani rodziny, ani znajomych, chyba tylko pani Julia i Tenczyński, ale oni pewno już o niej zapomnieli.

Po żałobnym nabożeństwie za panią Tenczyńską, powiedziała sobie, że teraz wszystko się już skończyło, że powinna przyzwyczać się do tej myśli, iż poza klasztorem jest jakaś pustka i nicość, a życie to nieustanny pochód ku górze i ku niebu; spoczynku na tej drodze niema, ani wytchnienia; nawet ten, który ogląda się poza siebie, grzeszy, cofa się, gdyż musi trudne dzieło nanowo rozpoczynać.

Przychodziło jej niekiedy na myśl, że może życie ludzkie wszystkim układa się jakoś dziwnie i niespodzianie, i że każda rzecz inną jest zblizka, aniżeli ją sobie zdaleka wyobrażamy. A jednak, pomimo wszystkiego, nie była jeszcze zerwaną wszelka jej ze światem styczność.

Jednego dnia zawołano ją do rozmównicy. Zastała tam przełożoną, a po drugiej stronie kraty jakiegoś niemłodego pana, który się jej ukłonił bardzo uprzejmie.

Była to postać nic nie mówiąca, trochę łysy, ale niezupełnie, trochę otyły, ale nie rażąco, i tak samo niezupełnie sympatyczny.

Był to adwokat Maryański.

– Siostró Anno, – rzekła przełożona – pan Maryański przyjechał tutaj w bardzo ważnym interesie.

– Tak, pani. O panią tu głównie chodzi – rzekł Maryański. – Otóż utworzyliśmy niedawno testament pani Tenczyńskiej, która w następujący sposób rozporządziła się swoim majątkiem: Wszystkie dobra ziemskie po nieboszczyku hrabi Tenczyńskim, to jest Zaleszyn i inne, wraca

rodzinie męża, a mianowicie panu Władysławowi Tenczyńskiemu. Zaś swój osobisty majątek pani zapisała.

Ninka spojrzała ze zdziwieniem. Co ona zrobi z taką masą pieniędzy?

– Na co mnie to? – rzekła.

Maryański i przełożona uśmiechnęli się.

– Możesz to zapisać na filantropijne cele, na kościoły, na ochronki, szkółki, albo na nasz klasztor – rzekła przełożona.

– Prawda! że na nasz klasztor!... że mi też to odrazu do głowy nie przyszło!

– Zrobi pani, jak się pani będzie podobało. Żadne prawo nie ogranicza pani woli – ciągnął Maryański. – Tymczasem czeka panią wypełnienie bardzo wielu koniecznych formalności. Pani Tenczyńska zastrzegła w testamencie, iż życzy sobie, aby panią zaraz usamowolnić, żeby pani mogła odrazu rozporządzić według woli swoim majątkiem. Formalności przy przeprowadzaniu praw sukcesy! moglibyśmy wszystkie załatwić w pani imieniu – Maryański, w kwestyach prawnych, mówił zawsze o sobie w liczbie mnogiej. – Ale są takie niektóre komplikacje, z powodu których obecność pani w Zaleszynie i w Warszawie jest nieuniknioną. Posag pani Tenczyńskiej użyty był na budowę zaleszyńskich fabryk żelaza. Niepodobieństwem jest, aby pani wchodziła w ich posiadanie. Otóż nabędzie to wszystko od pani pan Władysław Tenczyński, pani zaś cały swój spadek otrzyma w gotówce. Nim się jednak to wszystko uskuteczni, będziemy musieli przy pani przejrzeć wszystkie rachunki, wkłady i dochody, oszacować i zrobić spis wielu rzeczy. Z tych to względów musi pani koniecznie być tam na miejscu.

Ninka słuchała tego wszystkiego z wielkim zajęciem. Jak to? Ona miałaby na jakiś czas z klasztoru wyjechać? To chyba niepodobieństwo! Zobaczyć napowrót Tenczyńskiego? Być z nim przez dłuższy czas? rozmawiać? Słyszeć znowu gwar miejski, widzieć ludzi rozmaitych, zajętych żywo życiem doczesnym, a może... szeroką, nieobjętą murem przestrzeń otwartego wiejskiego krajobrazu, na który dusza się raduje?...

I znowu znajdzie się wśród świata, od którego usiłowała oddalić się nie tylko fizycznie, ale i myślą! I znowu pewno powróci do dawnych uczuć i wrażeń, a wszelkie wspomnienia, które oddalała od siebie wysiłkiem woli, aby je wreszcie przesłonić mgłą zapomnienia, odnowią się i powrócą!...

Strach ją jakiś przejął przed nowymi trudami i ponowną walką z własnymi uczuciami i myślami. Ale pomimo tego strachu i zdziwienia, nieznacznie zupełnie, jakiś promyk radości niewytłómaczonej i jeszcze nieświadomej, wcisnął się między jej wrażenia i niepokoił.

– Jakże się to wszystko ułoży? – spytała zakłopotaniem.

– Jużśmy omówili tę kwestyę, nim przyszedł – rzekła przełożona. – Ponieważ jesteś dopiero nowicyuszką, możesz jeszcze, za pozwoleniem biskupa, jeżeli tego ważna wymaga konieczność, na jakiś czas wyjechać z klasztoru. Musisz być jednak nieustannie pod bardzo pewną opieką jakiejś starszej osoby. Pan Maryański jest tak uprzejmy, proponuje, że mogłaby przyjechać po ciebie żona jego. Byłaby z tobą przez cały czas w Zaleszynie, a później, Jeżeliby się okazała potrzeba pobytu w Warszawie, byłabyś ciągle w domu państwa Maryańskich.

– O, dziękuję! Państwo są bardzo uprzejmi.

– Spełniamy tylko nasz obowiązek. Wszak jesteśmy pani opiekunami – odrzekł Maryański,

Omówiono jeszcze niektóre szczegóły, i Maryański pożegnał się, obiecując wkrótce przyjazd swej żony.

Jeszcze tego samego dnia przełożona zajęła się otrzymaniem dla Ninki pozwolenia biskupiego na chwilowe wydalenie się z klasztoru i niektórymi przygotowaniami koniecznymi przed podróżą.

Ninkę ten nagły wyjazd i przestraszył, i radował, i niepokoił, i zaciekawiał, jednym

słowem: mieszał cały porządek myśli i nowych przyzwyczajzeń.

W klasztorze o niczym nie mówiono, tylko o jej spadku i blizkim wyjeździe. Starsze zakonnice dawały jej rady, jak się ma zachowywać w każdej okoliczności i chwili, aby nie uchybić powadze swego powołania; uczennice wypytywały się, co zrobi z taką masą pieniędzy: czy wybuduje kościół, czy wykupi wszystkie dzieci chińskie od złych rodziców, czy też co innego?

– Jabym sobie kupiła cały pokój czekolady – rzekła jedna mała.

– Dzieciak! —rzuciła pogardliwie jakaś starsza z najwyższej klasy. — Jabym pojechała do Neapolu... z kimś...

I uśmiechnęła się tajemniczo, miała bowiem za sobą, w swojej życiowej karierze, kilka przeczytanych przypadkiem powieści, tłómaczonych z angielskiego.

Ninka, choć w pierwszej chwili była przestraszona swoim wyjazdem, a najwięcej tem, że zobaczy Tenczyńskiego, ale oswoiła się z tą myślą bardzo prędko i po kilku dniach zaczęła się nawet niepokoić, że pani Maryańskiej dotychczas nie było.

Miała wrażenie, jakby to klasztorne teraźniejsze jej otoczenie odsuwało się od niej powoli i nie obejmowało już ciągłego widnokregu myśli, a tamten świat z za mgły, przedtem tak oddalony, że aż błękitny, zbliżał się, rysował dokładnie swoje kontury i wyciągał ramiona, by ją uchwycić.

Nareszcie oznajmiono przyjazd jej opiekunki. Obiegła szybko cały klasztor, pożegnała się z zakonnkami i uczennicami, i poszła do nowicyatu, aby się przebrać. Włożyła swoją dawną drezdeńską suknię i kapelusz, strój, w którym do klasztoru przyjechała, i zeszła na dół.

W rozmównicy czekała na nią pani Maryańska. Była to osoba niepośledniej objętości, bardzo majestatyczna w swoim własnym przekonaniu, z twarzą poczciwą i dobroduszną. Uściskała Ninkę serdecznie, i w kilka chwil później, po ostatnich uwagach i pożegnaniu z przełożoną, obiedwie te panie wsiadły do czekającego powozu i pojechały na stację kolejową.

Ninka była jak odurzona. Upajała ją szeroka przestrzeń i jesienny krajobraz, pogodny i słoneczny, i dawno niesłyszany turkot kół, i jej własne bezładne myśli.

Mało mówiła, a na pytania pani Maryańskiej odpowiadała monosylabami. W wagonie dopiero rozruszała się, odzyskała swobodę, a nawet znać było na twarzy wiele ożywienia i jakby wielkiej, nieumiejącej się ukryć radości.

Pani Maryańska pełna była dla niej uwagi i dobroci, gawędziła prawie nieustannie.

– Czy pani lubi czytać w podróży? – zapytała. – Niektórzy mówią, że od tego oczy bardzo się psują.

– Bardzo mało jeździłam w moim życiu – odrzekła Ninka. – Gdy byłam dzieckiem, odwieziono mnie do klasztoru; tego nie pamiętam. Gdy dorosłam, pojechałam do Drezna, skąd znów do klasztoru powróciłam, i tyle mojego jeżdżenia. Każda podróż była zawsze ważnym przełomem w moim życiu, zawsze byłam rozgorączkowana i zajęta tem, co mnie czekało: nie mogłam myśleć o czytaniu.

– Obecna pani podróż jest także wielkim przełomem, nawet o wiele ważniejszym niż poprzednie.

– Dlaczego?

– Dlatego, że jedzie pani objąć wielki majątek, a pieniądze odmieniają ludzi do niepoznania.

– Mnie nie odmienia, bo się ich pozbędę jak najprędzej.

Pani Maryańska patrzyła na nią z niedowierzaniem.

– Młode panny opowiadają czasem różne rzeczy, w które nie warto wierzyć. Pobędzie pani z nami jakiś czas i straci pani ochotę do życia klasztornego. W świecie się pani rozejrzy, zakocha, za mąż pani wyjdzie, i taki będzie koniec wszystkiemu. Niech mi pani wierzy, że inaczej na świat patrzymy, mając za sobą duży majątek.

Pani Maryańska była wielką czcicielką pieniędzy.

Ninka patrzyła na nią, jak na jakieś dziwo nadzwyczajne. Na razie nie miała odpowiedzi, gdyż podobne przypuszczenia wydawały się jej równie nieprawdopodobnymi, jak fruwanie po powietrzu, albo zdjęcie gwiazdy z nieba.

– Nie złamałabym za nic mojego ślubu – rzekła po chwili. – Skoro raz ofiarowałam się na służbę Bożą, to muszę wytrwać. Muszę, pomimo wszystko, muszę!

– Jakimże to sposobem? Wolno przecież pani wystąpić, jeszcze pani przysięgi nie składała.

– To nic. Ofiarowałam się Panu Bogu w głębi serca i uważam to za ślub dokonany.

– To od czegoś byłyby nowicyaty? – rzekła pani Maryańska.

Ninka przyznawała w myśli, iż uwaga ta jest logiczną, lecz wcale jej to nie przekonało.

Nie podtrzymała dalszej rozmowy, ale z zamyśleniem patrzyła przez okno.

Wzmianka o klasztorze przypominała jej o tem, iż jest zakonnicą, że powinna być obcą i daleką duchem od otoczenia, w którym się przez chwilę znajdować musi. I doznała wrażenia, jakby wesoły widok, przedstawiający się jej oczom, sposepniał nagle, jakby powiał po nich niewytlómaczony smutek i tęsknota, jakby w malowniczym krajobrazie, w promieniach słońca i szerokiej błękitnej przestrzeni, zamarty uśmiechy życia...

Pani Maryańska, zauważywszy na twarzy Ninki smutne zadumanie, nie bawiła się w odgadywanie przyczyny, ale że miała dobre serce, chciała temu odrazu zaradzić.

– Radzę pani wziąć się do czytania, – rzekła – bo inaczej znudzi się pani bardzo. Moje towarzystwo pewno niebardzo jest zabawne – dodała z uśmiechem. – Mam z sobą parę nowości, które warto przejrzeć.

I szukając w swoim podróжным worku książek dla Ninki, ciągnęła dalej:

– Ja zawsze w podróży czytuję. Nie mogę się obejść bez książek. Nabrałam tego przyzwyczajenia, będąc jeszcze młodą mężatką, z tego powodu, iż chciałam syna mojego Felcia, zna go pani z Drezna, wychować wzorowo. Postanowiłam przeczytać w tym celu sto książek pedagogicznych. Musiałam się śpieszyć, gdyż chciałam skończyć to wszystko, nim Felcio zacznie chodzić i rozumieć cokolwiek. Czytałam więc prawie nieustannie, na każdym spacerze, w każdej podróży, no i przeczytałam. Okrągłe sto książek pedagogicznych!

Twarz pani Maryańskiej jaśniała dumą i tryumfem.

Ninka uśmiechnęła się nieznacznie. Sprytna była i inteligentna, więc spostrzegła płytkość takiego postanowienia. Ubawiło ją bardzo to pośpieszne czytanie książek pedagogicznych, z których pewno ani jeden ślad marny nie pozostał w umyśle pani Maryańskiej. Przypomniał się jej „Felcio,” który nie dowiódł żadnym szczegółem, iż jest wytworem stu dzieł, jednym tchem przeczytanych.

– Co to jest za książka? – spytała z zaciekawieniem, widząc, iż pani Maryańska bierze do ręki jakiś tom z obrazkiem na okładce.

– To są nowelki Gyp’a. Ale to nie dla nowicyuszek! O nie! Nie dam tego. Przełożona miałaby do mnie ciężki żal. Chociaż... – i pani Maryańska namyślała się przez chwilę. – Chociaż jestem pewna, że pani z tego nic a nic nie zrozumie. Niech pani przejrzy ilustracje, są bardzo ładne.

Ninka pierwszy raz w życiu miała w ręku francuskie powiastki. Wzięła je z ciekawością.

Podróż odbywała się dość długo. Nocowano w Krakowie, a później jechano jeszcze cały dzień koleją Warszawsko-Wiedeńską. Nad samym już wieczorem przyjechano do ostatniej stacji przed Zaleszynom. Trzeba było końmi jechać jeszcze parę wiorst, powóz czekał, więc też bez zwłoki ruszono dalej.

Ninka czuła się coraz bardziej wzruszoną na myśl, iż za chwilę zobaczy Tenczyńskiego i Zaleszyn, którego jeszcze nigdy nie widziała, a słyszała o nim bardzo wiele, więc wzbudzał jej ciekawość.

Wreszcie, na wyniosłości, obrosłej ogrodem angielskim, zabielił się pałac zaleszyński, bardzo gustowna, niewielkich rozmiarów budowla, z końca zeszłego wieku.

Stał w malowniczym położeniu, a z okien jego prawdopodobnie rozciągał się daleki widok. Ninka przyglądała się wszystkiemu z wielkim zajęciem.

Gdy z szosy skręcono, jechano parę minut ulicami ogrodu; pałac niekiedy się chował za klomby i drzewa, niekiedy się ukazywał i znowu chował; nareszcie powóz zatrzymał się przed głównymi drzwiami.

Na spotkanie wyszedł Maryański ojciec i Tenczyński.

Przywitanie było bardzo uprzejme i serdeczne. Tenczyński od razu wyłącznie zajął się Ninką, rozpytywał, czy zmęczona, czy ją podróż niespodzianie zaskoczyła i znudziła.

– Panie pewnoby rade pójść do swoich pokojów – rzekł; – zaraz pokażę drogę. Obiad będzie za pół godziny.

Ninka znalazła się w bardzo wygodnym pokoju z balkonem. Z okien był widok na rzekę i łąki, a w każdym szczególe urządzenia znać było rękę jakąś staranną, która dla mającej tu przybyć mieszkanki przygotowała wszystko, co tylko mogło być przyjemnością i wygodą. Nie było ani jednego mebla brzydkiego, a wiele kwiatów.

Ninka uśmiechnęła się na ten widok. Może to Tenczyński myślał tak o niej? I przypuszczenie to zrobiło jej wiele przyjemności.

Obiad był wesoły i ożywiony, jak to zwykle bywa po podróży, kiedy każdy ma coś opowiedzieć, lub o coś zapytać.

– Ustalila się jakoś zwykła październikowa pogoda – rzekł Tenczyński. – Wrzesień był słotny i zimny, ale teraz będzie znowu trochę ciepła na babie lato. Chwała Bogu, będzie można używać spacerów, bo inaczej panie zanudziłyby się w Zaleszynie.

– Czy pani poluje? – spytał nagle pani Maryańskiej.

Intencja była ironiczna, gdyż dość było spojrzeć na „majestatyczność” pani Maryańskiej, aby być pewnym, że wszelki sport na śmierćby ją zamęczył. Ale Tenczyński wiedział także, że chce ona, aby ją brano za szykowną damę z high-life’u, zatem od sportowych zamiłowań odrzekać się nie będzie.

Rzeczywiście nie wiedziała co odpowiedzieć.

– Jestem bardzo nerwowa i nie lubię rozlewu krwi – rzekła wymijająco.

Myśl, że Tenczyński uważa ją za sportsmenkę, wprawiła ją w humor brylantowy. Stała się ogromnie rozmowną; naturalnie, nie zapomniała opowiedzieć o stu pedagogicznych książkach, przeczytanych ze względu na „Felcia”, o czym mąż jej i Tenczyński słyszeli już nieraz i nie dwa razy.

Ninka zauważyła, że Tenczyński bawi się kosztem dobrodusznej pani Maryańskiej, i że z poza wielkiej jego uprzejmości przeglądają złośliwe inklinacje.

Zauważyła także jednocześnie, że do niej mówił inaczej, bardzo serdecznie, i życzliwie, i że tak samo jak i w Dreźnie, nigdy żadną sceptyczną uwagą nie zmroził jej zapału ani przekonań, jakby była u niego na jakichś prawach wyłącznych, jakby w szczerą jej jednej tylko wierzył i nie chciał chłodnym sądem odstraszać jej od siebie lub oddalać. Czuła w nim życzliwego i przyjaciela.

Sprawiało jej to wiele radości i odurzało pospołu ze światowem otoczeniem, od którego w klasztorze już odwykła.

Dziwnie odświętnym wydał się jej stół z żardinierką kwiatów, cicho stąpająca służba, światło lamp dużych, jakich w klasztorze wcale nie znano, i ten komfort życia, dążenie do estetyki i wygody, który jest podstawą urządzenia każdego bogatego domu.

Doznawała bardzo wielkiej przyjemności w tej atmosferze, jakby i dla ducha miękkiej i swobodnej; miała wrażenie człowieka, który po długiej podróży w noc ciemną i zimną, na trzęsącej i niewygodnej bryczce, znalazł się nagle na miękkim fotelu przed ogniem kominkowym, otulony ciepłem powietrzem, zewsząd go obejmującym.

Skoro wszyscy na czarną kawę przeszli do salonu, spytała nagle:

– Ale, ale, co się dzieje z panią Julią? Zdziwi się, gdy się dowie, że ja tu jestem. Bardzo

byłabym rada zobaczyć się z nią w Warszawie.

Uderzyło ją jednak milczenie i jakiś dziwny chłód, którym przyjęto jej słowa. W pierwszej chwili nikt jej nie odpowiedział.

Pani Maryańska, uważająca się za bardzo zręczną dyplomatkę, chciała być dyskretną i zrobiła przy tej okazji bardzo niedyskretną minę, taką, która mówi, że miałaby bardzo wiele do powiedzenia, ale nie powie. Przytem uśmiechnęła się prawie półgłosem, pogorszając naprężoną sytuację.

– Pani Julia prawdopodobnie jest już w Warszawie – rzekł wreszcie Tenczyński.

Znać było w głosie, iż nie rad mówić o tym przedmiocie.

Od wzmianki o pani Julii rozmowa była mniej swobodną, a Ninka zachodziła w głowę, co znaczy ta niechęć dla jej przyjaciółki i widoczna w Tenczyńskim zmiana humoru.

Wkrótce też wszyscy się rozeszli, gdyż godzina była późna.

Następne dni były wypełnione nudnymi zajęciami.

Ninka zwiedzała Zaleszyn i miejscowe fabryki w towarzystwie państwa Maryańskich i Tenczyńskiego; codziennie przez parę godzin przesiadywała w kancelaryi, gdzie jej tłómaczono znaczenie rozmaitych cyfr, kapitałów wkładowych i obrotowych itd. Pierwszy raz w życiu dotykała się materialnej jego strony, pierwszy raz przekonać się mogła, że sprężyną całego życiowego mechanizmu jest pieniądz, który tę wielką fabrykę żelaza powołał do życia, który tylu robotnikom dawał utrzymanie i dach nad głową, wogóle dla całej okolicznej ludności był źródłem dobrobytu i jakimś ogniskiem ruchu i życia.

Dziwnego doznawała wrażenia, gdy spojrzała na wielkie zabudowania fabryczne, pełne łoskotu, gwaru i ruchu, i pomyślała sobie, że kilka tysięcy ludzi i maszyny, kosztujące krocie, pracują dniem i nocą nad wytworzeniem ogromnych sum pieniędzy, które jej los daje do ręki.

Na co jej to wszystko? Wszak za rok złoży przysięgę ubóstwa dobrowolnego!

Gdy z panią Maryańską na spacer wychodziła, Ninka lubiła zachodzić do fabryki, która ją bawiła nowością i wielkim ruchem. Przyglądała się machinom i sposobowi pracy; pewnego dnia nawet zawiązała rozmowę z jednym z robotników.

Wyciągał on z ognia duże sztaby żelaza, do białości rozpalone, niósł je w kleszczach i podsuwał pod walce, które je rozwałkowywały na długie i cienkie listwy.

– Czy was oczy nie boją, od tego blasku żelaza? To takie oślepiające.

– Pewnie, panienczko, że boją – odrzekł robotnik.

– To powinni wam na to zaradzić – przerwała Ninka z przejęciem.

– Ech, panienczko! Czy to można na to zaradzić? A zresztą ktoby tam chciał nad tem sobie głowę łamać, żeby co wymyślić!

– Ależ tak być nie może! – zawołała żywo Ninka.

I poszła dalej, aby swobodnie i bez świadków wypowiedzieć pani Maryańskiej całe swoje oburzenie na obojętność osób, za fabrykę odpowiedzialnych.

Brak znajomości życia czynił ją, skłonną do zapatrywania się na wiele faktów przez szkła powiększające.

Zdawało się jej teraz, że robotnikom dzieje się straszna krzywda, że bogactwo jej jest zebrane kosztem sił żywotnych biednych ludzi.

Może oni wszyscy ślepną na starość? A nocne dyżury napewno im życie skracają! I to wszystko dzieje się dla pieniędzy!

Skoro wieczorem znalazła się przy stole razem z Tenczyńskim, wystąpiła odrazu z bardzo gwałtowną pretensją, z niebywałym w niej ostrym tonem i energią.

Tenczyński nie mógł się na razie zorientować, o co chodzi.

– Jak to? To niepodobieństwo, aby pan nie wiedział o tem, co się w fabryce dzieje. Ludzie się zamordowują, pracują dzień i noc. Roztopione żelazo ma taki blask, że sekundę nawet

patrzeć nie można, a oni ciągle mają je przed oczyma! To jest nieludzkie okrucieństwo, aby nikt nie pomyślał, żeby temu jakoś zaradzić i tym nieszczęśliwym pomóc jakkolwiek. To jest oburzające, żebyśmy zbierali pieniądze kosztem niedoli i życia cudzego! Takie pieniądze szczęścia nie przyniosą. Teraz mnie mój spadek kamieniem na sercu ciążyć będzie!

– Niech się pani uspokoi, tak źle nie jest – z uśmiechem rzekł Tenczyński. – Jest to jednak taki rodzaj pracy, której inaczej nie można wykonywać.

– To lepiej zamknąć fabrykę, niech się w niej ludzie nie męczą.

Tenczyński na dobre śmiać się już zaczął.

– Cha, cha, cha!. Toby im pani dopiero przysługę oddała! Z czegożby żyli? A zresztą nikt ich nie zmusza do pracy fabrycznej. Można mieć w Zaleszynie zarobek i w polu jeszcze, i w lesie.

Po bardzo długich rozmowach przekonano wreszcie Ninke, że za rządów Tenczyńskiego żaden jeszcze robotnik nie ociemniał, i że jest stały przy fabryce doktor i apteka dla wygody miejscowych ludzi.

Ninka podczas tej utarczki ożywiła się więcej niż zwykle. Na twarz jej wystąpiły mocne rumieńce, oczy błyszczały, znać było, że odebrane wrażenie przejmowało ją do głębi i wstrząsało. Inna jakaś była, nie taka jak zwykle nieśmiała i zamknięta w sobie, rysy się jej mieniły silnie odczuwanymi wrażeniami. Sama się nawet zlekła swojej żywości i po załagodzeniu sprawy była zakłopotana i zdziwiona swoją niebywałą odwagą i gwałtownością.

Tenczyński był mocno ubawiony i zajęty. Ukazała mu się Ninka w zupełnie odmiennym świetle, zdradziła żywy temperament i wielką dobroć serca.

Po obiedzie, gdy wszyscy przeszli do salonu, wygodnie usiadł na fotelu, i udając, że przegląda gazety, o niej myślał.

„Co za wrażliwa natura! Grały w niej wszystkie nerwy, taka była poruszona. Jaka subtelna uczuciowość, tak się do głębi przejmować cudzą biedą. Byleby umieć poruszyć jej uczucia... czegooby to na nich nie można wygrać!.. Można być pewnym, że u niej są prawdziwe uczucia, nie złudzenia uczuć! A jak wszystko szczelnie schowane i przykryte!... Tyłem razy ją widział i zawsze myślałem, że to prędzej rybie usposobienie, a to widać... mimoza! Może dlatego tak bardzo w sobie zamknięta, że zbyt wrażliwa. Ktoby przypuszczał, że tam jest tyle ożywienia i tyle uczuć!... I pomyśleć, że to wszystko pójdzie na marne!... Wszystkiego się wypiera i wszystko tłumi... ale... czy stłumi?... Biedactwo!”

I Tenczyński pożałował Ninki serdecznie, gdyż sobie pomyślał, że ta trwożliwa dziewczynka, która uciekła przed życiem i ludźmi, okazując w sobie naturę nawskroś uczuciową, tam, w swoim klasztornej zamknięciu, do uczuć ziemskich rwać się będzie, bo przecież jest ziemską istotą z krwi i ciała; może przyjdą na nią chwile walki, podczas których zapał religijny będzie za małą podporą dla natury tak wrażliwej, miękkiej.

Zbliżył się, do Ninki, ażeby z nią porozmawiać.

– Czy pani ciągle myśli o fabrykantach? – rzekł.

– Niech mi pan powie szczerze, czy oni naprawdę nie psują sobie oczu przy tej robocie?

– Ręczę pani słowem honoru, iż robimy wszystko, co jest w naszej mocy, aby robotnikom ułatwić ciężką pracę.

Przekonał ją prawie tonem i wyrazem twarzy, ale biedna Ninka skazana była na niepokoje, gdyż przyszło jej znowu namyśl, że może obroną robotników obraziła Tenczyńskiego, zajmującego się od kilku lat fabryką zaleszyńską.

– Może ja panu dokuczyłam mojem szorstkiem wystąpieniem? Doprawdy, ja nie chciałam panu zrobić przykrości, tylko tych ludzi bardzo mi żal było.

Tenczyński uspokajał ją i protestował.

– Pani zawsze o innych myśli – rzekł wkońcu.

– Przyjemniej myśleć o innych, niż o sobie – odrzekła Ninka.

Było to zupełnie szczerze powiedzenie. Ninka bała się teraz myśleć o sobie. Naprowadzało

ją to zawsze na wspomnienia jej dziwnie smutnego kochania, wywoływało uczucie tęsknoty i przygnębienia.

Tenczyński zauważył, że słowa powyższe powiedziała ze smutnym uśmiechem, i że jemu na ten widok także smutno się zrobiło. Byłby uczynił bardzo wiele, byle przejrzeć do głębi myśli jej i uczucia, nie byłby ich zranił za nic na świecie, nietylko wyraźną przykrością, ale nawet najlżejszym słówkiem ostrem, lub złośliwym, chociaż z tą swoją bronią nie liczył się zwykle i nikomu jej nie żałował.

Odkrycie, że Ninka nie jest rybą, było dla niego rodzajem przyjemności, stała się więcej interesującą i ciekawą, to też poświęcał jej wiele więcej czasu; aniżeli za pierwszych dni pobytu w Zaleszynie.

Towarzyszył na spacer, a skoro jednego dnia od samego rana deszcz padał, i wszyscy musieli, radzi nieradzi, pozostać w domu, zaproponował, aby wspólnymi siłami zajęli się rozgatowaniem książek, przywiezionych z Drezna razem z innymi rzeczami pani Tenczyńskiej.

Nince uśmiechnął się projekt tej wspólnej pracy, poszli zatem zaraz do biblioteki.

Zajęcie szło im rażno i wesoło; drezdeńskie książki, pani Tenczyńskiej nasuwały im różne wspomnienia, Ninka ożywiła się bardzo, witając tych swoich starych znajomych.

– A! – wykrzyknęła naraz ze zdziwieniem – jaka miła niespodzianka! Mój album pensjonarski... Zostawiłam go u cioci w Dreźnie, a teraz widzę, że go tu przywieziono razem z jej rzeczami.

Zaczęła przerzucać dosyć dużą książkę w skórę oprawną, zapełnioną różnymi wierszami, „wpisanymi” na pamiątkę przez klasztorne koleżanki. Odczytywała niektóre ustępy, uśmiechała się do swoich myśli i dawnych wspomnień.

– Miła pamiątka! – rzekła po chwili. – Z przyjemnością zabrałabym ją z sobą do klasztoru, ale nam nie wolno nic mieć własnego, nic, do czego by się można przywiązać, lub przyzwyczaić.

– Czyż to być może! Ależ to niepodobieństwo! Barbarzyństwo! – zawołał Tenczyński z oburzeniem. – Nic, do czego by się można przywiązać? To jest pastwienie się nad ludzkim sercem...

Zamilkł jednak po tych kilku słowach, chociaż cisnęły mu się na usta całe potoki ironicznych argumentów przeciw takim dziwnym pojęciom. Przyszło mu bowiem na myśl, że możeby swoją mową zmieszał spokój umysłu Ninki, nasunął jakieś sprzeczne wyobrażenia, lub pogląd sceptyczny. Na co jej to? Na co niepokoić jej myśli?

Ninka tymczasem rzekła po pewnym milczeniu:

– To się tylko na pozór dziwnem wydaje. Dla duszy to wielkie szczęście takie zupełne oderwanie się od rzeczy ziemskich. Więcej się myśli o Bogu, więcej się Go kocha, łatwiej zatem dla Jego miłości znosi się rozmaite próby, z których składa się nasze życie. Tylko, że to jest bardzo... bardzo trudno dojść do takiego zupełnego oderwania od ziemi uczuć i myśli.

Ostatnie wyrazy powiedziała z rezygnacją, jakby poczuciem własnej słabości. Tenczyńskiemu zdawało się, że jest to odcień zniechęcenia i gorycz.

„Biedactwo!” – pomyślał sobie. Miał ochotę uścisnąć ją i słowami serdecznymi podtrzymać odwagę i podeprzeć opadające z sił drobne skrzydełka jej duszy, które może wzbijały się do lotów zbyt szerokich, górnych i nieodpowiednich.

Przecież człowiek do życia jest przeznaczony. Po co odwracać się od tego wszystkiego, co zgodne z ludzką naturą? Życie to bywa czasem bardzo piękne i wabiące, a nie każdy umie oprzeć się jego uśmiechom...

Czuł, że ogarnia go wzruszenie, gdy myśli o Nince, to też milczał przez jakąś chwilę, i dopiero otrząsnąwszy się z tych wrażeń, rzekł obojętnie:

– Czy pani pozwoli mi obejrzeć te pamiątki?

Ninka podała mu album, sama zaś zajęła się dalej układaniem książek.

Tenczyński przerzucał niedbale kartki albumu, więcej machinalnie niż z ciekawości, aby tylko nie być obowiązany do rozmowy i rozmaitym myślom, cisnącym się tłumnie, puścić wodze. Uśmiechał się pogardliwie, kiedy wzrok jego przesuwiał się po równych linijkach pisma, wyuczonego według jednej metody szablonowej, którego treścią były rozmaite ogólniki o przyjaźni i wspólnych wspomnieniach, o pracy, smutkach i radości; błąkały się tam gdzieś wyrazy: „miłość i szczęście,” ale czyż te dzieci rozumiały ich znaczenie? Czyżby umiały je określić? Egzaltowane wykrzykniki, szumnie brzmiące zapewnienia wiecznej przyjaźni i pamięci zapełniały album aż po brzegi.

Doszedł wreszcie do ostatniej stronicy, która była niezapisana, cała biała.

I przyszło mu na myśl dziwne porównanie: podobieństwo tej pustej kartki do Ninki serca i umysłu. Tam, na jej sercu, tak samo białem i nieskalanem, mogłoby życie wypisać dziwnymi barwami wyrazy jeszcze dziwniejsze... Mogłyby tam być litery z czystego złota i dyamentów, ze świetlanych promieni i barw tęczy, albo też – czarne i niskie, zbrudzone namiętnościami lub zapomnieniem...

Nie uważał, że Ninka, zdziwiona jego milczeniem, siadła nieopodal; zagłębił się w rozmyślaniu, wywołanem dziecinnymi frazesami i białą kartką albumu.

Dusza taka, jak ta stronica czysta i niezapisana, byłaby światem szczęścia dla tego... ktoby skreślił na niej pierwsze litery, pierwsze wrażenia niezatarte... Czyżby... to nie było zupełnie nowym rodzajem rozkoszy? A ileż wrażeń, subtelnych jak pajęczyna, a jednak silnych i niebanalnych!... Kreślić na takim białym sercu i wyobraźni wszystko, coby myśl nasunęła, uczucia, które on tylko obudzić potrafi, dążenia, jego szczęście mające tylko na celu, te same myśli i pojęcia, poprostu miłość rozbudzić i rozdmuchać, i swoje imię zapisać we wszystkich zakątkach tego białego serca, na którym prawdopodobnie nie odbiło się jeszcze żadne silniejsze wrażenie ani uczucie!

Tenczyński uśmiechał się do swoich myśli.

Tak! Można by tam wszystko wypisać... To taki sport, jak każdy inny... Czemuzby nie zużytkować czasu i sposobności? To będzie bardzo ciekawe i zabawne widzieć swoje imię, wypisane na uczuciach kryształowych i w pamięci białej jak śnieg!

Ot... nowa garść wrażeń.

Ale...z nią co będzie?

Nic.

Ładna nowicyuszka obarczy może swoje sumienie kilku rumieńcami wzruszenia lub radości, drżeniem ręki, lub nocą bezsennością, lub też kilku dziwnymi obrazami wyobraźni, które ni stąd ni zowąd na myśl spadną, i pozbyć się ich nie będzie można w żaden sposób. Później, gdy będzie znowu w swoim klasztornej zaciszu, wypowiada się pewno z tych dziwnych, niebywałych u niej dotychczas myśli, albo je zostawi za kratą, przy progu klasztornej, przy którym, jak sama to przecie nieraz mówi, nikną wszystkie echa i wspomnienia.

Tam, w głąb, do celi, pójdzie za nią może jakaś odrobina żalu do... Anioła Stróża, za to, iż ją niedość szczelnie okrył swojemi skrzydłami i dał na chwilę przystęp ziemskim wrażeniom, lecz – w końcu zapomni.

Obejrzał się za Ninką.

Znów układała książki, wyjęte z paki, ostrożnie i bez szmeru, jakby nie chciała przerywać mu jego myśli. Wdzięcznym jej był za tę uwagę delikatną i rzekł serdecznie:

– Prawda? Nierozmowny ze mnie pasażer! Pani się znudzi w moim towarzystwie. Ale proszę się bardzo na mnie nie gniewać. Choć nic nie mówię, ale za to ciągle myślę o pani, a zdaje mi się, że myśli więcej są od słów warte. Pani jest bardzo sprytna i przebiegła, – dodał wesoło – choć pani zawsze chce się usunąć i być nieznaczną, ale to nie przeszkadza, że każdy ma panią w myśli i radby przychylić nieba, byleby pani zrobić przyjemność.

– Niech pan tak nie mówi, bo będę zrozumiąłem – rzekła Minka i zaczerwieniła się trochę z zakłopotania, a trochę z radości.

Pani Maryańskiej przytrafiło się nieszczęście.

Jednego dnia przyglądała się obrazom, wiszącym w głównym salonie, a zauważywszy jeden nieduży widok górski, który się jej spodobał, spytała o cenę, ponieważ zwykle według ceny normowała swoje artystyczne pochwały i nagany.

– Tysiąc rubli – odrzekł Tenczyński.

– Tysiąc rubli?!!! I za cóż to płacie malarzowi tyle pieniędzy? Nawet mu farb niewiele wyszło! Wszystko prawie zielone, żadnej różnorodności.

Uwagi te wyrwały się jej szczerze, bez namysłu.

– Pani się zdrowo na malarstwo zapatruje – wtrącił Tenczyński.

– O, tak! nie dam się nigdy firmą obalamucić – odrzekła z pewnością siebie.

Jednak zaniepokoił ją i do pewnego stopnia zaalarmował dziwny wyraz twarzy Tenczyńskiego, jakby jakiś uśmiech niewyraźny, a tłumiony.

Czy on czasem coś złośliwego o niej nie pomyślał!... Ta mina była dziwnie onieśmielająca i dawała do myślenia... Pewno śmiał się z tego, iż dziwiła się wysokiej cenie obrazu. Napewno.

Pani Maryańska, zrobiwszy to odkrycie, była mocno zafrasowana. Przypomniała sobie, że w kodeksie światowym, małej książeczce pod tytułem „Nie wypada,” stoi wyraźnie napisane:

„Nie wypada okazywać zbyt wielkiego zdziwienia.” Osoby, w świecie obyte, niczemu dziwić się nie powinny; co najwyżej, mogą sobie pozwolić na uśmiech pogardliwy. Takie były przynajmniej pani Maryańskiej przekonania o światowości.

Straciła humor i była z siebie niezadowolona. Ale los zlitował się nad nią i dał sposób rehabilitacji zakwestyonowanego w oczach Tenczyńskiego obycia jej światowego.

Ponieważ dzień był ciepły i słoneczny, jak to czasem bywa niespodzianie późną jesienią, Tenczyński zaproponował paniom, aby mu towarzyszyły na polowanie po zachodzie słońca na podjazd na zwierzynę.

Pani Maryańska zrobiła minę wytrawnej, sportsmenki.

– Jest to mój ulubiony sposób polowania – rzekła z radością, chociaż z uwagi na swoją objętość, nigdy w swym życiu w żadnych polowaniach udziału nie brała.

Odzyskała trochę dobrego humoru, gdy się znalazła w podjazdowym ekwipażu, rodzaju linii, na której wszyscy siedzieli rzędem obok siebie, nawiasowo mówiąc, trzęsącej niemiłosiernie, i pomyślała sobie, że towarzyszy takiemu myśliwemu *par excellence*, jakim był Tenczyński.

Tenczyński siedział najbliżej stangreta, przy nim Ninka, dalej pani Maryańska. Maryańskiego nie było, wymówił się zajęciem.

Wyruszone przed samym zachodem słońca. Jasno było jeszcze zupełnie, tą jaskrawą jasnością jesiennego słońca, które jakby pragnęło bogactwem swoich blasków zastąpić nikle kolory liści i trawy, ale czuć już było w powietrzu jakby płynącą dopiero z oddali, ciszę wieczorną, spokój, ogarniający całą ziemię przed spoczynkiem, jakby zatrzymanie oddechu natury, która tem zatopieniem się w sobie samej rozkoszować się chce ostatnim pocałunkiem słońca i jego złotych promieni.

Las wyglądał jak paleta z rozłożoną bogatą gamą kolorów: każdy krzak i gatunek drzewa w inną się stroił barwę jesieni. A wszystkie zlewały się harmonijnie w jedną całość bardzo estetyczną, bez jaskrawości, ani kontrastu. Jedne liście były jeszcze zielone i jakby świeże, inne miały już żółtą obwódkę, albo całe były pożółkłe, inne znów zasychały w szarawą barwę, z najrozmaitszymi jej odcieniami. Wszystkie tylko były nieruchome, w spokojnej godzinie zachodu słońca, jakby rozmyślając nad przygodami dnia ubiegłego, nad echem z ludzkiego świata, przyniesionymi powiewem wiatru, nad zwierzeniami motyla, albo jętki jednodniowej.

– Pst... teraz uważajmy – rzekł Tenczyński, skoro już byli w głębi lasu.

Stangret konie wstrzymał, i wszyscy, nic nie mówiąc, patrzali przed siebie. Stali na obszernej polance, na której porozrzucane były gdzieniegdzie krzaki jałowcu i berberysu, a

otaczała ją gęstwina leśna. W głębi była mała sadzaweczka, sitowiem zarosła, do której zwykle nad wieczorem schodziła się zwierzyna, sarn najwięcej.

Nikt nic nie mówił, wszyscy troje stali bez ruchu prawie i oddechu, aby nie spłoszyć trwożliwych i czujnych zwierzątek.

Niedługo czekali.

Kwadrans nie upłynął, a na polance migać zaczęły cicho i bez szmeru sarn wiotkie sylwetki. Zdawały się nie poruszać trawy, przez którą biegły, stawały po dwie albo trzy wśród łączki, lub nad wodą, i głowy naprzód wysuwały szybko i elastycznie, niekiedy do liścia na krzaku, a niekiedy tak, jakby węsząc w powietrzu człowieka nieprzyjaciela.

– Jakież to prześliczne! – rzekła Ninka bardzo cicho, gdyż była tuż obok Tenczyńskiego.

– Czy pani widzi tego rogakza tam nad wodą? Pójdzie zaraz na strzał.

Tenczyński, mówiąc te słowa, wziął za fuzyę, ale równocześnie Ninka ujęła go za rękę bardzo delikatnie i nieśmiało i rzekła błagalnie:

– Niech pan nie zabija tego biedactwa; to takie ładne i spokojne... i śmierci się nie spodziewa...

Tenczyński fuzyę na bok odłożył i patrzył na Ninkę z uśmiechem i bardzo serdecznie. Czuł, że jest w tej chwili wrażliwszym może, niż kiedykolwiek, odczuwał spokój natury, która w tej godzinie najbogatsza jest w uroki, a wrażenia subtelne i poruszające serdeczne uczucia sypie hojną dłonią z błękitnej, przejrzystej przestrzeni, którąby się chciało, oddychając, całą duszą zabrać, z delikatnych barw zieleni w tysiącznych odcieniach, z ciszy, w której się roztapiają ludzkie myśli, zacierają wszystkie kanty, szorstkie właściwości, a wychodzi na jaw tylko to, co miękkie i delikatne, co wyobraźnię kołysze do marzenia.

– Czy pani bardzoby żałowała tych stworzeń? – spytał Tenczyński tak samo cicho, jak przedtem.

– O, tak! Ogromnie. One pewnie są bardzo szczęśliwe. A szkoda szczęście niszczyć... i tej ciszy także byłoby szkoda. Gdyby pan wystrzelił, toby takie samo było wrażenie, jakby ktoś wrzucił nagle kamień do bardzo spokojnej i gładkiej wody.

– Czy pani tak bardzo lubi ciszę?

– Ciszę... tak, ale nie pustkę.

Tenczyński popatrzał na nią uważnie. Skąd ta dziewczyna, zajęta marzeniem o niebie i świętości, może mieć myśli o pustce?

– Rozmaite bywają pustki, – rzekł – ale najprzykrzejsza to chyba ta, która jest niekiedy w życiu i uczuciach.

– Pewno. Aż straszno pomyśleć o takim życiu.

– Tak. Byłoby straszno, gdyby czasem jakiś dobry geniusz, czy Opatrzność, nie zlitowała się nad biednym, samotnym człowiekiem i nienaprowadzała nas na ślad jakiejś istotki, bardzo dobrej i bardzo kochanej, która choć czasem miewa zwyczaj na bok się usuwać i znikać, aby jej oko ludzkie nie dostrzegło, ale tem łatwiej właśnie, bo niepostrzeżenie, przez jakąś szczelinę do serca nam się wsuwa, wypełnia sobą całą przestrzeń, zabiera myśli i uczucia, i wtedy... niema już pustki w życiu... jest tylko bardzo wielkie szczęście.

Mówił to bardzo wolno, jak gdyby chciał, żeby każde jego słowo wryło się głęboko w pamięci słuchającej, a Ninka nie przerywała jego mowy. Nie przychodziła jej do głowy ani żadna myśl określona, ani słowa, tylko doznawała wrażenia, jak gdyby odeszła do dziwnej krainy, od rzeczywistości bardzo dalekiej, gdzie wszystko było drogie i serdeczne, gdzie królowało jedno wielkie uczucie, którego już nawet nie próbowała z myśli oddalić. Zdawało się jej, że wszystko wkoło niej innego nabiera wyglądu, że się stroi w jaśniejsze barwy i żywsze blaski, że cała natura ożywia się jakoś inaczej, do serca jej śle uśmiech swego życia, przemawia jakimś dziwnym hymnem radości.

Ale kiedy tak poddawała się uczuciom przeczuwanego szczęścia, rozkosznym wrażeniom, płynącym od pięknej natury i ze słów Tenczyńskiego, stanęło jej w pamięci, znienacka, jak

gdyby obcą tam rzucone ręką, wspomnienie klasztoru i zakonnicy, ponura ceremonia obłóczyn, kiedy ją kirem przykrywano i śpiewano, jak nad umarłą...

Dziwny dreszcz po niej przeszedł; doznała takiego uczucia, jak gdyby ostry powiew zimnego wiatru rozproszył piękny miraż, utkany z delikatnej przędzy pajęczej, z barw tęczy, promieni słońca i uśmiechów. Nie zdawała sobie sprawy ze swoich wrażeń, ale niejasno przeczuwała, że niepodobieństwem jest połączyć jej rozkoszne rozmarzenie z klasztorną ścieżką życia, nakazującą oderwanie się od wszelkiej ziemskiej rozkoszy, aby duch doskonalił się i potężniał...

Odpychała wszystkie myśli, gdyż mimowolny strach ją ogarniał przed wyprowadzeniem jakiegobądź wniosku. Nie pierwszy to raz na wspomnienie klasztoru dreszcz ją przejmował i przecucie wielkiej tęsknoty do tego, co za sobą zostawić będzie musiała, kiedy przyjdzie chwila powrotu.

Nic nie mówiła, a wzrok jej błękał się po wieczornym krajobrazie.

„Jaka ona rozmarzona! – pomyślał sobie Tenczyński; – jak na nią oddziałują silnie zewnętrzne warunki!”

I dawnym swoim zwyczajem uśmiechnął się lekceważąco i ironicznie. Przyszło mu na myśl, że dobierając umiejętnie wpływów i wrażeń, możnaby naturę jej urobić w dwóch przeciwnych zupełnie kierunkach, możnaby zrobić z niej nawet taką panią Julię, lub coś gorszego jeszcze, sprowadzić tę „świętą” z jej piedestału i przekonać, że jej niebiańskie aspiracje nie warte są kieliszka dobrego szampana!...

Może niedawno jeszcze byłby lekceważąco wzruszył ramionami i powiedział sobie, że taki eksperyment, doprowadzony do ostatecznych konsekwencji, byłby zabawką w swoim rodzaju, ale teraz, opanowany nieznacznym wpływem tej „nowicyuszki,” pomyślał sobie, że takie postępowanie byłoby „czemś w bardzo złym guście.”

Tymczasem na polance ruch się zrobił i szelest, sarny rozbiegły się szybko na wszystkie strony, gdyż konie silniej parsknęły i spłoszyły nagle leśną drużynę.

Nie było już po co dłużej zostawać, więc zawrócono i skierowano się ku domowi. Było już dobrze szaro i chłód przejmujący zaczynał nie na żarty dawać się we znaki.

Rozmowa się nie kleiła; kiedy niekiedy ktoś rzucił jakąś uwagę, na którą odpowiadano monosylabami.

– Wracamy z polowania, a bez zwierzyny! – rzekła pani Maryańska z pewnym przekąsem.

Przez cały ten czas nie ruszała się ze swego miejsca i nie dawała znaku życia, tylko bardzo uważnie przyglądała się Nince i Tenczyńskiemu.

– Wogóle na podjazd jeździ się więcej dla patrzenia, niż dla strzelenia – odrzekł Tenczyński, myśląc o czym innym.

Pani Maryańska, ani mniej ani więcej, tylko czuła się obrażoną. Zaczęło się od tego, że doznała pewnego rozczarowania, nudząc się cokolwiek wolną jazdą na podjazdowej trzęsącej linii, a skończyło się na tem, iż Tenczyński więcej był Ninką niż nią zajęty.

„Poprostu bałamuci ją ten cynik!” – taka była ostateczna konkluzja rozmyślań pani Maryańskiej w powrocie do Zaleszyna.

Odkrycie to przejęło ją zgrozą bardzo uzasadniona Ninka, jako nowicyuszka, była w jej przekonaniu nietykalną, której bałamucenie było występkiem, zniewagą. Nowicyuszka była dla niej istotą poświęconą, czemś w rodzaju szkaplerza albo różańca. A co najgorsza, że odrazu, jak wielki postrach i utrapienie, nasunęło się jej myślom, że „on naprawdę gotów ją zbałamucić.” Czyż nie byłby zdolny do tego?

Czyż nie są wiadome wszystkie jego rozmaite „kawalki,” których – mówiąc nawiasem – pani Maryańska słuchała zawsze z wielkim zajęciem...

Czyż nie mówili teraz wszyscy o zbałamuceniu przez niego hrabiny Nessel? Przecież to było najświeższym skandalem, który sobie opowiadano w warszawskim towarzystwie.

Wiadomość tę przywiózł stujezyczny hrabia Zdziś, który trafem stanął w Wiedniu w tym

samym hotelu, w którym zatrzymali się, przyjechawszy z Krakowa, pani Julia i Tenczyński.

Podobno zaczął ich śledzić przez ciekawość i pojechał za nimi do jakiejś wioski alpejskiej, zapadłej i przez nikogo nie odwiedzanej, gdzie myśleli, iż ich nie ujrzy ludzkie oko. Wiedzą o tem ludzie, że czuła parę bardzo prędko znudziła „alpejska sielanka,” samotne spacerowanie po górach stawały się coraz rzadszymi, ale za to coraz częściej trafiały się sprzeczki i obustronne niezadowolenie.

Wreszcie, podobno, pewnego dnia, po bardzo burzliwej wymianie słów, rozjechali się oboje, każde w inną stronę, innym pociągiem. Pani Julia pojechała do Biarritz, Tenczyński na Węgry, do jakiegoś znajomego sobie magnata, i byłby tam może przesiedział całą jesień, gdyby nie nagła śmierć pani Tenczyńskiej.

Pani Maryańskiej jedna myśl uporczywie dręczyć nie przestawała.

„Ten potwór na wszystko gotów się odważyć!” A Ninka jest pod jej opieką! I na nią to, biedną kobietę, spadnie cała odpowiedzialność!

Jedynym, choć kruchym zabezpieczeniem, byłoby ostrzeżenie panny Olszyńskiej o zastawionych na nią zdradzieckich sidłach tego „szatana kusiciela.”

Pani Maryańska była zamyślona. Nawet po powrocie do Zaleszyna nie uspokoiła swoich przypuszczeń. Podczas obiadu była milcząca, rolę swoją Anioła Stróża, czy też cerbera, wyobrażała sobie w najczarniejszych i tragicznych barwach.

Po obiedzie, kiedy wszyscy zebrani byli w salonie, upatrywała chwili odpowiedniej, kiedyby można zrobić pannie Olszyńskiej kilka uwag poufnych i przyjacielskich. Ale jak na złość, ten „potwór” Tenczyński nieustannie siedział przy Ninie, zawzięcie ją emablował i nie okazywał żadnej chęci zajęcia się tego wieczoru jakimkolwiek innym przedmiotem.

Wreszcie Maryański, wiedziony przecuciem, czy sugestią, wyjął notatnik z kieszeni i zaczął mu pokazywać jakieś liczby i zapiski.

Pani Maryańska czasu nie traciła.

Zawiązała z Ninką rozmowę i zaczęła spacerować po salonie. Po kilku chwilach pogawędki niby od niechcienia, znalazła się w sąsiedniej sali jadalnej. Widząc, iż jest tutaj z Ninką zupełnie sam na sam, odwagę swoją uchwyciła w obiedwie ręce i odrazu przystąpiła do przedmiotu.

—Panno Janino, mam pani coś ważnego do powiedzenia!

— Mnie?

— Tak!

Pani Maryańska zacięła się i nie wiedziała co dalej mówić. Dopiero po pewnym milczeniu ciągnęła dalej:

— Pani jest młoda i niedoświadczona, pani nie wie wcale, że mężczyźni to są bardzo źli ludzie!

Ninka spojrzała na nią ze zdziwieniem.

— Zapewne! — odrzekła machinalnie.

— Nie trzeba nigdy wierzyć temu, co mówią, bo każdy z nich, choćby najporządniejszy pod innymi względami, poczytuje sobie za wielki honor okłamywać biedne kobiety.

— Przecież to niepodobieństwo, aby wszyscy byli tacy! — wtrąciła Ninka. — Ja myślę, że więcej jest na świecie dobrych ludzi, aniżeli złych.

— Niech ich pani nie broni, bo wcale tego nie są warci. Mówią kobietom niestworzone rzeczy, udają świętoszków i idealnych, po to tylko, ażeby się później naśmiewać, jeżeli znajdą się takie naiwne, które uwierzą tym komedynom.

Ninka nie rozumiała, do czego to wszystko zmierza. Dziwiła się bardzo temu wystąpieniu, a słowa pani Maryańskiej wywierały na niej wrażenie dziwnie przykre.

— Czy pani przypuszcza, że oni mają sumienia choćby za trzy grosze? Im jest zawsze wszystko jedno, czy kobieta cierpi z ich powodu, a nawet przeciwnie, pyszną się z tego i przechwalają, i gotowi zawsze pogardzać tą, która poświęciła dla nich „wszystko...” tak!

„wszystko!...”

Ninka nie rozumiała, co znaczyło to „wszystko,” ani też dlaczego pani Maryańska wyraz ten akcentowała.

– Jak to, wszystko? – zapytała: – życia, na przykład nie mogą żądać od niej w ofierze.

Pani Maryańska była w kłopotcie; nie wiedziała jak wybrnąć z tego pytania.

– Widzi pani... im... niewiadome jakie dziwactwa przychodzą niekiedy do głowy... tego nigdy naprzód przewidzieć nie można... To też zawsze lepiej jest, na wszelki wypadek, nie przywiązywać żadnej wagi do tego, co mówią. Ot, na przykład Tenczyński. On tutaj wobec pani gra rolę najporządniejszego człowieka, niby on jest taki dobry, przyjemny, poczciwy, nadskakujący, ciągle na pani usługi, do rany go przyłożyć... tym, którzy go nie znają, a tymczasem każdy wie, co on jest wart w gruncie rzeczy. Każdy oburza się jego ohydny postępkom względem hrabiny Nessel... Dlatego pani mówię o tem, aby pani nie wierzyła temu wszystkiemu, co on opowiada. Wszystko jest kłamstwem i komedią.

Ninka czuła, że błędnie; zdawało się jej, że cały pokój naraz wkoło niej się zakręcił, ale trwało to zaledwie chwilę. Opanowała wzruszenie i spytała:

– Co to było z panią Nessel? Czy naprawdę coś bardzo złego?

– Pani Nessel straciła przez niego dobrą opinię. Skompromitował ją.

– Jakże to mogło być? – rzekła Ninka z wielkim zdziwieniem.

– Hm...

Pani Maryańska znów była w wielkim kłopotcie.

– Hm... okłamał ja... Miał się z nią żenić... i namówił, aby z nim razem wyjechała za granicę.

– Przecież i do Drezna razem przyjechali, a nikt im tego za złe nie brał – przerwała znów Ninka.

– Tak... ale to co innego... Teraz... to tak wyglądało, jakby poślubna podróż... Byli jakiś czas w Wiedniu i w Alpach, ale panu Tenczyńskiemu prędko znudziło się towarzystwo pani Nessel, rzucił ją z zupełnie lekkim sercem, i ani mu teraz w głowie żenić się z nią!.. A po takiej... podróży jest to jego świętym obowiązkiem.

Naraził panią Nessel na śmieszność i lekceważenie. Taki postępek jest podłością w opinii ludzkiej.

Ninka już nie zadawała pytań, gdyż czuła, że za jednym wymówionem słowem, wybuchłaby płaczem gwałtownym.

Doznawała wrażenia, jakby ją osobiście spotkało jakieś nieszczęście, jakby jej ktoś szorstko i bezwzględnie narzucał widok przykrej rzeczywistości, przerywał sen rozkoszny, w którym nie było marzeń wyraźnych, tylko bardzo wielka błogość, pełna uroku.

Zdawało się jej, że ją ktoś wyśmiewa i szydzi z zaufania, urąga jakiemuś jej uczuciu bardzo wrażliwemu i niemającemu jeszcze nazwy, że na dnie serca szarpie jakąś serdeczną strunę delikatną, sprawiając ból dotkliwy, prawie fizyczny.

Jak to? Ten Tenczyński, tak jej blizki, choć ciągle z myśli odpychany, rozumiejący ją tak dobrze i zgadujący prawie wszystkie jej wrażenia, ten sam Tenczyński byłby zdolnym do takiego lekceważenia innych, oschłości serca i egoizmu? To straszne! Więcej niż straszne, bo nad wyraz bolesne, odbierające wszelką wiarę do ludzi i odzierające ich z uroku.

Najsprzeczniesze myśli przesuwwały się przez głowę Ninki. Nie uważała już narozne przestrogi i rady, które teraz pani Maryańska z wielką łatwością rozwijała, jakby z kłębka.

Tenczyński, mający przed sobą konieczny obowiązek poślubienia pani Julii, oddalać się od niej zdawał, innym był, obcym zupełnie, nie tym Tenczyńskim z Zaleszyna, który nią zajmował się serdecznie i który serce zabrał... Ten dobry, drugi, nikł nagle gdzieś w przestrzeni i zostawiał za sobą bardzo wielki żal i smutek.

Naraz na myśl jej przyszło, że Tenczyński postępkom swoim zgrzeszył ciężko i obraził Pana Boga.

Ogarnęła ją wielka trwoga i niepokój. Wszak Bóg za dobre nagradza, a za złe karze, a choć jest najwyższem Miłosierdziem i Przebaczeniem, ale trzeba choć odrobiny żalu i jakiegoś zadośćuczynienia, aby się zlitował i winę odpuścił... A czy Tenczyński rozumie, że źle postąpił? Czy choć trochę żałuje tego i myśli o naprawie? Pewno mu nic podobnego przez myśl nie przeszło: spokojny jest i kontent z siebie! Może on dalej w złem brnąć będzie i duszę zgubi...

Ninka spostrzegła się, że tak samo trwoży się o duszę Tenczyńskiego, jakby o swą własną. Tylko, że jest bezsilna i nic dla niej uczynić nie może...

Czyż naprawdę nie może nic uczynić dla jego dobra? Stał jej w myśli klasztor z życiem, pełnem ciągłej pracy nad udoskonaleniem ducha, walki z ziemskimi nawykami i wspomnieniami, naginania woli i natury do twardych nieraz obowiązków, w ciągłej czujności i zapomnieniu o swoim „ja.” I pomyślała sobie, że gdyby te wszystkie swoje trudy moralne ofiarowała na intencję Tenczyńskiego, toby może Bóg wejrzał na niego miłosiernie, zesłał zrozumienie tego, co złe i niesłuszne, nie karał, a tam, w przyszłym życiu, nie odepchnął od stóp Swoich!

Tak. Dla niego teraz będzie przewyciężała wszelkie pokusy i zniechęcenie, za niego ofiaruje swoje modlitwy, życiowe prace, trudy i przeciwności.

Uspokajała ją potrosze myśl ofiary i dawała jakieś dziwne wrażenia rozkoszy, splątanej ze łzami i bólem.

Miała też biedna Ninka wygląd prawdziwej ofiary, skoro wróciła do salonu i zajęła dawne miejsce. Błada była bardzo, oczy miała smutne i zamglone.

Tenczyński zaraz zmianę tę zauważył i bardzo się zdziwił.

Nauczył on się już radować każdym uśmiechem Ninki, a smucić najmniejszą chmurką na jej czole.

Próbował najrozmaitszych tematów rozmowy, ale próżne były jego usiłowania.

Ninka nie odzyskała dawnej swobody i wesołości.

– Snadź ją czemś ukłuła ta „czarownica,” – pomyślał sobie wreszcie i rzucił w stronę pani Maryańskiej nieprzychylnie, dzikie spojrzenie.

Zachowanie się Ninki względem Tenczyńskiego stało się nieśmiałością i skrepowaniem, zaczęło zdradzać nieufność i pewne rozmyślne unikanie dłuższej z nim rozmowy i towarzystwa.

„Zanadto przedtem mną był ciągle zajęty – myślała sobie; – to tak wyglądało, jakby o nikogo innego już się nie troszczył... a przecież obowiązkiem jego myśleć i żyć dla niej... Choć jestem nowicyuszką, poświęconą na służbę Bożą, i w żadne ludzkie rachuby wchodzić nie mogę, ale mimo to nie powinnam myśleć jego odwracać od obowiązku.”

Napozór była spokojną, ale w przeciągu kilku dni znacznie zmizerniała, stała się obojętną na wiele rzeczy, które ją przedtem zajmowały i bawiły.

Zaczęli się wszyscy niepokoić o jej zdrowie.

– Panno Janino, czy pani nie ma migreny?

– Panno Janino, jak pani dzisiaj mizernie wygląda!

– Pewno się pani przeziębila na polowaniu.

– Trzeba, żeby się pani doktora poradziła, pewnie pani coś zaszkoziło.

Ciągle słyszała podobne zdania.

Ta ogólna troskliwość denerwowała ją i nudziła.

Pani Maryańska szczerze martwiła się zmianą jej humoru i złym wyglądem; zachodziła w głowę: co może być tego przyczyną? Radami i receptami sypała jak z rękawa.

– Niech pani mnie tylko usłucha, panno Janino – rzekła pewnego ranka, gdy zaszła do Ninki dowiedzieć się o jej zdrowie. – Niech mnie pani słucha, a źle pani na tem nie wyjdzie. Ja w kwestyach zdrowia jestem bardzo doświadczona i praktyczna. Zawsze tak się urządzałam, podróżując zagranicą, że w każdym mieście, gdzie tylko był jaki sławny

specjalista, radziłam się, choć byłam zupełnie zdrową, ale chciałam wiedzieć, na wypadek takiej choroby, co zażywać. Mam wszystkie recepty i wiem już teraz, jakie są najlepsze lekarstwa na każdą chorobę.

Ninka uśmiechnęła się z przezorności pani Maryańskiej i. upewniała, że czuje się zupełnie zdrową.

– To przynajmniej niech pani z domu nie wychodzi. Jak nic, zaziębić się teraz można. Przymrozki bywają rano i wieczorem. Już się skończyła pogoda i zima zaraz się zacznie.

– Dobrze, mogę nie wychodzić – odrzekła Ninka, gdyż nie chciała pani Maryańskiej przysparzać niepokoju.

Tenczyński próbował kilkakrotnie wy badać ją, ale tak mu się jakoś zawsze z ręcznie wymykała, że nigdy nie mógł z nią nawiązać dłuższej, jak to dawniej bywało, pogawędki.

Raz wieczorem zauważył, że choć była nad książką nachylona, nie czytała, lecz nad czymś głęboko się zamyśliła.

Usiadł obok niej i rzekł:

– Dałbym bardzo wiele, żeby wiedzieć, o czym pani teraz myślała.

– Nic ciekawego, ani wesołego.

Tenczyński popatrzał na nią uważnie. Na twarzy jej widoczny był wyraz zamknięcia się w sobie i przymusowej obojętności.

– O tak, nic wesołego! – rzekł półgłosem i serdecznie. – Widać to było na pani twarzy. Co się z panią stało, panno Janino? Dlaczego pani jest teraz taka obojętna, jakby pani mnie unikała? To się nie zgadza z pani naturą. Pani była zawsze taka dobra! Wtedy tylko jest pani sobą, gdy pani ma na ustach dobre i pocziwe słowa dla każdego, i uśmiech dobry, i swobodny. Ale pani teraz jest ciągle smutna i przygnębiona. Czy panią spotkała jaka przykrość?...

– Od kogożby? – odrzekła Ninka Czują na sobie badawczy wzrok Tenczyńskiego; ogarniało ją wzruszenie coraz większe. A on dalej mówił:

– Ja widzę, że panią coś gryzie i martwi. I zachodzę w głowę, jakim sposobem może pani mieć tutaj powód do smutku? Przecież każdy radby proch zdmuchywać z pani drogi, każdy dobrze życzy i nikt nie odważyłby się na sprzeciwienie się w czemkolwiek pani woli... Niech mnie pani powie, co panią martwi; może razem obmyślimy na to jaką radę. Nie umiem wyrazić, jaką to jest dla mnie przykrością widzieć panią zasmuconą, a nie wiedzieć powodu i nie módz temu zaradzić. Niech pani powie mi wszystko, zupełnie szczerze. Przyjemnie jest niekiedy podzielić się troską z kimś takim, kto ją odczuje tak samo, jakby swoją własną. Czy pani nie ma już do mnie zaufania?... Czy pani już nic nie liczy na moją życzliwość?

Ninka nic nie odpowiedziała.

Może on mówi nieprawdę? Ale czyż to może być? Czyż rzeczywiście jest nieszczerym i słowa jego są komedią? Nie, to niepodobieństwo! Gdyby to było komedią, to głos jego nie miałby takich dziwnych, wzruszających ją do głębi dźwięków i odcieni, miękkich i za serce chwytających.

– Myślę ciągle o klasztorze – rzekła po chwili; – chciałabym już jak najprędzej tam powrócić.

– Aha! Już teraz wszystko rozumiem. Otóż to! Dlatego jest pani smutną, że pani myśli o klasztorze. Ja panią dobrze rozumiem. Ja oddawna przeczuwałem, że pani spostrzegła swoją pomyłkę i żałuje nagłego postanowienia... Pani nie znała swojej natury, ani usposobienia; to był entuzjazm chwilowy i nic nie mówiący, a jeżeliby go się chciało podtrzymać przez całe życie, to trzeba na to nadzwyczajnej siły woli i bardzo mocnego charakteru, jak z granitu, a zdaje mi się... niech się tylko pani nie gniewa za moje śmiałe przypuszczenie... ale zdaje mi się, że pani zanadto odczuwa wszystkie doznawane wrażenia, aby mieć jedno i drugie... Pani jesteś stworzona do łatwiejszego życia. Pani musisz mieć zawsze przy sobie kogoś bardzo drogiego i bliskiego, ktoby ciągle o pani myślał, opiekował się, był pewna i mocną podporą...

Pani sama teraz to rozumiesz i dlatego jesteś pani smutną, myśląc o swoim powrocie do klasztoru. Ale przecież nic niema jeszcze straconego, jesteś pani dopiero nowicjuszka i masz prawo wystąpić w każdej chwili.

Ninka zlekka się uśmiechnęła.

Jakże dalekim był od prawdy! Czyż może być wżyciu silniejsza podpora, niż Boża opieka? A zresztą, jej teraz do klasztoru bardzo spieszo. Czuje, że wszelki trud moralny łatwiejszym dla niej będzie, gdyż pracę tę nietylko dla swojej duszy ponosić będzie.

Tenczyński uważał jej uśmiech za potwierdzenie swoich domysłów, ona zaś chciała sprowadzić rozmowę do przedmiotów obojętnych.

– Trudno być wesołą, jeżeli dni są smutne i posepne. Taka nagła zmiana nastąpiła w tym tygodniu, że już można się zaraz zimy spodziewać. Jestem zawsze bardzo wrażliwą na wszelkie zmiany i ogólny nastrój natury. Gdy słońce świeci i jest wiele zieloności, to doznaje wrażenia, jakby mnie osobiście spotkało coś radosnego. Takie znowu dni, jak teraz, zawsze mnie smutno nastrajają.

Rzeczywiście w ostatnim tygodniu pogoda stała się niemożliwą, zieloność zbrudziła się i poszarzała. Zimno było coraz dokuczliwsze; jeżeli słońce zaświeciło, to tylko na małą chwilę, ażeby zaraz schować się za swoją popielatą z chmur powłokę.

Najmniej na tem ucierpiała pani Maryańska, gdyż nie lubiła dalekich spacerów, ani wychodzenia z domu, ale to jej wcale nie przeszkadzało najgłośniejszemu narzekać na brzydką pogodę.

– Pierwszy raz w życiu zdarza mi się być na wsi o tej porze – powtarzała często z wyrazem wyższości i pewnego politowania dla tej rzeszy pospolitej; zmuszonej cały rok okrążyć na wsi przepędzać.

Pan Maryański był bardzo zajęty i śpieszył się ze swymi czynnościami. Widywano go tylko przy stole. Wreszcie pewnego dnia oznajmił z zadowoleniem, radośnie ręce zacierając, że już wszystkie papiery i rachunki są w porządku, i że lada dzień będzie można pojechać do Warszawy dla dopełnienia dalszych formalności.

Tenczyński chodził zamyślony po swoim pokoju i robił coś w rodzaju rachunku sumienia.

Gdy Maryański oznajmił, że już można lada dzień wyjechać do Warszawy, a panna Olszyńska będzie mogła także w bardzo niedługim czasie wrócić do klasztoru, doznał tak wielkiej przykrości, jakiej się bynajmniej nie spodziewał. Zrozumiał naraz, że w przeciągu tych kilku tygodni razem spędzonych, Ninka stała się mu nadzwyczaj drogą. Zdawało mu się, że Maryański zapowiedzią rychłego powrotu jej do klasztoru wyrządza mu bardzo wielką krzywdę, jakby go budził ze snu miłego, którego on nie chciał przerywać.

Spostrzegł, że już teraz nie potrafi obejść się bez Ninki, bez świadomości o jej obecności, bez myśli o niej samej, o jej radościach, lub też smutkach.

Nie zdawał sobie w ostatnich czasach sprawy ze swoich wrażeń. Czuł się bardzo szczęśliwym, spokojnym, jak nigdy przedtem, nie wstrząsały nim sprzeczności tak jak dawniej, przerzucając od silnego wzruszenia do ironii, urągania sobie i drugim, ale przeciwnie, zdawało mu się, że jest lepszym i więcej harmonijnym, że może dla miłości Ninki mógłby zrobić z siebie bardzo wiele, do czego przedtem nie byłby zdolnym.

A teraz to wszystko zasunie się w przeszłość, we mgłę zapomnienia i oddalenia, i Ninka, i całe jego kochanie, takie rozkoszne i pełne uroku, bez żadnej fałszywej nuty, ani banalności!... Nie. To niepodobieństwo!

Stanął przednim wizerunek przyszłości jakiejś, dziwnie bezbarwnej i bezcelowej, z wyraźną czczością tych wszystkich rozrywek, któremi sobie dotychczas, zupełnie zadowolająco, wypełniał życie, czczością, mimo fortuny, powodzenia i niezależności tych danych, według których tłum pospolity mierzy szczęście człowieka, nie zaglądając do głębi

jego duszy; stanęły mu w myśli różne szczegóły z przeszłości, chwile szalu i upojenia, tryumfy miłosne, karciane i sportowe, bezcelowa włóczęga po krajach rozmaitych, kosmopolitycznych zbiegowiskach, arenach dla blagi, chorobliwej wyobraźni i newrozy.

Przypomniał sobie panią Julię, pobyt z nią za granicą i miłość jej, która się skończyła tak samo jak każda inna: niesmakiem po krótkim szale, trywialnymi sprzeczkami, wzajemnym żalem i niechęcią.

A czeka na niego przyszłość zupełnie podobna do przeszłości, ciągle powtarzanie tych samych wrażeń, które wreszcie tak się znudzą, że staną się karykaturą, nałogiem prześladowającym jak zmora, lub sen złośliwy, i zamiast wypełnić życie, wypędzą z niego wszystkie uroki i struny sympatyczne, wszelkie uczucia i wrażenia, wszystkie echa z doskonalszej krainy dobra i piękna.

Ale przecież tak być nie może! Takie życie, to nie życie, to chwilowy szal szumiącej młodości, piana, którą silniejszy podmuch wiatru rozbryzguje i topi w fali zapomnienia.

Co dalej będzie?

Jakie postawić bożyszcze na miejsce dawnego glinianego bałwana nerwów i użycia?

Ostatnimi czasy, kiedy zaczął odczuwać, że Ninka tak silnie wkoło serca mu się oplątuje, że wyrwanie się z tych nitek serdecznych szarpnęłoby może bólem dotkliwym i zostawiło krwawą szramę, przychodził mu niekiedy na myśl obraz życia rodzinnego, w najwyższym pojęciu tego słowa, takiego, jakie zawsze wgłębi swego serca uważał za najdoskonalszą formę życia.

Są ludzie, których życie bywa wypełnione jakąś wielką ideą, celem jakimś szerokim, obejmującym ogólnoludzkie horyzonty, dążeniem, wspartem wyjątkowym talentem lub geniuszem, albo też są w stanie negacyi, niczego nie pragną i do niczego nie zmiatają. Mała jednak liczba jest podatnym materiałem do takiego trybu życia, życie zaś rodzinne dla każdego jest dostępne. Każdemu wolno szukać w niem szczęścia, uśmiechów i celów życia. Czy każdy znajduje to, czego szuka... to jest już inną zupełnie kwestią... gdyż niekiedy droga do szczęścia bywa stokroć przyjemniejszą, aniżeli samo szczęście, ale dążenie każdemu jest dozwolone.

Przychodziło mu niekiedy na myśl, że uczucia rodzinne są odmiennym zupełnie światem: jedyne uczucia, na egoizmie nie oparte, ale czyste i naturalne, mogące uszlachetnić. A cel nigdy nie nużący – drogim istotom budować przyszłość.

Zdawało mu się, że patrzy na małżeństwo innemi niż dawniej oczyma. Dotychczas, poglądy jego i pojęcia o domowym ognisku, którego kapłanką i „urokiem byłaby kobieta, przede wszystkim bardzo dobra, nadzwyczaj dobra i kochająca, i z duszą jak śnieg białą, były tylko jakąś teorią, którą sobie logicznie wyrozumował i przyjął za pogląd ogólny; teraz zaś, teorią zmieniła się w bardzo gorące pragnienie, zdawała się zbliżać, w uczucia przenikać, stała się prawdziwie zrozumiałą, bo odczuta i upragniona. A kojarzyła się z postacią Ninki, i w każdej myśli o tem szczęściu „panienka z klasztoru” była słońcem, od którego rozchodziły się świetlane promienie.

„Przecież mogłaby być moją żoną!”

Jasno mu to stanęło w myśli, i zdawało mu się, że dokonał bardzo wielkiego odkrycia.

Przecież niema żadnych do tego przeszkód. Nikt i nic na drodze im nie stoi. Nie klasztor, gdyż Ninka była dopiero w nowicyacie, nie rodzice, gdyż ich niema, – i może... nie jej własne serce.

Teczyński przypomniał sobie swoje niedawne postanowienie „bałamucenia nowicyuszki” i uśmiechnął się. „Nowicyuszka” zemściła się bezwiednie, zabrała mu jego własne serce, które się teraz ściska na samo przypuszczenie rozłączenia.

Teczyński był rozgorączkowany i podniecony. Doszedłszy już raz do tego przekonania, że największym dla niego szczęściem byłoby zaślubienie Ninki, nie zwlekał z wykonaniem swego zamiaru, ale przeciwnie, spieszo mu było bardzo pomówić z Ninką, zamienić

marzenie w rzeczywistość.

Nie zastanawiał się już nad niczem, lecz żywo wyszedł ze swego pokoju na poszukiwanie swojej żony projektowanej.

Chociaż ulegając swemu zwykłemu, wysokiemu o sobie pojęciu, pewnym był prawie przychylniej odpowiedzi, ogarnęło go wzruszenie i niepokój.

Poszedł najpierw do biblioteki, później do oranżeryi, ale Ninki nigdzie nie było.

Było to rano, chciał korzystać z chwili i pomówić z nią jak najprędzej, gdyż później przeczuwał w osobie pani Maryańskiej poważną przeszkodę do poufnej pogawędki.

Prowadząc dalsze poszukiwania, spotkał „przeszkodę” na jednym z kurytarzy.

– Czy pani nie wie, gdzie jest panna Olszyńska? – spytał zniecierpliwiony.

A widząc pewne zdziwienie na twarzy pani Maryańskiej, dodał:

– Panna Olszyńska przepisywała katalog książek, i nie wiem, gdzie go schowała, a potrzebny mi jest w tej chwili.

– Panna Olszyńska pisze list do przełożonej, zawiadomieniem, że jest już na wyjeździe do Warszawy.

Tenczyński był niekontent, a ponieważ nie wypadało iść do pokoju Ninki, poszedł do siebie i zamierzył czekać cierpliwie.

Nie wytrwał jednak w swoim postanowieniu; czekanie to dręczyło go i denerwowało.

Wziął ćwiartkę papieru i napisał następujące słowa:

„Ośmielam się prosić najpokorniej, aby pani była łaskawą przyjść do biblioteki. Przepraszam za moje śmiałe żądanie, ale zrobi mi pani tem wielką łaskę. Tenczyński.” List posłał przez służącego, a sam udał się do biblioteki.

Czekał zaledwie kilka minut, gdy we drzwiach ukazała się Ninka.

Niespokojna była i zdziwiona tem nagłym wezwaniem.

– Najmocniej panią przepraszam, iż śmiałem fatygować, ale mi pani wybaczy, bo pani jest dobra i nie chciałaby może mojej przykrości.

Ninka patrzyła na niego ze zdziwieniem coraz większem.

Uderzył ją, i do pewnego stopnia niepokoił, poważny, nie taki jak zwykle wyraz jego twarzy.

Tenczyński usiadł obok niej i mówił szybko:

– Niech pani nie dziwi się zanadto mojemu żądaniu i nie gniewa; może to zbyt wielka śmiałość z mojej strony, może szaleństwo, ale niech mi pani powie: czyby pani zechciała zostać moją żoną?

Ninke ogarnęło tak wielkie zdziwienie, że na razie stłumiło wszystkie inne uczucia i wrażenia.

– Niech pani powie mi szczerze: czy nie wzbudzam w pani żadnego zaufania? Czyby pani bała się powierzyć mi swoje szczęście, siebie? Czy pani niema dla mnie ani odrobiny sympatyj? Bylibyśmy tacy szczęśliwi!... Niech pani klasztor odłoży do wspomnień!... Pani jest stworzoną, aby kochać i być kochaną, niech się pani ode mnie nie odwraca... nikt panią tak jak ja kochać nie potrafi! Nie ma pani żadnej poważnej przyczyny do gardzenia życiem i miłością, którą pani wzbudziła i... szczęściem cudzem, które od pani zależy...

Im dłużej mówił, tem więcej stawał się wymownym, tem więcej był przekonywującym, a w głosie jego było więcej dźwięków miękkich, bardzo serdecznych i rozrzucających, snujących wkoło myśli mgłą marzeń rozkosznych, splecionych ze łzami wzruszenia.

Lecz Ninka nie dawała żadnej odpowiedzi, a wyraz zdziwienia przemieniał się na jej twarzy w jakąś wielką żalność i wielki smutek.

Tenczyński nie rozumiał wcale przyczyny tego jej nastroju.

Pewnym był, że znajdzie u niej bratnie odczucie swojej miłości, uśmiech szczęścia, zrozumienie jego myśli; myślał, że usłyszy wreszcie jakieś nieśmiałe słowo serdeczności i sympatyj...

Skąd ten smutek i wyraźna przykrość na jej twarzy?

Dobierał słów coraz serdeczniejszych i gorętszych, ażeby wreszcie przemówiła.

Po długiej chwili odwróciła się i rzekła:

– Dlaczego pan do mnie tak mówi?

W głosie jej tyle było żalu i wyrzutu, że Tenczyński, chociaż nie rozumiał ich przyczyny, uczył wzruszenie.

– Dlaczego tak mówię? Bo panią kocham, i nic nie stoi nam na przeszkodzie, dlaczego nie mielibyśmy się połączyć? Chyba... że pani nie ma dla mnie najmniejszej sympatii.

Ninka głowę na rękę oparła tak, że twarzy jej wcale widać nie było, i rzekła cicho:

– Dlaczego pan tak do mnie mówi? Czyż pan nie wie, że obowiązkiem pana jest ożenić się z panią Julią Nessel?

Tenczyński osłupiał.

Skąd Ninka może wiedzieć o tem; co było między nim a panią Julią?

– Dlaczego? – spytał wyzywająco.

– Czy pan nie wie? Czy pan nie miał się z nią żenić? Czy pan nie odjechał od niej za granicę, na śmieszność ją narażając? Wszyscy są podobno tego zdania, że pan nie powinien był postępować z nią w taki sposób i zrywać tak demonstracyjnie!

– Bardzo mylnie ma pani informację. Nie miałem się z nią żenić, gdyż sama wyraźnie mi powiedziała, że stanowczo drugi raz za męża nie wyjdzie. Przyznaję, że może względem pani Julii nie zawsze postępowałem, jak należało, ale nie widzę potrzeby żenienia się z nią, panią kochając. Nie mam na sumieniu „duszy” pani Julii, nie jest nieszczęśliwą z mojej przyczyny, a zresztą... nigdybym się z nią teraz nie ożenił, choćby sama pragnęła. Nie każdy chce brać za żonę kobietę, której nie szanuje...

– Pan jej nie szanuje? – spytała Ninka z wielkim zdziwieniem.

– Nie mogę dać wam żadnych objaśnień. Niech mi pani wierzy na słowo, że gdybym miał jakiegokolwiek zobowiązanie względem pani Julii, tobym się z niego napewno wywiązał.

Jeżeli pani ma dla mnie choć trochę sympatii, to mi pani będzie wierzyła. Niech pani będzie zupełnie spokojną, droga panno Janino!...

Ninka doznawała pewnej ulgi.

Tenczyński mówił tak szczerze, iż niepodobna mu było nie wierzyć.

To niepodobieństwo, aby on mógł postąpić nieuczciwie i nielojalnie!

Ogarnęło ją uczucie rozkoszy i szczęścia, które ubezwładniało jej silną wolę, moc rozumowania i oporu, i na fali swojej niosło w dal, pełną promieni słońca i wesela.

– Niech pani nic nie myśli o tem, co było. Mówmy tylko o naszej przyszłości, o nas samych i o naszym szczęściu. To byłoby coś kolosalnego, niepojętego, gdybyśmy się nie pobrali! Nikt tak pani nie rozumie, jak ja, i nikt tak pani kochać nie potrafi... Takie już widać nasze przeznaczenie, los sam zbliża nas ciągle. Poczóż się mamy opierać przeznaczeniu? Ja jestem fatalistą i pewny jestem, że jeżeli potrafiłem tak panią pokochać bezgranicznie, to chyba nie po to, żebym się miał po pani na śmierć zatęsknić, ale żebym dla pani żył i przez panią. Bo cóż ja bym teraz zrobił na świecie?... Nie umiałbym żyć dla jakiejś idei, bo każda idea wymaga poświęcenia, niekiedy męczeństwa, trzeba na to zapału i bardzo wielkiej wiary w nieomylność tej idei; a ja chcę tylko być szczęśliwym i mieć przy sobie takiego jak pani Anioła Stróża, któryby mnie zawsze nauczył co złe, a co dobre. Bo widzi pani... ja panią pokochałem tem wszystkiem, co jest najlepsze w mojej duszy... Ja wszystkie inne kobiety inaczej kochałem; kochałem w swoim czasie i panią Julię, ale inaczej... Gdybym musiał teraz o pani zapomnieć, tobym razem zapomniał o wszystkim co dobre i godne szacunku, wszystko co szlachetne oddaliłoby się ode mnie razem z panią... Zostałoby we mnie samo zwierzę... Ja już nie wiem, co ja bym teraz zrobił z mojem życiem...

Ninka przez cały ten czas miała głowę na rękę opartą, nic nie mówiła.

Doznawała wrażenia, jakby całe jej otoczenie, przeszłość i wspomnienie osób, z którymi

dotychczas miała do czynienia, oddalały się od niej, malały i chowały się we mgle obojętnej. A przed jej oczyma, w duszy, otwierała się nagle jakaś cudna kraina szczęścia i rozkoszy, jakieś nowe życie, wabiące cudnym uśmiechem...

I czuła, że ten uśmiech nowego życia porywa ją ku sobie czarem swoim, odurza i prowadzi w przyszłość nieznaną, za głosem Tenczyńskiego.

Nie, już nie ma siły opierać się dłużej jego miłości...

Niech ją niesie fala szczęścia...

Nagle w umyśle jej zaczęły wirować różne obrazy przeszłości i wspomnienia.

Stanął jej w myśli obraz Madonny Sykstyńskiej, która jej nasunęła myśl o lepszym świecie, klasztor, a razem z nim i postanowienie poświęcenia się na służbę Bożą i doskonalenia ducha w ogniu ofiar i umartwień.

A może ta miłość, pragnienie szczęścia i rozkosz, której doznaje, to tylko są próby, zesłane na doświadczenie jej silnej woli?

Może, ulegając ziemskim skłonnościom, popełni grzech ciężki?

Czy ma prawo, dla miłości człowieka, niedopełnić zobowiązania, powziętego względem Boga?

Uczuła, że jej się strasznie boleśnie serce ścisnęło i łązy za gardło dławily.

A jednocześnie przyszło jej na myśl, że jednak ludzie potępiają Tenczyńskiego i mówią, że obowiązkiem jest jego ożenić się z panią Julią.

Widocznie tak być powinno, zresztą i on sam nie wyjaśnił jej tej kwestyi, ale kazał wierzyć na ślepo...

– Panie Tenczyński! – rzekła smutno: – między nami stoi klasztor i pani Julia.

– To są przywidzenia, a nie przeszkody – odrzekł z pewnem zniecierpliwieniem. – Pani z klasztorem, a ja z panią Julią nic już nie mamy wspólnego.

– Czyż pan z nią nie wyjechał za granicę Jako narzeczony, a później nie zostawił jej tam na ludzkie pośmiewisko?

– Tak, wyjeżdżałem. To jest faktem. Nie mogę dać pani innych objaśnień, ale niech mi pani zechce wierzyć, że ludzie nie mają słuszności w swoich sądach.

– A jednak... Nie, panie Tenczyński, mamy przed sobą inne obowiązki... Nie możemy ich zaniedbywać. Moje postanowienie ofiarowania się Bogu uważam za ślub dokonany, a pan... pan powinien także uznać głos ogólny za głos sprawiedliwości. Nie możemy budować szczęścia na cudzej przykrości... Bóg skarałby nas i dręczyłby nas całe życie wyrzuty sumienia.

Nie mogła dalej mówić, bo jej ciągle tchu brakowało.

– Ależ to, co pani mówi, nie ma żadnej podstawy! Wystąpienie pani będzie zupełnie prawne i legalne! Od czegoż byłyby nowicyaty? To wszystko są; przywidzenia i nic więcej! A i o pani Julii myśleć nie warto, ani o tem, co ludzie mówią. Dziś powiedzą biało, jutro czarno! Dlaczego my za to mamy być nieszczęśliwi? Jeżeli się kochamy i mamy szczęście tuż pod ręką, czemu mamy sobie życie zatruwać? Niech pani pomyśli, na jakie mnie pani skazuje udręczenie. Czy przykrość moja jest dla pani obojętną? Pani jest dobrą i czy pani zdobędzie się na to, aby kogoś unieszczęśliwić dobrowolnie?

Ujął jej rękę i chciał do ust podnieść, ale Ninka wyrwała mu ją gwałtownie i rzekła z rozpaczą w głosie:

– Niech się pan nade mną zlituje i tak nie mówi! Ja już nie wiem, co się ze mną dzieje! Już nie mogę... nie mogę...

Łzy zaczęły spływać po jej twarzy, coraz szybciej i gwałtowniej, a łkanie serdeczne wstrząsało jej wątłą osobką.

Wysiłek woli strasznie ją męczył i doszedł do ostatniej granicy.

– Ależ niech się pani zastanowi... sobie i mnie nieszczęścia nie gotuje!..

Przestał mówić, gdyż Ninka zerwała się ze swego miejsca, i nim mógł w jakibądź sposób

zapobiedz temu, wybiegła z biblioteki.

Tenczyński był oszołomiony.

Nie spodziewał się takiego obrotu rzeczy i nie mógł zrozumieć, skąd Ninka wie o jego przygodzie z panią Julią.

Ale jednocześnie ogarniał go wielki podziw, większa jeszcze cześć i miłość dla tej dziewczyny tak wrażliwej i tak napozór słabej, która, kochając go i płacząc z żalości, znalazła w sobie tyle siły, aby odepchnąć od siebie i jego miłość, i swoje szczęście, i wszystkie uroki życia, przez głębokie uczucie obowiązku dotrzymania raz powziętego postanowienia i dla zadośćuczynienia krzywdzie, którą, przypuszczała, iż Tenczyński wyrządził pani Julii.

Zdziwiła go ta jej moralna odwaga, łatwość, z jaką wyrzekła się ziemskiego szczęścia, skazując na żywot smutny i bezbarwny.

Dusza jej może niezdolną była do jakiegoś czynu samodzielnego, aby osiągnąć cel zamierzony i zdobyć to, czego pragnęła, ale przez odrywanie myśli od tego, co ziemskie i doczesne, przez kierowanie wzroku ku tamtemu życiu za światem i grobem, silną była w abnegacyi, znalazła w sobie tyle mocy, że potrafiła odwrócić się od uśmiechów życia, od miłości ziemskiej... doczesnej.

Tenczyńskiemu zdawało się, że teraz ją jeszcze więcej kocha i czci, pragnie i rozumie, i przysiągł sobie w myśli, że musi ją wreszcie przekonać i do ołtarza poprowadzić.

Pani Julia, po bardzo krótkim pobycie w Biarritz, przyjechała do Warszawy.

Był to właśnie czas jesiennych wyścigów, większa część „towarzystwa” bawiła w mieście.

Pani Julia zajęta była zostawianiem kart wizytowych u swoich znajomych; miała zamiar, korzystając ze zjazdu wyścigowego, wydać u siebie liczny raut; wogóle tryb jej życia zapowiadał się bez zmian żadnych, taki sam jak lat poprzednich.

W niektórych domach, tych, na których jej więcej zależało, lub z którymi bliższe łączyły ją stosunki, osobiście składała wizyty, nie zadowolając się samem wrzuceniem karty.

Niektórych osób nie zastawała, inne przyjęły ją mniej albo więcej serdecznie, jak to zwykle bywa, według stopnia szczerości i sympatyj.

Choć niby wszystko było napozór tak jak dawniej, ale pani Julia zanadto była sprytną i zanadto dobrze знаła ludzi, z którymi miała do czynienia, aby nie spostrzedz, że w stosunku do jej osoby działo się „coś” w całym towarzystwie, „coś,” czego na razie zupełnie dokładnie nie mogła zrozumieć.

W niektórych domach przyglądano się jej z rodzajem zaciekawienia, jakby ją widziano po raz pierwszy, albo dostrzeżono w jej osobie coś niebywałego i nadzwyczajnego.

Słowom jej przysłuchywano się z większem zajęciem, jakby spodziewano się, że także i to, co powie, będzie niezwykle.

Serdeczność w przywitaniu niby była taka sama jak dawniej, ale odmienna w gruncie rzeczy...

Szczególnie zaś niektóre panie, dawniejsze „najserdeczniejsze,” zostawiały w poprzednim salonie przedimek „naj,” a w obejściu ich była sama tylko serdeczność, z nieuchwytnym odcieniem ironii, serdeczność, wyglądająca na kaprys, na którym bezpieczniej nie polegać.

Nikt jej nie pytał, jak lato spędziła, a o szczegółach z Biarritz i wycieczkach do niedalekiej stamtąd Hiszpanii, wszyscy słuchali z uprzejmem zajęciem, ale kto już miał raz w tym kierunku uwagę rozbudzoną, ten mógł się dopatrzeć, iż nie każdy wierzy w autentyczność lata, w Biarritz spędzonego.

Pani Julia doznawała pewnego skrepowania i niezadowolenia po kilkunastu takich wizytach, choć wyraźnie nic nikomu zarzucić nie było można.

Nie dekoncertowała jej jednak ta ledwie dostrzegana zmiana i nie zaprzestała swoich wizyt.

Będąc pewnego dnia u mniej znajomej sobie księżny N., rozmowę skierowała na wyścigi, gdyż kwestya ta była na czasie.

Rozmawiano o totalizatorze.

– Ja zawsze stawiam na konie hrabiego Tenczyńskiego – rzekła jedna z panien domowych – i, jak dotychczas, nie zawiodłem się jeszcze nigdy. Wierzę w jego szczęście.

Po tej, na pozór banalnej uwadze, zapanowała chwila przykrego milczenia.

Księżna N. rzuciła córce znaczące spojrzenie, i rozmowę skierowano nieznacznie na inny przedmiot.

Nie pierwszy to raz pani Julia miała sposobność zauważyć, że unikano w jej obecności wszelkich wzmianek o Tenczyńskim.

Była to delikatność z rodzaju tych, które, mając na celu pogłaskanie, nigdy nie chybią, bo – zawsze zadrasną.

Innym znowu razem, hrabina L. kazała jej na siebie czekać blisko kwadrans, co jej się przedtem nigdy i nigdzie nie zdarzało, tem mniej spodziewała się takiego lekceważenia ze strony hrabiny L., o której różnych „feblikach” rozповідаły po mieście nawet jej własne panny służące.

Hrabina S. kazała powiedzieć, że niema jej w domu, chociaż pani Julia widziała ją w oknie.

Hrabina S. słynną była ze swoich zasad purytańskich, ogłaszanych czterem stronom świata, należała do najtrudniejszych w wyborze osób, godnych bywania w jej salonie.

Przystęp do tego sanktuarium miały tylko osoby „śnieżne,” jak się sama wyrażała.

Jednak nie przeszkadzało jej to w swoim czasie do posiadania całego albumu fotografii z podpisami własnoręcznymi, o czem źli ludzie różnie mówili.

Pani Julia czuwała coraz więcej niezadowolenia i goryczy.

Początkowe lekkie ukłucia szpilką stawały się coraz dotkliwsze, gdyż zmierzały zawsze w jeden punkt, a małe, nieznaczne bole zbierały się w jeden doraźny.

Przybywało do tego nieco goryczy i bardzo wiele lekceważenia tych, którzy ją kłuli.

Pani Julia odrazu zrozumiała, że przyczyną tego jest „sielanka alpejska,” która nie mogła ukryć się, jak wogóle wszystkie kaprysy tego rodzaju; ale wiedziała także, że te wszystkie panie, które względem niej zmieniały swoje postępowanie, miały i sobie różne grzeszki do wyrzucenia, a wcale im to nie przeszkadzało kamieniem rzucać na innych.

Na sam koniec pozostała jej jeszcze wizyta u najpoważniejszej matrony, hrabiny M., która była jedną z nielicznych przedstawicielek dawnego pokolenia. Liczono się z nią bardzo w towarzystwie, rady nieraz zasięgano, prezentowano jej wszystkie młode panny w świat wstępujące, a salon jej był jednym z punktów zbornych, w którym nie grywano w baczka i pokera i liczono się jeszcze ze słowami.

Hrabina M. straszyla trochę panią Julię, dlatego też wizyta u niej pozostała na sam koniec.

Pani Julia przeczuwała, że spotka się tam z sądem najsurowszym, albo może wcale przyjętą nie będzie.

Jakież więc było jej zdziwienie, gdy tam właśnie znalazła najwięcej naturalnej uprzejmości, ani cienia lekceważenia, ani komedyi.

Zdziwienie jej wzrosło jeszcze, gdy hrabina M. przy jakiejś uwadze nic nieznaczącej, zamiast powiedzieć jej „moja droga,” co było jej zwyczajem, powiedziała jej z dziwnie szczerem współczuciem: „biedne dziecko.”

Zrobiło to na niej tak dziwne wrażenie, że słowa te przez długi czas brzmiały jej w uszach.

Dlaczego ta prawdziwie cnotliwa kobieta żałuje ją, a tamte, nic niewarte, lekceważą z zadowoleniem, którego łatwo się dopatrzeć?

A im która mniej warta, tem więcej oburza się cudzą lekkomyślnością!

Pani Julia spostrzegła, że poznając życie, przekonywamy się, iż jest to strasznie głupia farsa, i... straciła dobry humor.

Urządzenie rautu nastęrczało teraz trochę trudności.

Przeczuwała, że jej najlepsze przyjaciółki, dawne towarzyski w różnych wycieczkach, sportach i kolacyjkach, nie omieszkają skorzystać ze sposobności i urzędzą rodzaj demonstracyi, nie stawiając się na jej zaproszenie.

Panie te pozwalały sobie niekiedy na purytanizm niekiedy znów na coś wprost przeciwnego, gdyż każda z nich posiadała cenny talizman w postaci męża, zakrywającego swoją osobą różne sytuacje.

W Warszawie tymczasem deszcz padał uporczywie, dlatego, że odbywały się wyścigi i wiele pań posprawiało sobie nową seryę toalet.

Jednego dnia wreszcie słońce zaświeciło, i pani Julia, korzystając z pogody, pojechała na tor mokotowski.

Towarzyszyła jej, jak zwykle, ciotka Olimpia. Spotkała wielu znajomych, niektórych widziała zdaleka, z niektórymi zamieniała ukłon, inni znów podchodzili do niej na chwile rozmowy.

Spacerując po trawniku, między jednym biegiem a drugim, ujrzała zdaleka dobrą swoją znajomą, hrabinę Różę, która właśnie zbliżała się w jej stronę.

Hrabina Róża była szatynką średniego wzrostu, o figurze bardzo zręcznej, głos i ruchy miała miękkie i pieszczotliwe, uśmiech jej cieszył się zasłużoną sławą, a określaný bywał przez słowo: „czarujący.”

Czasem jednak, gdy się zamyśliła, usta jej składały się w dziwnie twarde i oschły wyraz, to też znając widocznie tę wadę swojej fizyognomii, uśmiechała się nieustannie.

Miała na sobie suknie z Paryża, buciki z Wiednia, kapelusz z Nizzy, a parasolkę Londynu.

Idąc w towarzystwie męża, rozmawiała z ożywieniem z kilku panami.

Pani Julia, zobaczywszy ją zdaleka, miała zamiar przywitać się i przyłączyć do tego towarzystwa.

Ale tymczasem hrabina Róża, gdy już ich niedaleka dzieliła przestrzeń, wzięła lornetkę, którą miała zawieszoną w pasie na złotym łańcuszku, przyłożyła ją do oczu i zaczęła z wielkim zajęciem przyglądać się otoczeniu.

Przez chwilę nawet zatrzymała wzrok na pani Julii, ale później zapatrzyła się na nowe trybuny i przeszła obok dawnej przyjaciółki, nie odwróciwszy się wcale, aby nie być obowiązaną do ukłonu.

Pani Julia czuła, że krew zalewa twarz jej, że drży wewnętrznie, a jednocześnie rysy jej kurczą się uśmiechem goryczy i ironii.

Różne inklinacje hrabiny Róży były rodzajem wszystkim wiadomej tajemnicy Poliszynela, ale była ona bardzo pewną siebie, pilnie strzegła się „zanadto krańcowej jaskrawości,” a mąż jej miał szerokie plecy wygimnastykowanego sportsmena, którymi wygodnie zasłaniał hrabinę Różę et Comp.

Pani Julia doznawała silnych i sprzecznych wrażeń: i upokorzenia, i gniewu, i zawiści, i pogardy, sterowanej do pani Róży i tych wszystkich z jej gatunku, które czyhały, aby ją móż zdeptać, nauragać, odwrócić się od niej i pomiatać za „małą eskapadę,” jakich same całe tuziny miały na elastycznym sumieniu.

Pani Julia był sama jedna i nie miała się czem zasłonić.

Widziała stanowisko swoje towarzyskie zachwianem, przybierającym dwuznaczną barwę; wiedziała, że wiele osób będzie się czuło upoważnionemi do lekceważenia jej i pomijania.

Ogarniał nią gniew wewnętrzny, choć napozór uśmiechniętą była i spokojną, gniew i zawiść, gdyż czuła się bezsilną wobec tego towarzyskiego ustroju, którego hypokryzyę teraz dopiero rozumiała, gdyż ją odczuwała na własnej skórze!

A temu wszystkiemu Tencyński był winien!

Źle mu życzyła, odczuwała coraz większą ku niemu niechęć, graniczącą prawie z nienawiścią.

On sam nic nie ucierpi, on nie będzie miał żadnej kary za postępek nieuczciwy i niewierność; przeciwnie, w oczach wielu kobiet stanie się jeszcze więcej interesującym!

Gdzie sprawiedliwość?

– Nie widziała ciocia Tenczyńskiego? – spytała nagle panny Olimpii.

—Nie. Ciągłe go upatruję, ale go nigdzie nie widać!

– Dziwne. Ciekawam, co go mogło zatrzymać po za wyścigowym torem?

– Może niema go z przyczyny śmierci pani Tenczyńskiej. Pewno zajęty jest odbiorem sukcesy.

– Prawda!

I pani Julia uśmiechnęła się pogardliwie. Przecież powiedział jej niegdyś w Dreźnie, że nie poświęciłby sukcesy nawet dla niej, a było to jeszcze za dobrych czasów, kiedy zaszczycał ją swoją *quasi* miłością!

Była niezadowoloną z jego nieobecności. Chciała zrobić sobie przyjemność i rzucić mu choć zdaleka wyzywające spojrzenie, dać do zrozumienia, iż jest wyższą ponad wszystkie światowe sądy, ponad jego obojętność i niewierność, że jest zawsze zadowoloną z siebie i z życia, spokojną i uśmiechniętą.

Ale nawet na taką satysfakcję nie mogła sobie pozwolić.

Pograżoną jeszcze była w bardzo pesymistycznym rozmyślaniu, gdy wtem ozwał się za nią znajomy głos:

– Moje uszanowanie pani!

Był to młody Maryański.

Jak zwykle *correct*, ubrany sezonowo, z lornetką przez ramię przewieszoną i monoklem w oko włożonym.

Nie opuszczał żadnego dnia wyścigów, wogóle pokazywał się zawsze we wszystkich miejscach, gdzie „towarzystwo” dawało sobie *rendes-vous*, aby się przyzwyczajono do jego osoby i nie uważano za zbyt silnego intruza.

– Jakżem szczęśliwy, żem panią spotkał! Myślałem, że pani jeszcze ze wsi nie powróciła.

– Byłam w Biarritz, ale wróciłam przed końcem sezonu. Nieznośne nudy i upały! Biarritz nie ma przyszłości, upada z każdym rokiem. Wolę bretońskie wybrzeża, więcej są charakterystyczne.

Rozmawiano jakiś czas o różnych nadmorskich miejscowościach, o wyścigach i zabawach projektowanych.

– Może to zbyt śmiała nadzieja z mojej strony, ale może pani pozwoli odwiedzać się tak, jak dawniej... Może będę w czemkolwiek użytecznym. Proszę mną rozporządzać i uważać za najpokorniejszego niewolnika, gotowego na każde skinienie.

Jeszcze podczas sezonu wiosennych wyścigów, podobne zapewnienia ze strony Maryańskiego robiły na pani Julii wrażenie szumu wiatru albo liści, o których zapomina się z chwilą wypowiedzenia, ale teraz, ta niezmieniona, tak jak dawniej, adoracya, zrobiła jej wiele przyjemności.

Uczuła pewnego rodzaju wdzięczność za to, iż on nie solidaryzuje się ze złościwością jej przyjaciółek.

Pani Julia jednocześnie zauważyła, że Maryański ma powierzchowność „skończonego gentleman’a,”

– Czy pan nie wie, dlaczego Tenczyński przysłał tylko swoje konie, a sam nie przyjechał?

– Zajęty jest w Zaleszynie porządkowaniem i przeglądaniem rachunków, gdyż musi się zorientować, ile będzie musiał wypłacić spadku pannie Olszyńskiej. Panna Olszyńska także jest w Zaleszynie, pod opieką mojej matki.

– Ninka?... Czyjej wolno z klasztoru wyjeżdżać?

– Jako nowicyuszce pozwolono jej na jakiś czas klasztor opuścić, właśnie dla tych spraw spadkowych. A nawet będzie i w Warszawie przez kilka dni.

– Tak? Jakżem rada! – zawołała pani Julia ze szczerem zadowoleniem. – Jak tylko przyjedzie, proszę mnie w tej chwili zawiadomić. Zaraz ją aresztuję i nie puszczam od siebie przez cały czas pobytu! Ninka... cho! cho!... Stała się naraz bogatą panną. Jak to czasem fortuna na ślepo się rzuca... Ona zmarnuje i siebie, i majątek. Klasztor pochłonie jedno i drugie.

– Niewiadome, czy to będzie zmarnowaniem. To zależy od zapatrywań; może niejednym zdawać się, że to będzie najlepszy użytek z życia i pieniędzy.

Maryański, ile razy zapominał o swojej słabostce „pozowania na światowca,” wygłaszał niekiedy jakąś trafną uwagę, wskazującą człowieka z otwartą głową, szanującego cudze przekonania i niejednostronnego.

– Ja nie przestanę żałować tej biednej Ninki! – rzekła pani Julia.

Mówiła to szczerze, jak również szczerze cieszyła się, że zobaczy „panienkę z klasztoru.”

Sympatya jej dla Ninki była prawdziwą, nieklamana, może dlatego, że natury ich były przeciwnymi żywiołami, a ostateczności lubią się schodzić, lub może dlatego, że przeczuwała w niej istotę z gruntu dobrą, która nie umiałaby jej nigdy wyrządzić przykrości.

– Ale, *a propos*, co się dzieje z Downarowskim? – spytała nagle pani Julia. – Nasze małe kółeczko tak się podczas lata rozstrzebiło, że się teraz w tłumie znaleźć nie możemy.

– O, Downarowski jest na torze! Dopiero przed chwilą widziałem go. Ale nasz Beniaminek emancypuje się. Dawniej jeździł tramwajem, a teraz ma swoją dwukonną dorożkę, w której nikogo innego wozić nie wolno. Pograżony jest po uszy w życiu koleżeńskim. *Il ne jure que par les etudiants*. W takim był zawsze odosobnieniu, teraz za to używa. To też w przeszłym roku miał przydomek „baby,” teraz zaś awansował na „panienkę,” można mieć nadzieję, że pod koniec ostatniego kursu uważany wreszcie będzie za kolegę normalnego.

– Cieszę się z tego bardzo, gdyż mówił mi niegdyś, że nie ma przyjaciół wśród kolegów.

– Ale kupił sobie ich życzliwość bardzo ładnym postępkim. Wziął do swego mieszkania jakiegoś biednego studenta, który chory był z nadmiaru pracy, a nie miał żadnych środków do życia. Zdobył ich sobie odrazu. Takie młode chłopaki najsprawiedliwiej i najbezsronniej oceniają wszystkie czyny. W tym wieku jeszcze białe jest białem, a czarne czarnem. Sprowadzenie tych dwóch przeciwieństw do jednej szarej barwy następuje zwykle nieco później.

– Złoty chłopak! – rzekła z zachwytem pani Julia. – Ja zawsze mówiłam, że on jest lepszy od nas wszystkich. To anielska dusza!

Staneła jej w myśli śliczna twarzyczka Beniaminka, dwoje ciemno niebieskich oczu, które patrzyły na nią zwykle z takim zachwytem...

Przypomniała sobie, jak był w niej zakochany z całym młodzieńczym zapalem, jak ją czcił niby świętość, istotę bez wad i słabostek.

Bardzo wiele silnych wrażeń, przez które przechodziła ostatnimi czasy, wyrugowały go z jej pamięci, ale teraz odżyło naraz w jej myśli wiele wspomnień, ulotnych wrażeń, którymi się odurzała w swoim czasie, i uczyła bardzo silne pragnienie ujrzenia znowu tej ślicznej twarzyczki, na której umiała czytać myśli i uczucia, jakby z otwartej księgi.

Chciała się znów odurzyć jego miłością, tak rozmarzającą i pełną uroku, która może przez oddalenie spotęgowała się i pogłębiła, a jeżeli zbladła i straciła jaskrawsze tony, to może się napowrót rozbudzić i zająć dawnym płomieniem.

Zdawało się jej, że zobaczenie Beniaminka, odnowienie dawnych rozkosznych wrażeń, odsunie na drugi plan wszystkie te lekkie ukłucia, których była pastwą w dniach ostatnich.

Opowiadanie Maryańskiego potęgowało urok, a niestrudzona wyobraźnia pani Julii wywołała na poczekaniu cały szereg obrazów romantycznych, w których Downarowski był ani mniej ani więcej, tylko bohaterem.

– Niechże mi go pan wyszuka i przyprowadzi. Koniecznie! Brzydki chłopak! Żeby się też

nie dowiadywać, czy jestem w Warszawie, nie przyjść przywitać! Dostanie on za to!

Maryański wypełnił rozkaz pani Julii i poszedł szukać „marnotrawnego syna,” to jest „wymancypowanego Beniaminka.”

Jak poszedł, tak zginął.

Tymczasem wyścigi szły swoim porządkiem, nastąpił najważniejszy bieg i najwięcej zajmujący, o nagrodę pięciu tysięcy rubli.

Pani Julia była bardzo zaciekawiona, wyszła na trybunę i z zajęciem szła wzrokiem za niknącymi sylwetkami dżokejów różnobarwnych.

Nagle zauważyła, że stoi koło niej dobrze jej znany hrabia Zdziś.

Wywarło to na niej niemiłe wrażenie, gdyż przywiodło na myśl wspomnienie „sielanki alpejskiej,” którą byłaby z przyjemnością wykreśliła z przeszłości i pamięci.

Zbliżył się do niej i przywitał.

Blady był i wzruszony, a wzroku prawie że nie odrywał od pola wyścigowego.

Pani Julia domyśliła się, iż przyczyną tego przejęcia się wielkiego jest to, iż właśnie w tym biegu konie jego biorą udział.

– Gotowa jestem zrobić jakieś wotum na intencję pańskich koni. Widzę, że bardzo panu chodzi o wygraną!

– Więcej nawet może, niż pani przypuszcza. Ach!... A to co?... – zawołał.

Lornetkę podniósł do oczu i zapatrzył się przed siebie.

– Dalibóg, Tenczyńskiego koń wszystko bierze!... Sylfidę wyprzedza o dwie głowy!... Ech!...

Tutaj nie domówił bardzo malowniczego zaklęcia, które pochodziło w prostej linii od jego własnego trenera.

Ale domniemany zwycięzca zwolnił biegu, hrabia Zdziś odetchnął swobodniej i zwrócił na panią Julię łaskawe oko.

Był on jednym z gagatków salonowych, należał do tych wybranych, którym z przyczyn niewiadomych wszystko się wybacza i którzy też korzystają z tego przywileju w najobszerniejszym tego słowa znaczeniu.

– No, – rzekł – myślałem, że ten przeklęty Tenczyński i w tem mnie wyprzedzi! Ale tego byłoby już zanadto, same zwycięstwa i końskie, i... sercowe.

Uśmiechał się wyzywająco i wzrokiem chciał powiedzieć, że mówiąc o zdobyczach sercowych, ją miał na myśli.

Później nachylił się z kokteterą i rzekł półgłosem:

– Sama pani powiedziała, że mi dobrze życzy i gotowa jest dla mojego powodzenia pomodlić się. Trzymam za słowo... Do siebie samej najłatwiej się modlić... a moje powodzenie tylko od pani może zależeć.

— Tym, którzy proszą o coś, mam zwyczaj dawać tylko... jałmużnę! – odrzekła pani Julia wyniośle i złośliwie.

Czuła, że twarz jej oblewa się rumieńcem, nieco ze wstydu, a nieco z gniewu, gdyż ton i treść mowy hrabiego Zdzisia ubliżały jej i inne były zupełnie od dawniejszych, chociaż pani Julia była zawsze wielką zwolenniczką swobody towarzyskiej.

Wiedziała, że podobne pragnienia tonem podobnym wypowiadać jej będą rozmaici inni Zdzisiowie, Misiowie albo Guciowie, którzy uczują się teraz wobec niej daleko mniej skrępowanymi.

Miała takie wrażenie, jak gdyby się jej grunt z pod nóg usuwał... Wszystko się chwiało wkoło niej i groziło, że na nią runie, a ona na odparcie tych pocisków nie miała ani sposobu, ani siły.

Tymczasem hrabia Zdziś znowu wzrok wyteżył, cały się skupił w oczekiwaniu i patrzeniu, zbladł więcej, a lornetkę mocno ścisnął, gdyż ręka drżała mu w ostatnich sekundach walki. Nareszcie wykrzyknął radośnie, twarz mu się rozjaśniła, bieg się skończył, a koń jego

pierwszy stanął u mety.

– Ach, chwała Bogu!... pięć tysięcy!... I odetchnął swobodnie, a jednocześnie wyjął portmonetkę i rzekł z uśmiechem do pani Julii:

– Niech pani zobaczy, ile mam pieniędzy przy duszy: jeden marny rubel! Spłókałem się wczoraj w klubie; ta wygrana zupełnie jest na czasie.

Nie mieli czasu na dłuższą rozmowę, gdyż hrabia Zdziś musiał się zająć koniem, oddawaniem ukłonów i przyjmowaniem powinszowań.

Pani Julia patrzyła obojętnie na cały ten gwar.

Nie zajmowało jej to i nie bawiło, czuła zniechęcenie i smutek, była jakby oddaloną od tego, do czego przy dawnej swobodzie myśli potrafiła się zapalać, a nawet entuzjazyzmować.

Rozglądała się za Downarowskim, doznając pewnego rozczarowania.

Czyżby nie chciał do niej się zbliżyć?

Ale tak źle nie było.

Zaledwie na torze znów się zaroilo od spacerujących osób, spostrzegła Downarowskiego i Maryańskiego, idących ku niej.

– Prowadzę winowajcę! – rzekł Maryański. – Tłómaczy się, że mu ktoś powiedział, że pani jeszcze z Biarritz nie powróciła, i dlatego nie przychodził.

– Witam pana, ale kto się tłómaczy, ten się obwinia. Lepiej nic nie mówić, bo na zaniebdywanie starych przyjaciół niema wymówki. Ale pan wie, że ja dobra jestem, więc przebaczę. Warunek tylko: szczery żal i poprawa.

Downarowski odpowiedział jakąś krótką, banalną grzecznością i umilkł.

Wogóle rozmowa, zaczęta wesoło i swobodnie, nieznacznie jakoś sztywniała, słów brakowało, i znać było skępowanie, którego przyczyną było dziwnie wymuszone i nienaturalne zachowanie się Beniaminka.

Innym był niż dawniej.

Śmiał się z przymusem, rozmowa nie szła mu gładko; jak prawdziwy winowajca, odwracał z zażenowaniem wzrok od pani Julii.

– Przyjemne pan miał wakacje? – zapytała go. – Dobrze się pan bawił tego lata?

– O, doskonale! A pani? Gzy pani się także dobrze bawiła?

Przy pytaniu tem tak dziwnie na nią spojrział, że pani Julia oczy spuściła, a twarz jej oblała się bardzo silnym rumieńcem.

Widocznem było, że Downarowski wie o jej „alpejskiej sielance.”

– Biarritz jest bardzo przyjemną miejscowością. Na nudy niema tam czasu – odrzekła.

Lecz Downarowski tak na nią patrzył, jakby chciał powiedzieć, że słowom jej nic już teraz nie wierzy.

Spojrzenie jego tak silne na pani Julii wywarło wrażenie, że wobec tej przykrości niczem były wszystkie poprzednie ukłucia.

Tam, w tych jego ślicznych oczach, doczytała się i bardzo wielkiego żalu o to, że się na niej zawiódł, że mu zabrała z duszy młodzieńcze marzenia, wysnute z najczystszeo uczucia wiary w dobro, prawdę i piękno, przyjmowała ofiarę z jego miłości graniczącej z uwielbieniem, i zaufanie bezgraniczne, rozbudziła idealny świat marzenia, a odpowiedziała na to wszystko – sielanką alpejską!

Zdawało mu się, że pani Julia, depcząc swoją cześć kobiecą, depcze jednocześnie i jego ułudy, i jego ufność, którą w niej pokładał.

– Liczę, że będę pana często widywała – rzekła pani Julia; —jutro wieczorem będę w domu. Może pan znajdzie chwilkę wolną, aby mnie odwiedzić.

Uklonił się i podziękował uprzejmie za zaproszenie.

– Słowo? Przyjdzie pan napewno? – rzekła zalotnie.

– Słowo! Życzenie pani jest dla mnie rozkazem.

Widok Downarowskiego odnowił sympatyę, która panią Julię znowu opanowała, a śliczną

twarzyczka Beniaminka wyraźnie malowała w jej myślach.

Dostrzeżona w nim zmiana zrobiła jej najwięcej przykrości.

Nie była to arogancja hrabiego Zdzisia, ani złośliwość najserdeczniejszych przyjaciółek, ale wzruszał ją i wywoływał rumieńce ten żal, skarżący się oczyma i wyrazem twarzy, na której odbijały się zwykle wszystkie wewnętrzne wrażenia.

Gdyby się był ktoś jej spytał, co woli odzyskać: czy dawne swoje niezachwiane stanowisko towarzyskie, czy dawne uwielbienie Downarowskiego, jego bezgraniczną ufność w jej wyższość i nieskazitelność? – byłaby bez wahania wybrała uczucie Beniaminka, i nie myślałaby już o niczym więcej...

Rozmawiając z nim obojętnie o banalnych wiadomościach, będących na czasie, czuwała tęsknotę po tem jego dawnym spojrzeniu, pełnem zapału i zachwytu, które ją zawsze unosiło w krąg swych marzeń, poiło rozkoszą i nowością i sypało hojną dłonią wrażenia bardzo subtelne a wstrząsające.

Downarowski powtarzał sobie w myśli, że pani Julia nie warta już tego, aby się nią zajmować, zaprzętać głowę i odwiedzać, a nawet na drugi dzień po widzeniu się z nią, ażeby utwierdzić się w tych przekonaniach, wykladał z wielkim ferworem kilku kolegom w cukierni Tour'a o niższości kobiety w ogólności, a w szczególności kobiety wielkoświatowej, która jest co najmniej plagą egipską uciśnionego przez nią społeczeństwa.

Wcale mu to jednak nie przeszkadzało tego samego dnia stawić się na zaproszenie „plagi.”

Zastał panią Julię zupełnie samą; nie było nawet ciotki Olimpi.

Siedziała w małym swoim saloniku, pod różowym koronkowym abażurem wielkiej lampy, stojącej na ziemi, wśród grupy palm, na niskim krześle.

Światło spływało na nią z góry z pod abażura i takie czyniło wrażenie, jakby to z jej postaci biła jasność.

Miała na sobie kremową fularową suknię, nadzwyczaj skromną, pochylona była nad książką, a drobny jej profil odcinał się wyraźnie na tle palmowych liści, dokładny był we wszystkich swoich najdelikatniejszych załamaniach. Wyglądała na młodziutką panienkę, a „poza zaczytanej” otaczała ją mgłą rozmarzenia, pełnego uroku.

Wiedziała snadź pani Julia, że oblana blaskiem różowym, na tle roślin i półcienia reszty pokoju, wygląda bardzo zajmująco, gdyż skoro Downarowski we drzwiach się ukazał, głowy z nad książki nie podniosła; dopiero gdy stanął obok niej, drgnęła nagle, jakby ją kto ze snu przebudził.

– Ach! to pan? Witam pana! Rękę serdecznie mu podała, a po przywitaniu, ciągnęła dalej:

– Proszę, niech pan siada! Nie tam... Tam jest ciemno i niewygodnie. Chciałabym się panu przypatrzeć, czy pan nie zrobił się innym przez ten czas, kiedy mnie pan nie widział.

Uśmiechnęła się do niego z wielką słodyczą i życzliwością, pełna była uprzejmości i obróci, takiej, która się nie narzuca, ale każe przeczuwać i odczuwać.

– Wszedł pan niespodzianie i jak duch przy mnie stanął... Przestraszył mnie pan.

– Przepraszam panią najmocniej! Zrobiłem to mimowoli.

– Niech pan nie przepasza. To nic nie szkodzi. Zrobiłam się teraz taka nerwowa, że wszystkiego się boję. Jeśli tak dalej będzie, to nie wiem do czego dojdę, może do Tworek – dodała, śmiejąc się.

– Mam nadzieję, że tak źle nie będzie. Powinna się pani dużo bawić, to pani zapomni o nerwach.

– Czy pan myśli, że się tak łatwo zapomina o tem, co nam dokuczyło? Nie mówię tego wyłącznie do nerwów, ale wogóle...

Oparła się na rękę i patrzyła na niego z poważnym wyrazem.

– O, tak! Jeżeli coś bardzo dokuczyło i bardzo boli, tego się nigdy nie zapomina – odrzekł

Downarowski i oczy spuścił.

– A widzi pan, że to nie tak łatwo bywa. Tak samo jest i z nerwami. Nie można załagodzić ich rozdrażnienia, jeżeli je poszarpał jakiś wielki ból, ot na przykład jakaś bardzo wielka krzywda, albo niesprawiedliwość...

Mówiła to głosem przyciszonym i powolnym, niby zapatrzona w swoje własne troski i zmartwienia.

Głowę schyliła w przygnębieniu tak, że na twarz jej cień padał, zacierał kontury i wyraz.

Otwarte było pole dla wyobraźni.

Można się było na tej pochylonej twarzyczce domyślać wszystkich wrażeń: i zniechęcenia, i smutku, i goryczy, i żalości, i zażawionych oczu ofiary prześladowanej. Światło lampy padało tylko na jej włosy i rozpraszało po nich swoje blaski, jakby błyszczące złote pyłki.

Downarowski przyglądał się jej postaci estetycznej we wszystkich szczegółach, i zdawało mu się przez chwilę, że wstecz się cofnął, kiedy obecność pani Julii doprowadzała go prawie do ekstazy.

Czuł, że wzruszenie go ogarnia, ale nie wiedział dokładnie, czy przyczyna tego jest widok istoty denerwującej i uroczej, czy też wspomnienia.

A pani Julia ciągnęła dalej:

– Ale nie mówmy lepiej o takich smutnych rzeczach, jak krzywda albo niesprawiedliwość... Gdy się wyciąga z głębi serca jakiś smutek, albo żal do ludzi, to odnawia się rany i jest przy tem zawsze trochę bólu.

I znowu umilkła.

Choć mówiła ogólnikowo, można było zrozumieć, że wszystkie te uwagi do siebie stosuje.

Stroiła się w tragiczny płaszcz pokrzywdzonej niewinności, ofiary stronnych ludzkich sądów, czyjegoś cynizmu i podłości.

A tak była przejęta swoją rolą, iż wzruszały ją własne słowa, i pewną prawie była, iż dzieje się jej naprawdę niesłychana krzywda, a. świat, jest niesprawiedliwy i okrutny.

Downarowski był odurzony.

Nie spodziewał się znaleźć pani Julii takiej, jaką widział.

Ogarnęło go najpierw zdziwienie, a później współczucie dla kobiety, której świeże ślady nosił jeszcze we wszystkich zakątkach swego serca, a którą widział smutkiem zgębnioną.

Mieszały mu się wrażenia i wyobrażenia, powtarzał sobie to, co o niej myślał jeszcze przed godziną, a jednocześnie coś w nim drżało i spychało na drugi plan wszystko to, co ludzie mówili, i jego własne o niej sądy; zostawała tylko postać jej prześlęczna, biedna i skołatana, potrzebująca ukojenia i serca, jej wyłącznie oddanego.

Ale... czy naprawdę biedna i pokrzywdzona?

Czy on naprawdę nad nią się lituje, czy też urok jej odczuwa?

Przecież i dawniej umiała go czarować swoją słodyczą i przyprawianemi skrzydłami anioła. A jednak pojechała z Tenczyńskim, aby... szarotki zbierać na Alpach!

Czuł, że znowu jakieś dawne wrażenie wytrąca go z równowagi, lecz nie wiedział na czym się zatrzymać; stracił swobodę obejścia, zeszywniał, aby pokryć mimowolne zakłopotanie i niepewność.

– Mówmy o panu – rzekła pani Julia po chwili milczenia, jakby budząc się z głębokiej zadumy. – Dlaczego pan o mnie nie pamiętał i wcześniej nie przyszedł? Godzi się to tak zapominać o starych znajomych? Myślałam, że się choć na panu nie zawiodę.

– I dobrze pani myślała, bo pani wie, że nie umiałbym o niej zapomnieć. Ja?... Miał bym o pani zapomnieć? Prędeż wszystko! Pani Julia uważnie patrzyła na niego.

Znała ona wszystkie odcienie jego głosu, gdyż zawsze lubiła się w nie wsłuchiwać, i dostrzegła, że ton tych słów nie był tak jak dawniej szczerzy i pełen zapału... Nie!

Dźwięczała w nim jakaś nuta wahania i niepewności, jakieś niezadowolenie, czy z niej, czy z siebie, które tamowało swobodny wylew uczucia.

I oczy jego inaczej patrzyły.

Błyszczało w nich niekiedy nieco dawnego uczucia, ale musiało się widać przebijać przez chmurę goryczy, albo ironii niewyraźnej, gdyż takie sprawiało wrażenie, jakby szczerłość była niepewną siebie i hamowaną.

Pani Julia uczuła nagle prawdziwy smutek; nie taki dekoracyjny, który był dopełnieniem skromnej sukni i włosów zaczesanych *a la jeune fille*, ale ten smutek, który zniemacka za gardło ściska, a myśli zaprawia tęsknotą.

Czy ten Beniaminek nigdy już nie będzie takim jak przedtem?

Czy nigdy nie położy pod jej stopy swego zapалу, swoich marzeń, młodzieńczych uczuć i iluzji?

A miłość jego – to byłby narkotyk, zaczarowana kraina, która ją wabi tysiącem czarów, nowych wrażeń i jakby na urąganie oddała się jednocześnie.

I traci ją z winy Tenczyńskiego!

On, „ten cynik,” który jej dokuczał, a teraz lekceważy, odwrócił od niej wrażliwe serce Beniaminka!

Na wspomnienie Tenczyńskiego znowu gniew nią zatrzęsł, i pomyślała sobie, że ten człowiek naprawdę wyrządził jej wielką krzywdę.

Oziębłość Downarowskiego działała na nią podniecająco.

Była wzburzona jego dziwnym skrępowaniem, niepewność zdradzającym, i wspomnieniem Tenczyńskiego; zaczęła żywo po pokoju spacerować.

– Jestem dziś w nieznośnie filozoficznym usposobieniu – rzekła nagle; – zanudzę pana, gdyż już i ja sama mam tego dosyć. To jest przeciwne mojej naturze. Jestem stworzona, aby się śmiać całe życie, ze wszystkiego i ze wszystkich. Pewna jestem, że mi nie do twarzy z tym pesymizmem. Niech mi pan powie, w czym mi jest ładniej, to postaram się nie pozbywać nigdy tej ładniejszej maski. Czyż może być większa filozofia życia, niż śmiać się ze wszystkiego? Ktoś mi mówił nawet, że śmiech ułatwia trawienie. No, dalej! Niechże mi pan powie: w czym mi jest ładniej?

Głośno się śmiała i patrzyła na niego z kokieterią.

– Wolę, gdy pani jest smutna – rzekł Downarowski wolno i poważnie.

Nagła wesołość pani Julii wywarła na nim przykre wrażenie.

Widział w tem przymus i chęć oderwania myśli od tego, co ją dręczyło.

Śmiech jej był nerwowy, nienaturalny, na twarzy miała silniejsze rumieńce, a w oczach dziwny blask.

„Biedna ona, – myślał sobie – żałuje teraz chwili szalu i dręczy się, albo... albo... to wszystko jest nieprawdą, co ludzie mówią, i te niesłuszne potwarze napelniają ją taką goryczą.”

Wątpliwość ta i posądzenie światowej opinii o niesprawiedliwość opanowywały nim coraz więcej.

Obojętniał na to, co było i jak być powinno, ogarniało go tylko wielkie politowanie i współczucie na widok goryczy i przygnębienia pani Julii.

„Biedna ona!” – powtarzał sobie i nad niczem się nie zastanawiał, tylko to miał ciągle w umyśle, że pani Julia czuje się nieszczęśliwą... Mniejsza o to, jaka tego przyczyna, dość, że cierpi, i – rady dać sobie nie mógł.

A wspomnienie to szło za nim ciągli i wzbudzało coraz większe współczucie i pobłażliwość.

Pani Julia po spędzonym wieczorze z Downarowskim była niezadowolona; z Beniaminka, z całego świata, a najwięcej z siebie samej.

Zarzucała sobie, iż postępowała z nim nieumiejętnie i niezręcznie, ponieważ do końca swojej u niej bytności, nie był jeszcze takim jak dawniej, nie zapomniał o swoich dzieciństwach, prowincjonalnym sądzeniu miłości i zgorszeniu, wywołanem „alpejską

eskapadą.”

Dopiero potrosze odurzał się jej urokiem, dopiero zachwiany był w swoich myślach i postanowieniach, ale – nie odzyskany.

Pani Julia była tak pewną siebie, iż nie wątpiła nawet, że Downarowski po jednym wieczorze, spędzonym z nią sam na sam, z uwielbieniem napowrót ręce złoży, postawi ją na ołtarzu swojej miłości i zapomni o świecie bożym.

A tymczasem ominęły ją te wrażenia.

Beniaminek nie był tak bardzo miękkim woskiem, jak tego pragnęła pani Julia.

Po odejściu Downarowskiego długo siedziała w samotnym saloniku i pozwoliła myślom bujać po rozmaitych przedmiotach, wspomnieniach i wrażeniach, nie zatrzymując się na żadnych.

Była pod wrażeniem smutku i czarnego na świat poglądu, którym się drapowała w obecności Downarowskiego.

Podniecało ją to i przejmowało do głębi nową rolą, a jednocześnie zacierało granice między rzeczywistością a tem, co chciała wmówić w siebie i w innych.

Ten udawany początkowo żal do ludzi za niezasłużenie doznana krzywdę przejmował ją naprawdę i rozrzewniał.

Oczy przymrużyła i marzyła o niewdzięcznym Beniaminku.

Czy mogła przypuszczać, że on ją tak będzie dręczył?

Serce swoje trzyma gdzieś pod kluczem, właśnie wtedy, kiedy ona zatęskniła do tego narkotyku, kiedy czuje się zachwiana w swojej koleji, nie wie na razie co zrobić ze swoją osobą i swymi myślami, szuka zapomnienia o nieudanem „przymierzaniu kajdan” i marzy tylko o tem, aby rozkochanego Beniaminka znowu trzymać na nitce i prowadzić wedle kaprysu.

Egzaltowały ją własne myśli i rozmyślania, czuła się coraz więcej nieszczęśliwą.

Cisza była zupełna, nikt jej myśli nie przerywał, a różowy półcień, rozkoszny do flirtowania we dwoje, stawał się smutnym w samotności, w towarzystwie samych tylko smutnych rozmyślań.

Smutno, bardzo smutno...

Może pierwszy raz w życiu uczuła swoje osamotnienie, brak uczucia stałego i prawdziwego, któreby było pewnem oparciem a nie skazywało na zależność od własnego, albo cudzego kaprysu, bujnej imaginacji i nerwów wrażliwych.

A ten Downarowski, do którego się jej teraz serce rwało, jak nigdy jeszcze przedtem, zobojeźniał nagle i zeszywniał, jakby dla ironii.

Pierwszy raz uczuła niewyraźnie, że jest jakąś istotą bardzo wątłą, nikłą rośliną, która żyje sztucznym ciepłem oranżeryi, gdyż jest za delikatną, aby istnieć w otwartej przestrzeni, wśród zawieruchy, zimna i spiekoty.

Czuła jakąś pustkę i brak treści życia, jasnego na rzeczy poglądu i celu dla dążeń, pustkę, w której nie mogła się zorientować, a której nie mogły zapelnąć kapryśne pragnienia, obejmujące horyzont bardzo ciasny, ani flirt z Tenczyńskim, ani Downarowski i pragnienie odzyskania dawnej jego miłości, ani szereg towarzyskich, światowych rozrywek, którymi sobie dotychczas czas zabijała.

Pani Julia pochyliła głowę i łzy zaczęły toczyć się po jej twarzy.

Nie byłaby może sama umiała określić, dlaczego płacze; płakała, gdyż ogarnęła ją tęsknota po Downarowskim i czemś jeszcze, dlaczego nie miała nazwy, po różnych dawnych wspomnieniach chwil radości, którejby teraz nie mogła tak samo odczuwać, po czemś, co się jej z ręki wymykało, a życie czyniło czczem i bezbarwnem.

Płakała długo, ale ją łzy zmęczyły, więc odeszła wreszcie, aby się spać położyć.

Nazajutrz i dni następnych, obowiązki światowe, rozrywki, gwar i światło dzienne rozjaśniły czarne myśli i ścierały ostre barwy żalu do całego świata, a szczególnie do

Downarowskiego

Pozostała tylko, smutkiem i tęsknotą zabarwiona, nieustanna myśl o Beniaminku i coraz większe pragnienie odzyskania dawnego uczucia.

Nie obeszło się bez tego, że i humor pani Julii ucierpiał z powodu tych niepewności, a zmianę tę na gorsze najdotkliwiej odczuwał Maryański.

Nie umiał już teraz dogodzić jej tak, jak dawniej, ani zabawić. Nieraz, będąc zdenerwowaną, myślała sobie, że Maryański nudnym się staje, monotony jest, rozpaczliwie grzeczny i nadskakujący.

Można dostać migreny, patrząc ciągle na tę usługowość niezmordowaną!

Jakaś większa samodzielność w postępowaniu, mogąca mieć jakieś zajmujące niespodzianki obejścia, byłaby więcej na czasie dla rozdenerwowanej pani Julii.

– Doprawdy, rozpacz ogarnia, jaki ten świat jest nudny! Zawsze jedno w kółko, jedno i to samo! – rzekła raz, gdy przyszedł do niej Maryański w rannych godzinach. – Byłabym najszczęśliwszą, gdyby wybuchła wojna, albo było gdzie niedaleko trzęsienie ziemi. Przynajmniej byłaby jakaś różnorodność. Wcale się nie dziwię temu Anglikowi, który sobie podobno życie odebrał dlatego tylko, iż go znudziło codzień, jak w maszynie, rano ubierać się, a wieczorem rozbierać.

– Czy pani wie o tem, że Rosensternowi jakiś ulicznik napisał na drzwiczkach od karety: „Zdziś cebularz.” Ten Rosenstern tak we wszystkim naśladuje i parodjuje hrabiego Zdzisia, że nawet ulicznicy wiedzą o tem – rzekł Maryański, który od kwadransa suszył sobie mózgowicę nad wynajdowaniem różnych przedmiotów rozmowy, aby zająć panią Julię.

– Opowiadał mi pan wczoraj to samo. Powtarza się pan mimowoli. To zły znak.

Zaczęto rozmawiać o innych kwestjach.

– Podobno bal u Iksów bardzo świetnie się zapowiada – rzekła pani Julia. – Będę miała suknię jak marzenie! Zapowiedziałam Hersemu, aby nie ważył się nikomu jej przed balem pokazywać. Będzie ogólne osłupienie. Ale, ale, *a propos*, niech pan pójdzie do Downarowskiego i powie mu, że go zamawiam do pierwszego kontredansa. Ten chłopak tak zdziaczał, że nigdzie nie bywa. Trzeba go zmusić tym sposobem, gdyż inaczej, ręczę, że nie byłby na tym balu.

Maryański pośpieszył spełnić to nagłe polecenie, wyraziwszy przy tej sposobności, jak wielce czuje się szczęśliwym, iż może być w czemkolwiek użytecznym.

Pani Julia rada była ze swego pomysłu. Od owego wieczoru ani na chwilę nie przestała myśleć o Downarowskim, czekała z niecierpliwością powtórnej jego wizyty, ale nie przyszedł.

Zadrażnięta była w miłości własnej, zdenerwowana i coraz więcej widzieć go pragnęła.

Spotkała go dnia poprzedniego w jakimś sklepie.

Gdy ją zobaczył, twarz mu się rozjaśniła, uśmiechnął się prześlicznie, tak, jak on tylko uśmiechać się potrafi, ale trwało to tylko minutę.

Po kilku zamienionych słowach, rysy mu zeszytywniały w przymusową obojętność.

Wyglądał na człowieka, który się bronił od czegoś, co go, pomimo wszystko, chce opanować, a nie mając już siły do dłuższego oporu, zamyka się w sobie i ucieka.

– Koledzy na mnie czekają, żegnaj panią! – rzekł i wyszedł z pośpiechem.

Pani Julia czekała z niecierpliwością balu u Iksów, to jest sposobności pomówienia z Downarowskim.

Nareszcie dzień ten nadszedł, przynosząc z sobą wiele radości, najpierw z powodu sukni, która bezwarunkowo miała być najpiękniejszą, a później z powodu zamówionego kontredansa.

Skoro, będąc już w pełnym rynsztunku, do Iksów pojechała, było już bardzo późno.

Pani Julia zwykle naumyślnie spóźniała się, chciała bowiem, aby ukazanie się jej w salonie podziwiać mogli wszyscy, bez wyjątku, zabrani goście.

Odrą otoczyły ją czarne i czerwone fraki, to wszystko zaś, co się składało z koronek, jedwabiu, gazy albo aksamitu, trzymało się w przyzwoitej odległości.

Downarowski był już od godziny.

Emancypacja jego tak szybkim postępowała krokiem, że już przejmował się, może mimowoli, manierami swoich rówieśników, zbliżał się powolnym krokiem do danserek i z miną Jowisza, zstępującego z Olimpu, zapraszał je do tańca.

Po wejściu pani Julii przestał tańczyć.

Jakoś mu nagle zubożyła cała reszta obecnej płci pięknej.

Skierował do pani Julii całą swoją uwagę i myśli.

Poszedł się przywitać.

Nie chciał żadnej poufnej pogawędki *en tete a tete*, a jednak gniewali go ci wszyscy panowie, którzy otaczali panią Julię.

Stanął obok niej, możliwie najbliżej i robił sobie w myśli różne niekorzystne spostrzeżenia, dotyczące się tych intruzów.

Hrabia Zdziś był „niemożliwym arogantem i zarozumiałcem,” ksiązę Henio „skończonym kretynem,” a ten zblazowany N., na snoba pozujący, „parodyą człowieka.”

—Pani była tak łaskawą i zachowała dla mnie pierwszego kontredansa; nieograniczenie jestem wdzięczny – rzekł, siadając obok pani Julii na opróżnionem na chwile krześle.

Nie odszedł aż do chwili rozpoczęcia kontredansa.

Wirowały mu w głowie różne myśli, a w sercu sprzeczne uczucia.

Od czasu bytności u niej, był jakby w gorączce.

Chwilami opanowywała go do niej tęsknota, wszystko zniknęło w jego wyobraźni, odsuwało się za mgły jakiegoś, a zostawała tylko sama postać pani Julii, do której dusza mu się rwała.

Chciał biedz do niej, błagać o trochę dobroci i serdeczności, nie takiej zdawkowej, salonowej, ale takiej, któraby dla niego była światem rozkoszy i upojenia.

Później, jak echo snu przykrego, przychodziła myśl, że jednak ta ukochana pani Julia może obojętnością odplaci mu za jego serce, bo przecież nie z nim, ale z Tenczyńskim pojechała w Alpy...

Czy jednak była tam z nim?

Wątpliwość, wzbudzona przez nią, dręczyła go nieustannie, przechodził od dawnego zaufania i czci, do pogardy i zupełnego zniechęcenia.

„Nie chcę wcale o niej myśleć. Nic mnie to nie obchodzi co zrobiła, co robi i co robić będzie.

Jakbym zaczął tak ekspensować się na pogardę i zazdrość względem wszystkich kobiet, które z pierwszym lepszym bałamutem za granicę wyjeżdżają, tobym wreszcie musiał umrzeć z rozpacz.”

A jednak nie przestał o niej myśleć, i gdy ją przypadkowo spotkał w sklepie, wstrząsnęło nim silne wzruszenie, które go zaalarmowało.

Uciekł od niej, myślał, że straciwszy ją z oczu, straci ją i z myśli, i zapomni.

A gdy Maryański przyniósł mu zaproszenie do kontredansa, radość go wielka opanowała, i czekał z niecierpliwością balu u Iksów.

Siedząc teraz obok pani Julii, prawie nic nie rozmawiał, ale przyglądał się jej z zajęciem.

Twarz jej jaśniała wesołością i bardzo wielkim zadowoleniem.

Rozmawiała swobodnie, pełną była iskrzących odpowiedzi i dowcipu.

Downarowski porównywał tę balową panią Julię z tamtą, którą widział wtedy wieczorem, kiedy byli sami we dwoje.

Czy to może być prawdą, aby ta sama, zgnębiona ludzką niesprawiedliwością kobieta, rozgoryczona do ludzi i świata, była tutaj swobodną i rozflirtowaną ozdobą salonu, która z pewnością siebie i niezmaconym spokojem patrzała na wszystkich, jakby nigdy żadna burza

sprzecznych uczuć nie wstrząsała jej umysłem?

Ta jej pewność siebie sprawiała coraz więcej zamętu w myślach i potęgowała powątpiewanie o nieomyślności sądów światowych.

Skoro już ustawili się do kontredansa, pani Julia odwróciła się do niego i rzekła z uśmiechem:

– Nie zapisałam sobie pana w karneciku, gdyż nie byłam pewną, czy pan przyjdzie na moje wezwanie.

– Nie wierzyła pani, iż nie umiałbym sprzeciwić się jej woli?

– Cha! cha! cha! Czy pan przypuszcza, że ja jeszcze wierzę w cokolwiek albo kogokolwiek? Nie dziwię się nigdy niczemu.

Po ustach jej przebiegł uśmiech pogardliwy, a w oczach, jak się Downarowskiemu może zdawało, zagościł wyraz smutku.

Po chwili rzekł w zamyśleniu:

– Wiara leży w naturze człowieka. Jeżeli jej nie mamy, to znak, że nam ją odebrano. Nie chce mi się wierzyć, aby pani była pastwą takiego rabunku. Któżby miał serce, któżby nie zdradzał, gdyby panią rozczarowywał do świata i ludzi!

– A jednak tak było — rzekła pani Julia z uśmiechem melancholijnym.

„Coś ją dręczy, pomimo wszystko – myślał Downarowski; – albo zdrada i niewierność Tenczyńskiego, albo ludzka niesprawiedliwość. Dla świata ma zawsze jednakową pewność spojrzenia i uśmiech zadowolony, jemu zaś jednemu tylko ukazuje głębie swoich uczuć i myśli i to, co ją dręczy.”

Do sanktuarium naszych trosk i bólów tych tylko dopuszczamy, którzy nam są bliscy, lub duchem pokrewni, lub z którymi łączy nas jakaś nić sympatyczna.

Czyż on w oczach pani Julii więcej znaczył, niż ten cały tłum flirtującej z nią młodzieży?...

Spostrzeżenie to podziałało na niego odurzająco, polechtało miłość własną i natchnęło jeszcze większą pobłażliwością względem różnych wątpliwości i kwestyi niewyjaśnionych.

Przyszło mu na myśl, że może te jej niewyraźne ogólności i uwagi pesymistyczne są pierwszym krokiem do zwierzenia się z trosk, że może przeczuwając w nim oddane jej serce, zdolne ją odczuć i zrozumieć, chce się z nim podzielić zmartwieniem i zawodem, który ją spotkał?...

Zaczął sobie w myśli robić wyrzuty, że nie rozumiał jej intencji, że przez unikanie jej i trzymanie się na uboczu uniemożliwił wypowiedzeniowego wszystkiego, co ją dręczyło.

Nie ona jego, ale on to ją dręczył, mroził udanym chłodem i nasuwał pesymistyczne myśli o ludzkich uczuciach.

Czyż on jej nie dawał powodu do niewiary w ludzi, jeżeli spostrzegła zmianę w jego usposobieniu i zachowaniu?

„Idyotą jestem! Tą biedna kobieta nie ma nikogo takiego, ktoby jej był oddany i rozumiał... nie ma przed kim uzalić się. Wie, że potrafiłbym z nią współczuć, i dlatego chciałaby mówić ze mną otwarcie i o wszystkim... A ja tymczasem...”

Zły był na siebie, a pani Julii wdzięcznym za to nieokreślone wyróżnienie. Patrzył na nią nieustannie, choć mało mówił i czuł, że postać jej zawsze przykuwa go urokiem jednakowym i zostanie mu nadal w oczach i myśli.

Ogarniało go wielkie roztkliwienie i wzruszenie.

Byłby ją uściskał, dobierał słów najwięcej miękkich, serdecznych i przekonywających, aby zapomniała o świecie całym, o ludzkich niesprawiedliwościach, zdradzie i krzywdzie, a pozwoliła mu kochać się, kochać, kochać – bez końca...

Wszystkie ruchy tańca wykonywał machinalnie; zajęty był wyłącznie swymi myślami.

W połowie kontredansa mieli nieco czasu na odpoczynek, mogli znowu zamienić z sobą słów kilka.

– Wyrządza pani wielką przykrość swoim życziwym, wygłaszając takie czarne poglądy.

Możnaby przypuszczać, że jakieś smutne przejścia tak panią usposobiły. Samo przypuszczenie, że pani może mieć jakieś zmartwienie, jest męczarnią.

Przypomniał jej w tej chwili dawnego Beniaminka, patrzył w nią z miłością bezgraniczną...

Oczy miała spuszczone, i nikt w nich nie mógł zauważyć wyrazu tryumfu i radości. Złote ma serce ten kochany Beniaminek! Uczucie współczucia potrafi zagłuszyć w nim wszystkie inne rozumowania i znowu zupełnie rozbrojonego położy go pod jej stopy...

– Czeka mnie w tych dniach wielka przyjemność – rzekła, siadając po jednej figurze kadryla: – przyjeżdża w tym czasie na kilka dni do Warszawy panna Olszyńska, ta „święta” nowicyuszka, na której obłóczyny jeździłam po wiosennych wyścigach. Ciągłe o niej myślę. Muszę pana koniecznie z nią zapoznać... Zobaczysz pan, co to za uosobienie dobroci i słodyczy. Nie pamiętam, żeby o kimkolwiek wyraziła się złośliwie albo niekorzystnie. Ogromnie się cieszę z jej przyjazdu. Uczuwam moralną potrzebę towarzystwa jakiejś istoty, któraby była nadzwyczaj dobrą... taką, jak Ninka Olszyńska...

– Chyba niema człowieka, któryby tej potrzeby nie odczuwał. A jednak... Czy pani zauważyła, jak mało jest ludzi prawdziwie dobrych?

– Czy zauważyłam?... – i znowu blady uśmiech smutnego rozmarzenia przeszedł po jej twarzy. – Czy zauważyłam? Powinien był pan zapytać się, czy... odczułam to bardzo głęboko.

Ludzka dobroć! Cha! cha! cha! Serce... – i zaczęła śmiać się ironicznie: – to są puste dźwięki, niewiadomo po co wymyślone. Czy pan nie wie, że niekiedy ludzka dobroć jest taka, jak strumień zimnej wody? Czy pan przypuszcza, że gdybym się była na ludziach nie sparzyła, tobym mówiła, że nikomu już nie wierzę?

Przyszedł jej na myśl Tenczyński, który pewno już o niej zapomniał, i grono serdecznych przyjaciółek, nie ukrywających swej radości z jej dwuznacznej alpejskiej podróży.

Na twarzy jej osiadł prawdziwy smutek z domieszką goryczy.

Downarowski patrzył na nią, i serce mu tajało od tego widoku.

Widział ją taką śliczną i pełną uroku, o drobnej postaci estetycznej i subtelnej, przypominającej rośliny cieplarni, których cel istnienia – oko ludzkie bawić przez chwilę, uśmiechającą się ze spokojem władczyni, albo tryumfatorce, a jednak smutnej, niepewnej siebie, samej jednej wśród życiowej drogi, bez steru, ani podpory.

I tak samo, jak wiatr drobną rośliną chwieją ją na różne strony; fantazja, nerwy, bujna imaginacja i pewien sceptycyzm salonowy, który zaprowadzić może na bezdroża i manowce, nie przez zamilowanie tych bezdroży i manowców, ale tylko przez obojętność i lekceważenie prawego gościńca.

Ogarniało go coraz większe współczucie dla istoty tak uroczej, a tak bezbronnej, którą unosić mogły tysiące prądów, stokrotnie od niej silniejszych, wpływów osób poszczególnych, otoczenia i własnych nerwów, rzuconą, jak łupina orzecha, na falę życia, i której nie czynił już wyłącznie odpowiedzialną, za postęпки lekkomyślne.

Przez myśl mu przeleciało, że mógłby ją przecie oderwać od całego świata, zaprzysiędź miłość i wierność, wywieźć gdzieś bardzo daleko, gdzieby nie było ludzi, ani ich obłudy i egoizmu, miłość, zamienić w szal szczęścia... miłością żyć... upajać ją i siebie – i umrzeć.

Nachylił się ku niej i mówił cicho, znać było, że wzruszenie głos mu tamuje:

– Niech sobie pani myśli nie zagorycza... Bo czasem takie zniechęcenie zasłania to, co jest godne uwagi, a znajduje się bardzo blisko... Czasem potrzeba tylko rzucić okiem wkoło siebie, żeby spostrzedz, iż ktoś serceby sobie na strzępy rozerwał, aby dać pani choć chwilę szczęścia... Wszystkoby poświęcił: życie, swoje własne szczęście, wszystko, co ma najdroższego, byleby pani nie miała troski i smutków...

Czuł, że krew bije mu do głowy, ręce drżą, a wzruszenia opanować już nie umiał. Patrzył prosto w jej oczy, jakby chciał wzrokiem resztę dopowiedzieć, wyrazić cały ogrom swego uczucia, które się nie dawało zamknąć w słowach.

I ona oczu od niego nie odwracała. Milcząc, patrzali tak na siebie przez kilka sekund,

jakby świat wkoło nich nie istniał, jakby kilka liści palmowych, które wychylały się z klombu, ustawionego obok ich krzesel, i rzucały nieco smug ciemnych, fantastycznych na jasną suknie pani Julii, były murem, który ich odosabniał od reszty otoczenia, stanowił granicę między rzeczywistością a marzeniem.

Pani Julia odczuwała wzruszenie Downarowskiego, w oczach jego widziała morze miłości, której fale unoszą, zalewają, sprawiają zawrót i odurzają, a fala ta jest tak rozkoszną, że niech się dzieje co chce, byle niosła wdał nieznaną...

Odczuwała wielką radość, którą byłaby chciała okazać w hałaśliwym wybuchu śmiechu, szalonym tempie tańca lub uścisku, a jednocześnie rzewność ją jakaś ogarniała i obezwładniała myśli, kołysząc do marzeń fantastycznych.

– Dziękuję, panu, – rzekła cicho – wierzę w szczerłość słów pańskich. Dał mi pan chwilę wielkiej rozkoszy... Dziękuję. Czuję się teraz bardzo szczęśliwą.

Downarowskiego ogarnął wielki gniew na tych wszystkich, którzy się znajdowali w sali balowej.

Gdyby byli sami, byłby ukląkł przed panią Julią, głowę oparł na jej rękę i powtarzał bez końca, niezmiennie: „Kocham cię, kocham, komedią było wszystko, com chciał w siebie wmówić, zem się rozczarowałem i zobojeźniałem, że cię znać nie chcę i zapomnę! Nie myślę o tobie i żyć bez ciebie – to być bez słońca, powietrza i pokarmu, to lepiej nie żyć!”

Ale nic nie mówił, tylko patrzył na nią nieustannie, a w oczach jego prześlicznych tak wyraźne były jego myśli, iż słów nie potrzebował, aby wypowiedzieć swoją miłość.

Jednak policzone były te krótkie chwile szczęścia.

Nie mogli długo odpoczywać w towarzystwie samych tylko liści palmowych; pani Julia znów musiała należeć do reszty towarzystwa i brać udział w ogólnej zabawie.

Skoro oddaliła się od niego, i zobaczył ją uśmiechającą się do wszystkich, swobodną i rozbawioną, zdawało mu się, że drwi z niego jakiś sen dziwny. Czy to ta sama pani Julia powiedziała mu przed chwilą, że on swoim wyznaniem dał jej chwilę rozkoszy, i że ona czuje się szczęśliwą?... A zatem podziela uczucia jego... gdyż miłość obojętnych jest nam obojętną i szczęścia nie daje.

Czuł pewien zawrót i zamęt od silnego wzruszenia i nawału myśli; stanął między nietańczącymi paniami, aby nie być widzianym i niczyjej nie zwracać uwagi.

Czy to wszystko jest prawdą?... Myśli mu się rozpraszały i niepokoją...

Maryański wchodził do mieszkania pani Julii i był rozpromieniony.

– Przynoszę pani ciekawą, nowinę! – rzekł zaraz przy drzwiach. – Wczoraj wieczorem przyjechała panna Olszyńska razem z moimi rodzicami.

– Ach! Chwała Bogu! Jakże się cieszę! Kochana Ninetka! Ciekawam, czy się zmieniła? Widział ją pan? Czy ubrana jest jak nowicyuszka? w habicie?

– Nie, pani. Jak zwyczajna śmiertelniczka.

– Szkoda! Wyglądałaby malowniczo. Zaraz pojedę do niej! A gdzie mieszkają pańscy rodzice?

– Na Włodzimierskiej.

Zadzwoiła na służącego, kazała szybko konie zakładać; tymczasem o Ninie ciągle rozmawiała.

– Zawsze powtarzam, że to wszystko, co jest lepsze i szlachetniejsze, usuwa się od świata. Taka Ninka naprzykład! Czy nie lepiej na tem wyszła? Zazdrościć jej można. Przynajmniej nikt jej nigdy nie nadokuczał!

– Ale i kochać nie będzie. Niema jej pani czego zazdrościć, bo pani bogatsza od niej w szczęście – rzekł Maryański.

I patrzył na nią bardzo czule, chcąc sprowadzić rozmowę na grunt sentymentalny, ale nie

szło mu tym razem, gdyż pani Julia zajęta była wyłącznie Ninką Olszyńska.

Nareszcie powóz był gotów, i pani Julia, zapowiedziawszy służbie, że jeżeli przyjdzie Downarowski, należy go zatrzymać do jej powrotu, pojechała do Maryańskich.

Ninka nie przypuszczała, aby pani Julia dowiedziała się tak prędko o jej przyjeździe, i nie spodziewała się tego dnia jej odwiedzin.

Przed wyjazdem do Warszawy długo się namyślała i ostatecznie nie była jeszcze zdecydowaną, czy ma zawiadomić panią Julię o swoim przyjeździe, czy też oszczędzić sobie wzruszenia nie widzieć się z nią wcale.

Wiedziała, że byłoby to dla niej przykre wzruszenie, ale jednocześnie obudziła się w niej ciekawość zobaczenia pani Julii, aby się przekonać, jak też będzie się ona wyrażała o Tenczyńskim, i jaką jest teraz, doznawszy przykrego rozczarowania.

Myślała, że może będzie mogła w słowach jej i zachowaniu znaleźć potwierdzenie owej „krzywdy,” o której mówiła jej pani Maryańska, a o której Tenczyński nie chciał jej dać bliższych objaśnień.

A potrzeba jej było tego potwierdzenia, gdyż z każdą godziną, przebytą z Tenczyńskim, słabło w niej przeświadczenie, że obowiązkiem jego jest małżeństwo z panią Julią. Niekiedy przychodziło jej na myśl pytanie: czy prawdą jest, że świat potępia go za to, że się z nią nie ożenił? A wątpliwość ta wzmagala się jeszcze, skoro przypomniła sobie to, co jej powiedział, iż pani Julia „nie” chciała zostać jego żoną.

Zatem, są w porządku, nie mają sobie nic do wyrzucenia.

Pani Julia postąpiła, jak uznawała za stosowne; świat nie ma prawa narzucać im programu postępowania. Tenczyński jest swobodnym, wolno mu, komu chce, ofiarować swoje serce...

Ogarniało ją wtedy wielkie rozrzewnienie, budziło się w niej pragnienie szczęścia, miłości i zapomnienia o wszystkim, co nie było Tenczyńskim i nie miało z nim styczności, pragnienie, aby pójść do niego, wyciągnąć ręce i powiedzieć:

– Kocham cię, już nie mam sił, aby dłużej walczyć z własnym sercem!

Uczuwała jakieś moralne obezwładnienie, które jej utrudniało dalszy przymus.

Ale zawsze wśród takiego rozmarzenia, które ją unosiło ku rozkoszy i uśmiechom życia, ukazywało się jej, jak duch Komandora, wspomnienie klasztoru. Dreszcz ją przejmował i budził z marzeń.

Przypominała sobie swoje dawne entuzjastyczne przysięgi, ofiarowanie się na służbę Bożą, zgnębienie wszystkich ziemskich uczuć, słabostek i upodobań, wzmocnienie ducha zwycięstwami nad tą marną cielesną powłoką, oczyszczenie go w ogniu prób i umartwień, aby czysty i doskonały powrócił kiedyś do swojej ojczyzny, przed Majestat Boży.

Czy wypełniła swoje śluby? Wszystko łatwym było, dopóki nie potrzebowała robić z siebie żadnej ofiary; z łatwością wyrzekła się świata, który uroku dla niej nie miał, bo Tenczyńskiemu była obojętną; wszystko było łatwym, póki nie trzeba było własnym uczuciom zadawać gwałtu. Ale teraz...

Życie uśmiechnęło się do niej miłością i szczęściem, a ona nie ma siły odwrócić się stanowczo od tego uśmiechu, nie może zwalczyć pierwszej próby, zesłanej może dlatego, aby dusza jej, po odniesionem zwycięstwie nad ziemską skłonnością, promieniała zasługą i poświęceniem.

Niekiedy nie zdawała sobie sprawy, że łzy ciekną po jej twarzy, i na takich rozmyślaniach schodziły jej całe godziny.

Ostatniego dnia przed wyjazdem do Warszawy, kiedy wszyscy, jak zwykle, siedzieli w salonie, a pani Maryańska zachwycala się jedną ze swoich znajomych, nazywając ją co chwila „złotem sercem,” Tenczyński nachylił się ku Nince i rzekł półgłosem, nie bez odcienia złośliwej goryczy:

– Mało jest chyba takich naiwnych, którzyby się łapali na tak zwane „złote serca.” Niekiedy słyszymy deklamacje na temat poświęcania się za grzechy wszystkich grzeszników,

którzy bynajmniej o to nie proszą, a jednocześnie widzi się te same osoby, deptające ludzkie serca, a nawet swoje własne, byleby tylko na swoim postawić i nie poświęcić ani jednego ze swoich uprzedzeń.

Ninka zrozumiała, iż ją ma na myśli; nie dała żadnej odpowiedzi, ale spojrzała na niego z takim żalem i wyrzutem, że zaraz słów swoich pożałował i rzekł głosem zupełnie odmiennym:

– Przepraszam panią! Niekiedy mówię naodwrot to, co myślę. Wszystko mi się w głowie płacze. Ale to dlatego, że panią zbyt kocham... i ta dziwna odmowa nie może mi się w głowie pomieścić. Panno Janino, niech się pani zastanowi... Po co my się wzajemnie tak dręczymy? Moglibyśmy być bardzo szczęśliwi!..

– Kosztem łez pani Julii – wtrąciła Ninka.

– Zawsze ta pani Julia! Niech mi pani wierzy, że ja i pani jesteśmy dla niej zupełnie obojętni. Ani nad sobą, ani nad nami płakać nie będzie. Niech się pani nie zaślepia.

– Nie mówmy o tem wszystkim – rzekła Ninka.

Czuła, że mogłaby się rozplakać, a tak miała nerwy rozstrojone, iż nie była pewną, czy potrafi zapanować nad wzruszeniem.

Tenczyński wolał pozostawić ją jeszcze własnym jej myślom i uczuciom. Widział, iż walczy z sobą nieustannie; przypuszczał, iż przypominanie o miłości może przeciągnąć strunę, wywołując skutek wprost przeciwny, nie taki, do jakiego dążył; przypuszczał, że może jej własne serce najlepszym będzie doradcą.

Widział też, ile kosztuje ją ta walka i udawana obojętność: mizerniała w oczach; pewnym był prawie, że to tak długo trwać nie może, że jej wytrwałość musi mieć swoją granicę i ustąpić wreszcie głosowi serca.

Ninka czuła się coraz więcej bezsilną fizycznie i moralnie ubezwładnioną, i w takim usposobieniu przyjechała do Warszawy.

Zdziwiła się niemało, gdy zaraz pierwszego dnia oznajmiono jej odwiedzinę pani Julii.

Gdy weszła do salonu, panią Julię uderzył mizerny jej wygląd.

– Jak się masz, moja ty święta! Jak się tylko dowiedziałam, żeś przyjechała, zaraz przychodzę. Jak się masz, moja droga! Ale jakaś ty mizerna! A co? widzisz, że nie służy ci klasztorne powietrze!

– Podróżą jestem zmęczona – odrzekła Ninka.

W zachowaniu jej widoczne było pewne zakłopotanie, jakaś niepewność i skrepowanie swobody, co nie uszło uwagi pani Julii.

Wypytywała ją ciekawie o różne szczegóły z klasztoru i Zaleszyna.

– No, mam nadzieję, że już nie powrócisz do klasztoru. Taka zabawka dobra jest na parę miesięcy, ale już chyba przedłużać jej nie będziesz. Każda różnorodność, choćby najoryginalniejsza, znudzi wkońcu.

Na twarzy Ninki odbił się wyraz powagi i przykrego przymusu.

– Ofiara nie jest zabawką – rzekła.

– Ale przecież nikt nie wymaga od ciebie takiej ofiary! poświęcenia całego życia!

– Tak. Ale jeżeli ją sobie raz narzuciłam, muszę wypełnić.

– Zawsze jesteś jednakowa, moja ty święta. Ja, zwykła światowa grzesznica, czuję się marnym prochem wobec ciebie – rzekła pani Julia, a potem dodała: – Ale, *a propos*, powiedz mi, czy się bardzo nudziła w Zaleszynie, zdała od klasztoru?

Znowu twarz Ninki wyraziła zakłopotanie i niepewność. Odrzekła, siląc się na ton obojętny:

– Jeżeli nie mówiono mi o interesach, to wynajdowałam sobie różne zajęcia; zresztą, pan Tenczyński starał się bardzo czas nam uprzyjemniać. Miałyśmy rozrywkę na spacerach.

Na wspomnienie Tenczyńskiego Ninka lekko pobladła.

Znać było, że nazwisko to porusza w niej jakieś drażliwe struny, przykre chyba i bolesne,

bo przy radosnych wrażeniach krew z twarzy nie ucieka i w głosie niepewność nie drży.

Pani Julia oczu z niej nie spuszczała i pytała dalej:

– Przyznaj się, moja święta! Pewność przerobiła Tenczyńskiego na pokornego baranka? Może już poszedł do spowiedzi i odprawił rekolekcje? Muszę ci powiedzieć, że zawsze cieszyłaś się jego sympatią, od chwili poznania w Dreźnie. A co najważniejsza, nigdy z ciebie nie żartował, a u niego to wiele znaczy.

Ninka uśmiechnęła się.

– Pan Tenczyński zawsze jest dla mnie bardzo uprzejmy – odrzekła z przejęciem.

Znać było, że mówi szczerze i z przeświadczeniem.

Panią Julię uderzyła ta zmiana głosu, a ponieważ zauważyła przedtem jeszcze błądność i zmieszanie Ninki na wspomnienie Tenczyńskiego, zaczęła robić różne przypuszczenia.

Naturalnie, nie omyliła się.

Tenczyński, swoim zwyczajem, czasu nie tracił w Zaleszynie, bałamucił „świętą” Ninę, której nic innego nie pozostawało do zrobienia, tylko zakochać się w nim i doznawać wzruszenia na wspomnienie jego nazwiska...

Ale dlaczego ona blednie?

Zwykle panny, gdy są „zwykle zadurzone,” to czerwienią się przy lada wzmiance, tyczącej się ich ideału.

Błądność zaś pochodzi z silniejszych wzruszeń, jeżeli przebija się jakiś ból i cierpienie moralne.

Czyżby to „panieńskie zadurzenie” opłatane było jakąś goryczą i cierpieniami?

Rozmowa ich rwała się ciągle.

Chciały się wzajemnie przeniknąć i poznać skryte uczucia swoje, chciały zadawać sobie tysiące pytań, które jednak pozostały tylko myślą, krępując swobodę i rozmowę.

Panią Julię paliła ciekawość, aby się dowiedzieć, jak głębokie ślady pozostawił Tenczyński w sercu Ninki.

Ninka zaś, patrząc na panią Julię, tak pewną siebie, zupełnie swobodną i wyglądającą na zadowoloną z życia, nie mogła oprzeć się powątpiewaniu o prawdziwość tego wszystkiego, co jej pani Maryańska opowiadała.

Czyż pani Julia wyglądała na kobietę pokrzywdzoną, opuszczoną przez narzeczonego i prześladowaną przez ludzkie docinki?

W każdym razie inaczej ją sobie Ninka wyobrażała po owym „opuszczeniu” i zdradzie Tenczyńskiego.

Doznawała wrażenia, jakby jakiś ciężar z serca jej się zaczynał zsuwać, a choć ta ulga była jeszcze nieznaczna i nieuchwytna, ale budziła mimowoli jakiś cień radości i nadziei.

Przychodziły jej do głowy różne myśli, i rozmowę prowadziła z przymusem coraz większym.

Naraz ktoś zadzwonił.

– Pewno pani Maryańska – rzekła Ninka z zadowoleniem.

Rada była, że przybędzie ktoś trzeci, i nie ona jedna tylko będzie musiała pogawędkę podtrzymywać.

Upłynęło kilka sekund.

Drzwi z przedpokoju otworzono, i na progu stanął Tenczyński.

Nie mógł w pierwszej chwili widzieć pani Julii, gdyż siedziała na kanapce, zastawionej od drzwi chińskim parawanikiem, i myśląc, że Ninka jest sama, zwrócił się do niej z serdecznym przywitaniem:

– Pierwszym dziś moim krokiem jest dowiedzieć się, czy pani podróżą nie jest zbyt zmęczona. Tak pani źle wyglądała w Zaleszynie, że nie miałem chwili spokoju. Nawet tak małej podróży bałem się dla pani. No cóż, muszę się zaraz dobrze przypatrzeć naszej „kochanej nowicyuszce” – dodał z uśmiechem: – czy nie pobladła jeszcze więcej?

Naraz szybko się odwrócił i wielkie „Ach!” z ust mu się wyrwało.

Teraz dopiero zauważył panią Julię.

Nastąpiło kilka sekund bardzo przykrego milczenia, ale obycie towarzyskie pani Julii i Tenczyńskiego przyszło im w pomoc.

Przywitano się uprzejmie. Tenczyński usiadł w jednakowej od tych pań odległości, swobodnie i obojętnie zaczął prowadzić banalną rozmowę o mrozach, które od kilku dni trzymały cały świat w kleszczach, o ubiegłych wyścigach i niewygodach kolejowych.

Dla obojętnego oka grupa ta mogła robić wrażenie dobrych znajomych, uprzejmie z sobą rozmawiających, ale mimo tego pozoru, każde z nich silnych a innych doznawało wrażeń.

Pani Julia była w głębi serca bardzo zadowolona z tego spotkania.

Rada była, że może rzucić Tenczyńskiemu wyzywające spojrzenie, pokazać mu się uśmiechniętą, spokojną, zadowoloną z życia, chociaż ją opuścił, a po wybuchach szału i miłości dokuczał chłodem i złościwością.

Niech wie, że te przejścia nie zostawiły na fali jej życia żadnych śladów...

Tenczyński był zły na nią.

Po co ona do Ninki się zbliża? Zdawało mu się, że tej jego ukochanej, niewinnej Nince grozi jakieś niebezpieczeństwo w towarzystwie pani Julii, że ją zarazi swoją lekkomyślnością, że zburzy w niej poważne strony uczuciowe i moralne, gdyż sama ich nie posiada.

Ninka wydawała mu się już jego dobrem i własnością, zazdrosny był o czyją bądź dla niej przyjaźń.

Jednocześnie migały po jego twarzy uśmiechy pogardliwe, gdyż widok pani Julii przywodził mu na pamięć rozmaite chwile szczęścia i przesyty.

Ninka patrzyła na nich z zajęciem.

– Dobrze się pani w Biarritz bawiła? – spytał Tenczyński.

– Przewybornie! Nie mogę odżałować, że była tak krótko.

– Zatem wielka szkoda, że pani tam dopiero na ostatnie dwa tygodnie pojechała. Trzeba było całe lato tam zabawić.

Powiedział to niedbale, jakby nie pamiętał, że właśnie całe lato razem z nim w Alpach spędziła.

Panią Julię rozgniewały te słowa, tembardziej, iż stawiały ją w fałszywym świetle, ponieważ przed chwilą powiedziała Nince, że pojechała do Biarritz prosto z Krakowa.

– Może byłabym naleźycie nie oceniła tych nadmorskich rozrywek, – odrzekła – gdybym się była przedtem nie wynudziła.

Ninkę mocno zastanowiła wymiana tych słów kilku.

Zatem pani Julia skrywała coś przed nią, w Biarritz była tylko dwa tygodnie... a przedtem... podróżowała z Tenczyńskim, dopóki jej nie odjechał.

Lekka wątpliwość o prawdziwości opowiadania pani Maryańskiej, powstała na początku odwiedzin pani Julii, rozchwiała się teraz, powlekając smutkiem myśli Ninki.

Zastanawiał ją także dziwny chłód i rodzaj przymusu, jaki panował między nimi.

Przecież dawniej byli tacy serdeczni dla siebie i swobodni!

Przeczuwała, że coś ich jednocześnie i łączy i dzieli, i strach ją ogarniał na przypuszczenie, że to ona pewno jest tym czynnikiem, który rozłącza.

Ale Tenczyński nie pozwolił jej długo w myślach się zatapiać, gdyż zaczął coraz więcej zwracać się do niej wyłącznie, i nawet dosyć demonstracyjnie, może dla dokuczenia pani Julii.

– Ciągle myślę o tem, czy się pani w drodze do kolei nie zaziębiła. Te pierwsze mrozy są najdokuczliwsze. Szkoda, że już jesień przeszła; taka była prześliczna!... Czy pani pamięta nasz podjazd na sarny? To był ostatni ciepły dzień.

– O, pamiętam! – odrzekła Ninka. I stanęły jej w myśli silne wrażenia, jakich wtedy doznawała.

– I ja pamiętam dobrze. Takiego rozkosznego spaceru łatwo się nie zapomina.
Z uśmiechem i znacząco patrzył na nią, jakby chciał wzrokiem myśl swą dopowiedzieć.
Zaczął ożywiać się coraz więcej, gdy wszedł na temat wspomnień zaleszyńskich.

– Doskonale także pamiętam tę burę, jaka, dostałem za robotników, za to, że żelazo błyszczy się w ogniu! Dowiedziałem się przy tej sposobności, że nawet „święte” zakonnice umieją się gniewać. Ale tak pani do twarzy było z tym gniewem, że gotów jestem zbroić co naumyślnie, byle tylko znowu pani się na mnie nieco pogniewała.

Chwilami na twarzy Ninki widoczną była przyjemność, jakiej zwykle doznawała, rozmawiając z Tenczyńskim, chwilami zaś była zakłopotana, gdyż rozumiała, że nie powinna w tym tonie rozmawiać z nim wobec pani Julii.

Pani Julia przyglądała się im pilnie i postanowiła nie mieszać się do rozmowy, w celach obserwacyjnych. Widziała twarz Ninki, mieniającą się różnymi wrażeniami, wyczytała na niej uczucie, które się ukryć nie umiało, i widziała Tenczyńskiego, który patrzył na tę „panienkę z klasztoru...” Ach, jak patrzył!...

Znała ona to spojrzenie, bo i na nią tak samo patrzył niegdyś, ale to było bardzo dawno; zdawało się jej, że od tego czasu wiek cały przeżyła.

Uśmiechnęła się ironicznie.

„Ciekawam, jak długo nie będą pamiętali o tem, że ja tu jestem?” – pomyślała sobie i udawała, że zagłębia się w przeglądaniu jakichś albumów.

Doznawała pewnego przykrego osamotnienia, a przytem ogarnęło ją uczucie zawiści. Ten sam Tenczyński był niegdyś wyłączną jej własnością, miała go pod swoją stopą, zakochanego i oddanego, a jednak... nie umiała go na zawsze dla siebie zachować, zniechęciła i rozczarowała, aż wreszcie zupełnie zobojętniał...

Zapatrzonej teraz, jak w tęczę, w tę „panienkę z klasztoru,” o nią nie dba; a jeżeli wspomni, to z niechęcią.

Zdawało się jej, że Ninka odbiera jej to, co się jej z prawa należy, że Tenczyński, choć zerwał z nią zupełnie, popełnia nieuczciwość i nadużycie, zajmując się kim innym.

Miłość jego dla Ninki była dla niej upokorzeniem i zniewagą.

A jednak... kochają się, pobiorą, będą szczęśliwi, gdyż nie należy brać na seryo wszystkich frazesów Ninki o powrocie do klasztoru.

Dlaczego ten ironiczny Tenczyński ma być szczęśliwy? Za to, że postąpił z nią nieuczciwie? Zmusił do wyjazdu do Wiednia, skompromitował, później dokuczał, a teraz wcale o nią nie dba?

Dlaczego ona jedna tylko dźwigać musi następstwa tej „eskapady?”

Dlaczego ma być upokorzona przez ich miłość, znosić zachwiane swoje towarzyskie stanowisko, docinki i lekceważenie kochanych przyjaciółek?

A on? W oczach wielu kobiet wyrósł na bohatera, szczydzi się pewnie z tego, że zalicza ją do katalogu swoich ofiar, i wreszcie dostanie mu się za żonę takie dobre stworzenie, jak Ninka Olszyńska, w dodatku z posagiem milionowym!

On ją skompromitował, on powinien być potępionym.

Za co tylko ona jedna zbierać ma gorzkie owoce lekkomyślnego posiewu?

Gdzie sprawiedliwość?

Ogarniał ją gniew coraz większy i nienawiść względem Tenczyńskiego.

Zalewała jej serce gorycz i poczucie bezsilności wobec niesprawiedliwości światowej i hypokryzyi.

A mimo to, zazdrościła Nince jego uczucia, które przez długi czas uważała za swoją własność niepodzielną.

Zaczynała ją nienawidzić. Ach, ta Ninka, „świętoszka!”

Ktoby się był tego po niej spodziewał?... Kokietka!

Ale czyż ona ma patrzeć na to z założonemi rękoma?

Dozwolić, aby ten człowiek zbierał same powodzenia za krzywdę, którą jej wyrządził?
Ona jest mu obojętną i nie ma nad nim żadnego wpływu, ale i Ninka mieć go nie będzie!
Niech on choć raz w życiu nie zadowolony swojej fantazy!

Ninka jest tak idealną, że skoro się jej da do zrozumienia, że tylko pani Julia ma prawo do ręki Tenczyńskiego, to patrzeć już na niego nie będzie chciała, tylko czempredzej powróci do klasztoru.

Tak. Ale aby wpoić w nią to przekonanie, trzebaby ją mieć przez jakiś czas ciągle pod swoim wpływem i przyzwyczaić do tej myśli, że kochać Tenczyńskiego to... nadużycie.

Naraz pani Julia zbliżyła się do Ninki i rzekła z przymileniem:

– Moja ty jedyna! Mam nadzieję, że nie odmówisz mi jednej rzeczy. Zrobiłabyś mi wielką przyjemność, gdybyś się do mnie przeniosła na te kilka dni, które w Warszawie masz zamiar zabawić.

Jednocześnie tak złośliwie spojrzała na Tenczyńskiego, że on, znając ją dobrze, odrazu zrozumiał jej intencję, zamiar oddania mu przysługi, dokonania tego, co w potocznej mowie nazywa się szyciem butów.

Przypuszczał także, że pani Julia nie zechce przyjmować go teraz u siebie, zatem nie będzie mógł Ninki widywać.

„Tak nie będzie, moja pani!” – pomyślał sobie.

Ogarnął go gniew i niepokój, gdyż zdawało mu się, że pobyt pod dachem pani Julii byłby dla Ninki ublizieniem, profanacją, zamachem na jej „świętość,” która już nie wywoływała uśmiechów na jego usta, ale którą kochał nad wszystko, może dlatego, że była przeciwnym biegunem pani Julii.

Nim Ninka zdobyła się na odpowiedź, rzekł stanowczo i poważnie:

– Plan pani byłby bardzo łatwy do wykonania. Ale... panna Olszyńska, będąc nowicyuszka, musi stosować się do woli swojej przełożonej, która ją oddała pod opiekę państwa Maryańskich, nie może zatem zmieniać miejsca pobytu, nie otrzymawszy z klasztoru na to pozwolenia.

Na twarz pani Julii wystąpiły rumieńce.

– A ty Ninko, jakiego jesteś zdania? – spytała, udając spokojną.

– Mam o pani zbyt wysokie pojęcie, – przerwał znów Tenczyński, zwracając się do Ninki – abym przypuszczał, że pani w kwestyi tej słuszności mi nie przyzna.

Patrzył na nią tak przenikliwie, jakby ją chciał zahypnotyzować.

I było w tym wzroku i błaganie, któremu się oprzeć nie umiała, i odcień surowości, niby nakazu, który zdawał się ostrzegać: „Uczyn, jak ja chcę, bo inaczej, gotów jestem w środkach nie przebierać!”

Ninka była zakłopotaną. Nikomu nie chciała wyrządzić przykrości, to też odezwała się dopiero po chwili milczenia, patrząc na Tenczyńskiego, aby się przekonać, czy zadowolonym będzie z jej odpowiedzi.

– Zdaje mi się, że pan Tenczyński ma słuszność. Muszę się we wszystkim stosować do woli przełożonych.

Pani Julia przygryzła wargi, ale nie dała za wygraną.

Ninkę objęła za szyję i mówiła pieszczotliwie:

– Moja jedyna, to wszystko są dziwactwa! Jeżeli chodzi ci o pozwolenie przełożonej, to można zaraz zatelegrafować i za sześć godzin będzie odpowiedź. Ty przecie Ninko, zawsze byłaś bardzo dobra, nie zrobisz mi tej przykrości, żeby odmawiać...

Ścisnęła ją serdecznie i zasypywała całusami. A całując ją, nieznacznie szepnęła do ucha tak, aby Tenczyński nie mógł zauważyć, ani dosłyszeć:

– Zrób to dla mnie. Ty nawet nie wiesz, jaka ja jestem nieszczęśliwa. Nie słuchaj jego: on tak mówi tylko, aby mi dokuczyć!

Ninka wyczekiwała pomocy od Tenczyńskiego, patrzyła na niego pytająco, gdyż mimo

tych słów pani Julii, zdecydowaną już była, widząc, jak mu na tem zależy, nie przyjmować zaproszenia pani Julii.

– Nie wiem, czy to byłoby grzecznie względem państwa Maryańskich – rzekł znowu Tenczyński. – Znaczyliby to, że pani już ma dosyć ich domu i towarzystwa.

Pani Julia zbladła.

Powtórna interwencja Tenczyńskiego i takie uporczywe wynajdowanie przeszkód, byle tylko Ninka nie korzystała z jej gościnności, było już niegrzecznością.

Rozumiał to i Tenczyński, ale wolał być niegrzecznym, aniżeli widzieć Ninke w domu pani Julii, gdzie nie miał wstępu.

Pani Julia zaczęła śmiać się nieco kurczowo chciała całą utarczkę w śmiech obrócić.

– Jesteś niezdobytą, jak widzę. Albo... już zdobytą i pilnie strzeżoną! Ej, brzydka dziewczyno, nauczyłaś się już dokuczać. Mój Boże! Tak się cieszyłam, że cię będę miała choć przez kilka dni!

– Możemy przecież i tak całe dni być razem – rzekła Ninka, chcąc załagodzić poprzednią odmowę.

– Niech i tak będzie! To dobrze! Codzień przyjadę po ciebie i będziemy jeździły na daleki spacer. A teraz, do widzenia! Muszę się śpieszyć, gdyż mam jeszcze parę wizyt.

Ninkę serdecznie uściskała, Tenczyńskiemu uprzejmie rękę podała i wyszła.

Musiała jednak przedłużyć jeszcze swoją wizytę.

We drzwiach spotkała panią Maryańską, z miasta powracającą.

Trzeba było wrócić do salonu i porozmawiać jeszcze chwilę o nudnych rzeczach.

– Mam nadzieję, że zastanę w kancelaryi pana Maryańskiego – rzekł Tenczyński.

Pożegnał się z paniami i wyszedł spiesznie. Był rozpromieniony. Myślał o Nince i odczuwał wielką radość ze swego zwycięstwa.

Ta droga, kochana „nowicyuszka” zrozumiała, iż on nie życzy sobie widzieć jej w domu pani Julii; nie umiała zrobić mu przykrości, ani oprzeć się prośbie, oczyma tylko wyrażonej... A zatem... czy znajdzie dość siły, aby powrócić do klasztoru? Nie! Bezwarunkowo nie!

Ale Tenczyński dalekim był od prawdy.

Spotkanie jego wywarło na Nince wrażenie nadzwyczaj przykre, a słowa, wyszeptane pod osłoną całusów, ciągle jej na myśl powracały:

„Nawet nie wiesz, jaka ja jestem nieszczęśliwa i pokrzywdzona. Nie słuchaj jego, on chce mi tylko tem dokuczyć!”

A więc i ona sama uważa się za pokrzywdzoną, a któż ją skrzywdził, jeśli nie Tenczyński, skoro posądza go jeszcze teraz o chęć dokuczenia? A zresztą, czyż ich zachowanie się sztywne i przymusowe nie dawało do myślenia, że coś zaszło między nimi? Przyjaźń i serdeczność nie przeistaczają się bez przyczyny w chłód i niechęć, a jeżeli jest niechęć zewnętrzna, to w głębi serca sączyć się musi żal i uraza za krzywdę, którą każdy uczciwy człowiek, zatem i Tenczyński, winien wynagrodzić.

To, co powiedziała pani Maryańska, iż obowiązkiem uczciwości ze strony Tenczyńskiego jest małżeństwo z panią Julią, znów nabierało wagi w oczach Ninki.

Ostatnimi czasy zaczęły w umyśle jej blednąć te skrupuły, powoli i jeszcze nieznacznie oddalały się od niej wszystkie względy; pozostawał tylko Tenczyński i jego uczucie.

Ale teraz znów się rozwiewały te marzenia nieuchwytnie... Ona przecież nie może stanąć im na drodze, odwracać od obowiązku, uczciwości i zadośćuczynienia krzywdzie...

Gdy znalazła się w swoim pokoju sama jedna, grube krople łez zaczęły toczyć się po jej twarzy: klasztor stanął jej w myśli i ta chwila ceremonii obłóczyn, kiedy ją przykrywano żalobnym całunem.

I pożałowała, że nie zamarły w niej wtedy wszystkie ludzkie uczucia, bo teraz nie dławilyby jej tęsknota i smutek.

I przyszło jej na myśl, że niejeden raz w życiu kładzie się całun na czemś, co zamiera;

niekiedy tym całunem przykrywa się serdeczne uczucie, nadzieję szczęścia, albo jakiś uśmiech życia – i nieraz jednocześnie wyrывa się z serca struny delikatne i szarpie bólem...

Osunęła się wreszcie na kolana i zaczęła szeptać cichą modlitwę.

Tego samego jeszcze dnia, Ninka spytała pana Maryańskiego, jak długo obecność jej w Warszawie będzie potrzebną, gdyż chciałaby jak najprędzej wrócić do klasztoru.

Pani Julia, odszedłszy od Ninki, mocno była wzburzona.

Powóz do domu odesłała, a sama zaczęła chodzić bez celu; myślała, że ruch i gwar uliczny rozpędzą gniew i oburzenie.

Miała chęć płakać, przesuwały się jej w głowie tysiące fantastycznych projektów zemsty, dokuczenia Tenczyńskiemu, upokorzenia go za arogancję i złośliwość.

A co najgorsza, on się teraz pewno z niej śmieje... życie jego układa się rozkosznie... na drodze swojej znajduje same kwiaty szczęścia... a ona cierpi!

Pani Julia taką ku niemu odczuwała nienawiść, że na myśl o nim drżały w niej wszystkie nerwy.

Spacer jej nie uspokoił, ale przeciwnie, rozegzaltowały ją jeszcze więcej własne myśli.

Wróciwszy do domu, zapytała zaraz na wstępie:

– Czy był kto?

– Nie, nikt nie był – odrzekł służący.

Było to małym rozczarowaniem, gdyż pani Julia spodziewała się zastać Downarowskiego.

„Lada chwila pewno przyjdzie” – pomyślała sobie i zaczęła nasłuchiwać odgłosu dzwonka.

Odczuwała potrzebę wywnętrzenia się ze swoich trosk i gniewów komuś takiemu, ktoby je podzielał i odczuł głęboko, a przecież nikt tak jej nie kochał, jak Beniaminek.

Śliczna jego twarzyczka nieustannie stała jej w myśli.

Porównywała jego ślepą miłość z chłodem i złośliwością Tenczyńskiego, i trzęsła się ciągle z oburzenia.

Ściemniało się już, gdy przyszedł oczekiwany.

Od jakiegoś czasu codzień przychodził i był w roli dawnego Beniaminka.

Zastał ją w małym saloniku, z głową na ręku opartą i zadumaną.

– Może przerywam jakie przyjemne marzenia? – rzekł, zbliżając się do niej.

– Nie marzę! Znadto jestem w smutnym usposobieniu – odrzekła pani Julia, przywitawszy się z Downarowskim i wskazując mu miejsce obok siebie.

– Jakaż tego przyczyna? – spytał z niepokojem.

– Cudza krzywda i nieświadomość.

Downarowskiego wzruszyły, a jednocześnie zachwyciły słowa pani Julii.

Wierzył on w nią znowu, jak w Ewangelię.

– Co się stało? – zapytał.

– Ach! gdyby pan wiedział, jaka ja jestem oburzona! Jak ja się martwię tą... biedną Ninką Olszyńską!...

Głos jej drżał, gdy słowa te wymawiała.

– Czy pannę Olszyńską spotkało jakie nieszczęście?

– Pewno, że to nieszczęściem można nazwać, jeżeli się jest w szponach drapieżnego zwierzęcia!

Downarowski nie rozumiał jeszcze tej mowy alegorycznej; tymczasem pani Julia ciągnęła dalej:

– Niech pan sobie wyobrazi!... Ach!... Nie wiem jak kogo, ale mnie tak oburza ludzki egoizm, że spokojnie mówić nie mogę... Pan nawet nie przypuszcza, jakim nieuczciwym egoistą jest Tenczyński. To potwór, nie człowiek!...

Pierwszy raz, od czasu powrotu pani Julii do Warszawy, Downarowski usłyszał nazwisko to, przez nią wymówione.

Coś w nim zadrżało, i błysnęła myśl, że może rozjaśni mu się przyczyna tej ohydnej plotki, która kursowała po Warszawie.

– Niech pan sobie wyobrazi... że Tenczyński, jak tego byłem pewną, nie tracił czasu w Zaleszynie, ale raczył uprzyjemnić sobie pobyt bałamuceniem Ninki Olszyńskiej! No! Czyż to nie jest szczyt cynizmu bałamucić nowicyuszkę? Naturalnie, dla niego to było zabawką, ale to biedactwo tak sobie nim głowę zawróciło, że patrzy teraz w niego, jak w tęczę... Wystarczy raz na nich spojrzeć, aby wszystko dobrze zrozumieć. Czy się to godzi tak postępować, mieszać spokój takiego młodego stworzenia, bo ręczę, że ani mu w głowie ożenić się z nią! Doprawdy, tak mi żal tej biednej Ninki, że nie mogę spokojnie mówić o niej! Wyobrażam sobie, jak ona musi się czuć nieszczęśliwą, mając za kilka dni powrócić do klasztoru. A on napewno nie zada sobie trudu, aby ją zatrzymać! Biedactwo!. Pewno, że tam wróci, ale z rozpaczą! Gotowa sobie jeszcze życie odebrać!

Na twarz pani Julii wystąpiły rumieńce; wzruszały ją własne słowa.

Prześlicznie jej było z tem współczuciem.

– Pani, będąc tak dobrze z panną Olszyńską, mogłaby ją rozczarować względem tej „osobistości...”

– Ja też tego pragnęłam. Prosiłam, żeby Ninka przeprowadziła się do mnie na ten czas, dopóki ma być w Warszawie; mogłabym jej takim sposobem, nieznacznie, wybić z głowy te niedorzeczności, ale czy pan może sobie wyobrazić, że Tenczyński, przewidując, iż u mnie me będzie mógł prowadzić dalej tego bezecnego flirtu, przekonał ją, że powinna być nieustannie u Maryańskich; naturalnie dlatego, że jemu jest z tem wygodniej, bo jest u nich jak u siebie w domu.

– Co za arogant i impertynent! – zawołał żywo Downarowski.

– I niech pan przyzna, czy nie mam słuszności być wzburzoną? Najpierw ta nieuczciwość względem Ninki, a później, przecież i mnie ubliżył, bo tłumaczył jej, wobec mnie, że nie powinna mieszkać u mnie, jest ubliżeniem, a nawet zniewagą!

„Pożałuje on tego!” —szeptał w duchu Downarowski i przysięgał, że jeżeli Tenczyński wpadnie mu w ręce, to mu ta jego arogancja płazem nie ujdzie.

Jednocześnie ujął ręce pani Julii, i ściskając je mocno, mówił z przejęciem:

– Pani Julio!... Niech pani nie dręczy siebie i... mnie. On nie wart, żeby na niego zwracać uwagę... Pani Julio! Niech się pani uspokoi... Droga pani Julio!

Ale słowa Downarowskiego roztkliwiły ją jeszcze więcej, egzaltowała się fikcyjną fantastyczną swoją opowieścią o krzywdzie Ninki, która przy pierwszych słowach rozmowy była tylko wybiegiem deklamacyjnym, teraz zaś naprawdę zaczęła ją wzruszać.

Rozkołysały się jej nerwy i zaczęła płakać, szlochając, jak małe dziecko.

Sama nie wiedziała, dlaczego płacze. Płakała, jak wiele histerycznych kobiet, które niekiedy płaczą z powodu mało znaczącej drobnostki, przypominając sobie jednocześnie wszystkie dawniejsze urazy, aby uzasadnić ten wybuch żalu.

Downarowski był w rozpacz, nie wiedział co zrobić z panią Julią i z sobą samym.

Patrzył na nią nieustannie i mówił głosem przerywanym:

– Pani Julio!... Pani Julio!... Droga pani Julio!...

A ona tymczasem, płacząc, zaczęła mówić, gdyż czuła potrzebę wypowiedzenia całego żalu, jaki czuwała względem Tenczyńskiego:

– Jemu chodziło o to, ażeby mi dokuczyć... przykrość zrobić... Bo to dla niego największa, przyjemność mózgu kogo zranić, a później wyśmiać i wyszydzić!... Pan go nie zna tak, jak ja go znam: to jest potwór! kamienie mają więcej serca... Pamięta pan?... mówiłam panu jeszcze podczas wiosennych wyścigów, że mam przecucie, iż ten człowiek stanie się przyczyną moich łez... Sprawdziły się moje przecucia.... Ach, gdyby pan wiedział!...

Tu płacz mowę jej przerwał, a Downarowski słuchał jej z oddechem zapartym, gdyż widział, że pani Julia bliską jest wyjawienia mu tego szczegółu życia, który myśli jego dręczył nieustannie.

– Ach, gdyby pan wiedział!... – ciągnęła dalej – gdyby pan wiedział!...

Tu przyszło jej nagle na myśl, że mogłaby odrazu jednym zamachem rozwiązać wszystkie wątpliwości, jakie mogły się jeszcze gnieździć w zakątkach jego umysłu, a dotykały nieporuszonej nigdy dotychczas między nimi kwestyi „alpejskiej sielanki.”

– Gdyby pan wiedział... do czego ten człowiek jest zdolnym... Gotów pan nie uwierzyć temu, co powiem... Ten człowiek... tak podle ze mną postąpił... że... nie każdy dałby wiarę... Pan przypomina sobie może, że on pojechał niedawno, niewiadome dlaczego, na oblóczyny Ninki Olszyńskiej. Później wyszedł na jaw jego czyn zdradziecki. Zaszczycił mnie swoją opieką podczas podróży, choć nikt go o to nie prosił... i wie pan, czem uwieńczył swoją uprzejmość? Rozmyślnie wprowadził mnie do mylnego pociągu i... podstępem... zawiózł do Wiednia! Cha! cha! Zachciało mu się podróżować ze mną... jak... z innymi...

Downarowski nie spuszczał z niej wzroku. Drżały w nim wszystkie nerwy z niepokoju o dalszy ciąg tego opowiadania. Szafirowe jego oczy były prawie czarne od wzruszenia, a na czole złożyła się głęboka fałda.

– Jak on śmiał... Jak on śmiał... – mówił przez zęby.

– On ośmielił się na wszystko... Ale chwała Bogu, że nie trafił na żadną gąskę... Zaraz w Wiedniu, wysiadłszy z wagonu, postarałam się zniknąć mu z oczu, a w tydzień później byłam już w Biarritz.

Downarowski odetchnął swobodnie.

– Ale trzeba mieć moje szczęście! Niech pan sobie wyobrazi, że tym samym pociągiem jechał hrabia Zdziś... i ukuł na moje conto najohydniejszą plotkę!...

– Ale nic to pani nie powinno wzruszać. Powinna pani być wyższą nad te wszystkie podłości.

– O, ja wiem!... Ale gdy sobie pomyślę, że Tencyński korzysta pewno z tego, i mówiąc o mnie, uśmiecha się i przybiera pozy zdobywcy!... Ach, Boże! Jak ja jego nienawidzę!...

Ręce zaciśnięte do oczu przyłożyła i zaczęła płakać gwałtownie.

Był to już szczery płacz bezsilnej nienawiści.

Downarowski, widząc płaczącą panią Julię, odchodził prawie od zmysłów.

Drżały mu na ustach gorące słowa miłości, zakłęcia, aby się uspokoiła, aby na nic nie uważała, że on ją tak kocha, iż wyrazić tego nie może i gotów byłby życie swoje za nią oddać. Ale głos uwiązał mu w gardle.

– On wiedział, że dla mnie byłoby to największą przyjemnością mieć Ninke u siebie, i dlatego podsunął jej jakieś głupie wymówki! Ona, naturalnie, wszystko za nim powtarza, bo jest zahypnotyzowana! Ach! Gdyby pan wiedział, jak on na nią patrzył! jak nakazywał oczyma, że ma odmówić! Istny rozbójnik! Widziałam gdzieś w jakimś ogrodzie zoologicznym jakieś węże, które zupełnie tak samo patrzyły na ptaki, które im przynoszono do jedzenia... Ach, biedna ta Ninka! I znów strumień łez popłynął. Tym razem zdawało się pani Julii, że było to współczucie dla Ninki, której nienawidziła jeszcze przed godziną.

Downarowski był zamyślony i ręką tarł czoło.

Nie, on nie może patrzeć z założonymi rękoma na płacz pani Julii!

Naraz zerwał się z siedzenia, uściskał ją za rękę i rzekł szybko:

– Żegnam panią! Niech pani będzie spokojna i na mnie liczy. Panna Olszyńska dziś jeszcze sprowadzi się do pani.

Wybiegł szybko do przedpokoju, pośpiesznie włożył futro, i już go nie było, jakby się obawiał zapytania lub opozycji.

Panią Julię niemało zdziwił ten nagły wyskok.

Nieco się nawet zlekła, gdyż przyszło jej na myśl, że ten „naiwny dzieciak,” tłómaczący

sobie wszystko dosłownie, gotów popełnić jakie szaleństwo, i na nią spadnie cała odpowiedzialność.

Łzy jej odrazu obeschły i opadło całe wzruszenie, wywołane w części bujną fantazyą, w części urazą do Tenczyńskiego.

Ogarnął ją niepokój i zaciekawienie, co też Downarowskiemu mogło przyjść do głowy i dokąd doprowadzi go ten zapal?

Pewno pobiegnie do Maryańskich, naopowiada Nince niestworzonych rzeczy, zrobi się wielki rumor... ale... o to już mniejsza... i tak rozmaicie mówią o niej ludzie... następstwem tego zaś będzie, że najdalej za pół godziny wystraszona Ninka zjawi się u niej.

Zawsze ten Downarowski na coś się przyda. Ach... niech tylko ta Ninka już raz będzie u niej... bez niczyjego towarzystwa, ani kontroli!

Pani Julia uśmiechała się z tryumfem.

Nie takim, to innym sposobem, ale zawsze na swoim postawi.

Niech tylko ta Ninka przyjdzie do niej, a wtedy... kochany panie Tenczyński!... pożegnaj się z twojami planami... Nie siałeś szczęścia, to też go i zbierać nie będziesz!

Niepokoila się jednak o Downarowskiego, wiedząc, jak głęboko przejęty był tem wszystkim, co od niej usłyszał.

Ale jednocześnie odurzał ją ten niepokój. Z tej jego interwencji wyniknąć mogło coś ciekawego, co ją mogło zająć i zabawić, podniecić nerwy i być strawą dla niełubiącej próżnować imaginacyi.

Podeszła do okna, aby zobaczyć, czy nie dojrzy jeszcze zdaleka swego ukochanego Beniaminka.

Ale nikogo z przechodniów nie można już było rozpoznać, ciemność na dobre zapadała, latarnie były zapalone, a światłość ich rzucała słabe smugi jasności do ciemnego jeszcze salonu pani Julii, oświetlając fantastycznie niektóre sprzęty, stojące naprzeciw okna, łamiąc się w złoceniach ram i kryształach kandelabrow.

Pani Julia nie kazała lamp przynosić, ale usiadłszy na małej kanapce, pozwoliła unosić się rozmarzeniu, wspomnieniom Tenczyńskiego i Beniaminka, łez wylanych, i fantastycznym tworom wyobraźni, nieuchwytnym i nieokreślonym, jak delikatne światło, błakające się po jej salonie.

Downarowski tymczasem, wyszedłszy od pani Julii, biegł bardzo szybko, lecz w pierwszej chwili nie był pewny, dokąd iść zamierza.

Skoro znalazł się na placu Św. Aleksandra, przystanął, gdyż nie wiedział, w którą stronę ma się zwrócić.

Pierwszą jego myślą, jeszcze u pani Julii, było pójść do panny Olszyńskiej, powiedzieć, jak wielką przykrością była jej odmowa, i prosić jej, aby te kilka dni pobytu swego w Warszawie poświęciła przyjacielce.

Ale nie wiedział, gdzie mieszkają państwo Maryańscy, nie znał ani ich, ani Ninki.

Przypomnienie sobie tego faktu ostudziło nieco jego zapal.

Przystanął, nie wiedząc, w którą stronę kierować ma swoje kroki; później, zupełnie machinalnie, bez żadnego określonego planu, zaczął iść wolno ku Nowemu Światu i zastanawiać się nad swoją rolą.

Powiedział pani Julii, że panna Olszyńska będzie u niej jeszcze tego wieczoru, i wybiegł, jak opętany.

Trzeba zatem zdobyć pannę Olszyńską i wywiązać się z tego, co powiedział.

Ale jak?

Gdzie jest panna Olszyńska? U Maryańskich. A gdzie mieszkają Maryańscy? Niewiadome.

Biuro adresowe już zamknięte; możnaby się dowiedzieć od młodego Maryańskiego, ale pociągałoby to drażliwe wyjaśnienie, dlaczego w porze tak niezwyklej chodziło mu o złożenie wizyty jego rodzicom.

A zresztą, jak uzasadnić te interwencje między panią Nessel i panną Olszyńską?

Rola jego była bardzo nieokreślona i samozwańcza.

Wracać do pani Julii i pytać się o adres Maryańskich byłoby śmiesznością.

Downarowski tak był pogrążony w swoich myślach, iż nie uważał, że tramwaj zadzwonił mu tuż nad uchem, i ktoś go na chodnik silnie popchnął. Nie uważał wcale na to intermezzo

Myślał o Nince.

Musi przecież wymyślić jakibądź sposób, żeby ją widzieć i sprowadzić do pani Julii.

Bo jeżeli nic nie przedsięwzięmie, w jakiejże roli siebie postawi?

Cóż w takim razie znaczyć będzie to gwałtowne opuszczenie mieszkania pani Julii i z pewnością siebie rzucona obietnica:

„Dziś jeszcze panna Olszyńska sprowadzi się do pani...”

Przyszło mu na myśl, że tam pewno pani Julia czeka z niepokojem rezultatu tych słów, zaciekawiona, jakie będą następstwa tej jego chęci uczynienia dla niej czegośkolwiek.

I czegoż się doczeka?

Ani przypuszcza nawet, że on, ten, który mówił jej nieraz, że oddałby za nią życie, teraz, gdy widzi ją pierwszy raz zgnębioną i płaczącą, nie wie, jak temu zaradzić, sam traci głowę i tramwajom na drodze staje!

Tak być nie może!

Czuł, że na tę myśl krew uderzyła mu do głowy i kroku przyśpieszył. Dobrze. Jakim bądź sposobem dowie się, gdzie mieszkają Maryańscy – o to mniejsza – i pójdzie do nich. Ale co im powie? Wezmą go za waryata, albo za rzezimieszka, który używa takiego podstępu, aby przepatrzeć rozkład mieszkania, i powiedzą:

„Nie mamy przyjemności znać pana. Jeżeliby pani Nessel miała jakiś interes do panny Olszyńskiej, to prawdopodobnie nie uciekałyby się do osób trzecich, nieznanomych, ale albo napisałyby, albo sama przyszła. A jeżeli to nie pani Nessel pana przysyła, to z jakiejże racy i miesza się pan w nieswoje sprawy?”

Wystrychnąłby się na dudka, z kwitkiem odszedł, a tymczasem pani Julia nie przestałaby się niepokoić i wyczekiwać czegośkolwiek. A zresztą, czyż jest tak naiwnym, że przypuszcza, iż panna Olszyńska brałaby na seryo jego słowa? Czy dlatego, że jakiś człowiek nieznanomy wpadnie do niej wieczorem ni stąd, ni zowąd i powie jej:

„Pani, hrabina Nessel tonie we łzach, rozpacza, gdyż pani nie przyjęła jej zaproszenia, uważa to sobie za ubliżenie i brak zaufania!” – czy dlatego panna Olszyńska zbierać ma zaraz swoje manatki i pędzić razem z nim – pocieszać rozkapryszą panią Julię?

Co najwyżej, zdziwi się, weźmie to za jakąś mistyfikację, której wyjaśnienie odłoży do dnia następnego, a jego rola i mina jakie będą?...

Downarowski, idąc ciągle prosto przed siebie i będąc na rogu Krakowskiego i Królewskiej, doszedł do tego przekonania, że całe znalezienie się jego u pani Julii nie miało sensu ani za pół grosza.

A jednak powiedział sobie: „Trzeba brnąć dalej, bo co pomyśli sobie o nim pani Julia?”

Zaczął później przypuszczać, że jakiebądź byłyby jego usiłowania, muszą pójść na marne, gdyż panna Olszyńska, kochając Tenczyńskiego, nie postąpi za żadną cenę wbrew jego życzeniom.

Zatem pobyt jej u pani Julii zależnym był tylko od Tenczyńskiego.

Naraz przystanął, zdawał się namyślać przez krótką chwilę, później zawołał na dorożkę i kazał się zawieźć do Tenczyńskiego.

– Pan hrabia poszedł do Bruhlowskiego hotelu na obiad – powiedziano mu przy bramie.

Pojechał i tam, ale jakiś kelner powiedział mu, że hrabia Tenczyński zjadł już obiad i pojechał, jak się zdaje, do klubu.

Na szczęście, w klubie go już zastał.

Nie chciał iść tam, gdzie byłoby najgwałtowniej, został w przedpokoju, a Tenczyńskiego kazał

wywołać.

Doznał silnego wzruszenia i uczuwał wielką niechęć, graniczącą nawet z nienawiścią, na myśl, że za chwilę zobaczy tego człowieka, który wyciskał łzy z oczu pani Julii.

Gdybyż go mógł zdławić!...

Ale postanowił zachowywać się spokojnie i naturalnie.

Tenczyński wyszedł do niego z uśmiechem na twarzy, znać było, że był w doskonałym humorze i rozbawiony.

– A, witam pana! Rad jestem, że pana widzę! Czem mogę służyć?

Uprzejmie rękę mu podał, zapominając o dawnej niechęci, pochodzącej z tych czasów, kiedy był o niego trochę zazdrosny.

Ale uderzył go wzburzony wyraz twarzy Downarowskiego.

– Proszę... niech się pan nie zdziwi... tem, co powiem – jękał. – Byłem przed chwilą u pani Nessel... zastałem ją ogromnie rozżaloną i zmartwioną... płakała nieustannie... nie mogła się uspokoić...

Tenczyński nagle spochmurniał. – Przepraszam pana, – przerwał – nie rozumiem, dlaczego pan mnie przyniósł tę wiadomość.

– Proszę o chwilę cierpliwości – odrzekł Downarowski, nieco już zniecierpliwiony słowami Tenczyńskiego. – Podobno panna Olszyńska nie chciała zgodzić się, aby zamieszkać przez kilka dni u pani Nessel... choć ją o to bardzo prosiła, i właśnie ta odmowa tak ją dotknęła... Litość bierze patrzeć na taką płaczącą kobietę... Przyszło mi na myśl, że pan, będąc podobno krewnym panny Olszyńskiej i widząc ją często może... wpłynie na nią, aby nie odmawiała pani Nessel takiej drobnostki... Cóż jej to może szkodzić?.. Pani Julia bardzoby się z tego ucieszyła... Nie znam panny Olszyńskiej, nie mogę jej tego powiedzieć... ale możeby pan jej to wytłómaczył...

– Ja????!!!

Tenczyński zaczął zapatrywać się na te kwestyę ze strony komicznej.

Ten tracący głowę zakochany młodzik, rozciągający opiekę nad płaczącymi kobietami i „protegujący” kogo? – panią Julię! – był poprostu nieporównany.

Tylko w takiej młodej głowie mógł wylegnać się poryw podobny.

– Zdaje mi się, – rzekł, uśmiechając się ironicznie, – że jeżeli pani Nessel jest taką wielką przyjaciółką panny Olszyńskiej, to najlepiej one same rozjaśnią między sobą wszystkie kwesty i pogodzą się. Przyzna pan, że wszelkie nasze mieszanie się do zatargu kobiecego byłoby... bardzo dziwne. Byłoby to, według mnie, kładzenie palców między drzwi.

Downarowski wziął ostatnie słowa za aluzję do niego skierowaną.

Niecierpliwiło go to, bo odczuwał, iż jego postępowanie mogło być rzeczywiście złośliwie tłómaczone, jak też i to, że Tenczyński tak pogardliwie i obojętnie przyjmuje wiadomość o płaczu pani Julii.

– Mniejsza o to, czemu to było. Faktem jest, że jeżeli ktoś posiada zdolność odczuwania cudzej przykrości i mógłby usunąć tę przykrość, to obowiązkiem jego jest zrobić coś z siebie, zadać sobie w tym celu trochę fatygi, tembardziej, jeżeli chodzi o kobietę, która nikomu nic złego nie zrobiła, a którą wszyscy tylko dręczą, niewiadome po co i dlaczego.

Tym razem uśmiech Tenczyńskiego stał się prawie śmiechem.

Ten chłopak jest przepyszny ze swoim zapalem do opiekowania się „uciśnioną niewinnością!”

Pani Julia pewno ani przypuszcza, jakiego rycerza trzyma w ręku.

Nie poszły na marne romanse pani de Genlis i Craven, którymi Downarowski karmił swoje lata młodociane.

Downarowskiego coraz więcej drażniła ironia wyraźna w każdym rysie Tenczyńskiego.

– Panie Downarowski, niech mi pan wierzy, że najlepiej będzie, gdy się do tej sprawy wcale mieszać nie będziemy. Wszystkie kobiece gniewy tyle znaczą, co wiatr w polu.

Poobrazają się, później przeproszą. Niema się czem kłopotać. Kruk krukowi oka nie wykole. A zresztą, pan widocznie nie zna pani Julii, jeżeli pan rozmaite jej płacze i gniewy bierze na seryo. U niej zawsze śmiech i płacz w parze chodzą. Ręczę, że już zupełnie zapomniała, iż kiedykolwiek obrażoną była na pannę Olszyńską. Dajmy pokój temu wszystkiemu.

Downarowski czuł w głębi serca, że Tenczyński ma słuszość, iż najlepiej byłoby nie mieszać się w cudze sprawy, a szczególnie w zatargi kobiece, ale jednocześnie gniew w nim wzbierał coraz większy, o to właśnie, że Tenczyński ma słuszość, ten Tenczyński, którego on nienawidził, a który w dodatku jeszcze uśmiechał się ironicznie i na jego zapal i wzruszenie dawał obojętne, zimne odpowiedzi.

Przypomniała mu się opowieść pani Julii o jego postępku nieuczciwym, łzy, wyciśnięte z jej oczu tem wspomnieniem, i nagle taka go opanowała nienawiść względem Tenczyńskiego, że nie mógł maskować dłużej gniewu i oburzenia, które wrzało w nim nieustannie od rozmowy z panią Julia.

– Proszę pana – rzekł żywo – nie wyrażać się lekceważąco o pani Julii!

Tenczyński zmarszczył się.

Cho! cho! Obrona „uciśnionej niewinności” zaczyna być nieco za szorstką i w złym guście.

– Zdaje mi się, – odrzekł z uśmiechem – że nie mamy sobie już nic do powiedzenia. Nie chcę pana dłużej zatrzymywać, gdyż pewno pilno panu do pani Julii. Nie chciałbym ukrócić... hm... chwil przyjemnych.

Tenczyński, wymówiwszy te słowa, zrobił taki ruch, jakby chciał wstać, rzuciwszy jednocześnie na Downarowskiego tak pogardliwe i szydercze spojrzenie, że ten przestał już zdawać sobie sprawę z tego, co mówi.

Ironia Tenczyńskiego doprowadziła go do ostateczności.

– Zakazuję panu mówić w ten sposób! Jakiem prawem poniża pan tę kobietę? Czy dlatego, że się panu z rąk wysliznęła? Nizka zemsta! Na postępowanie takie niema nazwy.

Tenczyński pobladł trochę, ale wysilił się Jeszcze na zimną krew.

– Zdaje mi się, że nadto się pan przejmuję swoją rolą... Don Kiszota i zapomina, że ja nie jestem wiatrakiem.

– O, wiem aż nadto dobrze, kim pan jest! Przedewszystkiem tym, który nadużywa dobrej wiary kobiet uczciwych!

– Panie Downarowski!... Ta komedia zaczyna mnie denerwować... Nie lubię, gdy mnie kto zabawia rozmową o moich dawnych... przyjaciółkach. Co mnie może obchodzić śnieg przeszłoroczny, albo wysortowane pantofle?

– To, co pan mówi, jest podłością! – przerwał żywe Downarowski.

Na czole Tenczyńskiego sfałdowała się głęboka zmarszczka.

Oczy jego błyszczały gniewem; rzekł przez zęby, akcentując każde słowo:

– Chyba się pan nie zastanowił nad tem, co pan powiedział, bo inaczej...

– O, nie! – przerwał Downarowski – mówię z zupełną świadomością i mogę powtórzyć: Postępki pana to jeden szereg podłości. A jeżeli pan czuje się obrażonym, to i ja nie mogę znieść lekceważenia, z jakim pan wyraża się o pani Julii. Gotów jestem w każdej chwili dać panu satysfakcję.

– Naturalnie, że inaczej być nie może! – odrzekł Tenczyński i pogardliwie wzruszył ramionami. – Ale proszę teraz, – rzekł poważnie i bardzo stanowczym głosem – proszę zdobyć się przez jedną chwilę na nieco spokoju i równowagi. Pan szukał ze mną awantury z powodów... wiadomych mi. Proszę mi nie przerywać. Chce pan wyrzucić na mnie swój gniew i zemstę za „uciśnioną niewinność...” hm, bardzo to pięknie. Od tego pan ma dwadzieścia dwa lata, ażeby się tak kochać naślepo i lecieć na złamanie karku niewiadome dokąd i po co. Wyzywa mnie pan na pojedynek? Dobrze! Ja mogę się z panem pojedyknąć, mnie to nic nie szkodzi. Mogę dać panu satysfakcję za „uciśnioną przeze mnie niewinność,” ale wcale

sobie nie życzę, aby przy wyjaśnieniu sekundantom naszym przyczyny pojedynku wymieniane było nazwisko panny Olszyńskiej. Nie życzę sobie, aby figurowała razem z „uciśnioną niewinnością,” jako przyczyna naszej sprzeczki. Proszę, niech pan sobie ten trud zada i postara się przybrać wygląd... człowieka normalnego i spokojnego. Pójdzie pan ze mną, siądzie pan do gry, zaczniemy się sprzeczać, i wyzwie mnie pan na pojedynek. Trzeba, aby karty były oficjalną przyczyną naszego nieporozumienia. Tylko proszę nie zapomnieć, że to nie ja pana, ale pan mnie wyzywa.

—Niech i tak będzie – odrzekł Downarowski, który już nie umiał niczemu się opierać, gdyż w głowie mu się kręciło od silnych wrażeń.

W kilka chwil później skierowali się w głąb klubu i zasiedli do zielonego stolika.

– Przyznaj się, że w całej tej sprawie *il faut chercher la femme*. Niema pojedynku bez spódnicy w gruncie rzeczy.

Mówił tak do Tenczyńskiego hrabia Zdziś, który miał być sekundantem w pojedynku z Downarowskim.

Tenczyński pogardliwie ręką machnął.

– Może niedalekim jesteś od prawdy. Ale wracając do Downarowskiego, nie myślałem, żeby w naszych czasach uchował się taki dudek... Choć swoją drogą, to jest bardzo szlachetny chłopak i z dobrimi porywami. Szkodaby go było, gdyby się zmarnował.

– Dlaczegożby się miał zmarnować? Przecież chyba nie masz zamiaru zabijać go! Nie mam cię za naiwnego i nie przypuszczam, żebyś był zazdrosny o... panią Nessel.

Tenczyński udał zdziwienie.

– Skądże ci ni stąd ni zowąd pani Nessel na myśl przyszła?

– No, mój Władziu, już tylko ze mną nie graj komedyi! Opowiadaj sobie komu chcesz, żeś się z Downarowskim przy kartach pokłócił, ale nie mnie.

Tenczyński pogardliwie wzruszył ramionami.

– Wiesz co? Tutaj mówili niektórzy, że masz się z nią żenić.

– Chybabym zwaryował!

– Ja też to odrazu mówiłem, że to nieprawda. Gdybyśmy chcieli żenić się ze wszystkimi temi paniami, które się dla nas „poświęcają,” tobyśmy potrzebowali przejść na wiarę mahometańską.

– A zresztą, jakżebyśmy wyróżnili te, które się dla nas „nie poświęcają?” – rzekł Tenczyński.

– No, przypuścemy, że takich niema, a jeżeli są, to mówić o nich nie warto.

Tenczyński uśmiechnął się, ale nic nie odpowiedział.

Ninka stanęła mu w myśli, i przekonał się, że jużby się w tej kwestyi nie zrozumieli z hrabią Zdzisiem, chociaż dawniej szeroko nieraz rozprawiali o kobietach i zawsze byli jednakowego zdania.

Przyszło mu na myśl, że ten jego przyjaciel szerokoby oczy otworzył, gdyby usłyszał, że on, Tenczyński, nosi na dnie serca bardzo wielką cześć i uczucie dla istoty, którą kochał, dlatego przedewszystkiem, że była bardzo dobrą i o sobie nie myślała, a serce i myśli miała białe, jak śnieg albo lilie.

Zapatrywania hrabiego Zdzisia na „kwestye kobiecą” zamykały się w określeniu bardzo krótkim i węzłowatym:

Każda z kobiet była dla niego albo zabawna, albo nudna.

Do zabawnych zaliczały się te, które się „poświęcały,” które krótszą lub dłuższą drogą doprowadzić było można do takiej zabawki, jak Tenczyńskiego „alpejska sielanka,” u których białe oznaczało czarne, a czarne – białe, i które najsurowiej sądziły grzeszki powszednie swoich przyjaciółek.

Nudnemi zaś były te, obok których stało widmo ołtarza, intercyzy, obowiązku sumienia, szacunku, uczciwości itd., i cała paka innej chińszczyzny, wymyślona na utrapienie takich, jak hrabia Zdziś, ładnych chłopców.

– Nie uwierzysz, jak mnie nudzi ten pojedynek! – rzekł Tenczyński, rozciągając się wygodnie na otomanie. – Miałem się zawsze za człowieka cywilizowanego, a tu tymczasem muszę sam sobie kłam zadać i pojedynkować się, jak bursz niemiecki, albo pierwszy lepszy Don Juan z przed lat pięćdziesięciu. *Dieu, que c'est stupide!*

– No, ostatecznie moglibyśmy wszystko tak ułożyć, żebyście się pogodzili. Pojedynek jest komedią, i zgoda także jest komedią; na co grać dwie komedye, jeżeli jedną można się wykręcić bez psucia nabożów i narażenia się na katar. Winszuję, gdzieś tam w lesie zdejmować futro na takie zimno! Brrr!... Czy tak, czy owak, zawsze sobie na końcu „dacie buzi.”

– Nie możemy się tak pokojowo pogodzić, gdyż temu smarkaczowi należy się jakaś naučka za rozmaite głupstwa, które mi wyrecytował. Nie masz pojęcia, co on nagadał. Miałem ochotę kazać go służbie za drzwi wyrzucić, ale nie chciałem robić „esklandry.” A zresztą, jemu tak gwałtownie chce się tego pojedynku, jak szóstoklasiście pierwszego fraka. Trzeba mu zrobić tę przyjemność.

– Nie mam nic przeciwko temu. Ale pomyśl, mój drogi, że bądź co bądź, zawsze tu się igra z życiem.

– Cha, cha, cha! – Tenczyński wybuchł śmiechem i spojrzał na hrabiego Zdzisia pogardliwie i szyderczo.

Dzika byłaby chęć igrać z życiem wtedy właśnie, kiedy to życie szczęściem się do niego uśmiecha.

Ninka stanęła mu w myśli i jej oczy pogodne, może łzami zalane na widok martwych zwłok jego.

Nie, tego nie będzie.

– Czyż nie mam pierwszego strzału? Mogę go albo na miejscu zabić, albo... w bok wystrzelić... Prawdopodobnie zrobię to ostatnie. W takim razie i on będzie obowiązany tak samo ze mną postąpić, wystrzelić tylko dla formy. Później, tak jak powiadasz... „damy sobie buzi,” i będzie *finita la comedia*. Przecież nie będę narażał swojego i cudzego życia dla jakichś kobiecych komeraży i egzaltacji. Nie jestem dwudziestodwuletnim Downarowskim.

– Najzupelniejszą masz słuszność – odrzekł hrabia Zdziś.

Nie pierwszy to już raz brał udział w tego rodzaju pojedynku.

Bardzo często zdarzał się w świecie taki wypadek, że jedynym punktem wyjścia był pojedynek, chociaż obiedwie strony najmniejszej do tego nie miały chęci. Trzeba jednak nieraz zgodzić się na taką ostateczność, jeżeli pozory tego wymagają.

Zwykle w takich razach jeden przeciwnik strzela na prawo, drugi na lewo, albo też jeden w niebo, drugi w ziemię – i już po wszystkim, a przyjaźń nigdy nie bywa zakłóconą przez takie intermezzo.

– Biedna pani Julia! – rzekł hr. Zdziś. – Nawet nie będzie miała tej satysfakcji, żeby ktoś umarł z jej powodu... Dopieroż miałaby używanie! Idealne byłoby dla niej pole do rozmaitych malowniczych i tragicznych demonstracji. Wiesz co?... w każdym razie ten pojedynek to będzie jakaś różnaitość i zabicie czasu. Ot, świetna myśl! Będzie można na ten temat wymyślić dwadzieścia niemożliwych historii arabskich i każdemu opowiedzieć co innego. Cha, cha, cha! Zamiesza się w naszym światku, jak w kotle czarownicy!

– Proszę cię, tylko nie rób plotek na mój koszt.

– Cóż ci to szkodzi? I tak jest już dosyć gawęd o tobie i o pani Julii. W każdej mojej historii będziesz bohaterem, a mnie to będzie ogromnie bawiło narobić nieco mistyfikacji i zamieszania. Świat jest taki nudny, że niekiedy niewiadome co z sobą robić i czym sobie myśli zajmować. Doprawdy, gdyby jeszcze nie było klubu, toby człowiekowi przyszło

zwaryować.

Tenczyński uśmiechnął się z politowaniem, ale nic nie odpowiedział.

– No, no! – ciągnął hrabia Zdziś. – Pani Julia zaczyna być coraz więcej jaskrawa. Dopiero co była wasza wycieczka w Alpy, teraz znowu ten pojedynek... niewiadomo, co stanie się za miesiąc, albo za tydzień... Ona wkrótce będzie zupełnie niemożliwa. Oby tylko jak najprędzej!

– Jeżeli Eustachy Nessel polować nie przestanie i nie zjawi się w Warszawie – z uśmiechem rzekł Tenczyński. – To jedyny człowiek, z którym się nieco liczy i którego się nieco boi. On ją zawsze powstrzymywał w wielu zapędach.

– Prawda! O Nesslu zupełnie zapomniałem. To niewygodny opiekun.

– Hrabia Zdziś zaczął powoli w zamyśleniu dym z ust wypuszczać i przymrużonymi oczyma wpatrywał się w stojące naprzeciw niego krzesło z łosich rogów.

Po chwili rzekł jakby do siebie:

– Ten Nessel nie byłby teraz bardzo potrzebny, kiedy flirt z Downarowskim jest w całej pełni.

Skoro po jakimś czasie Tenczyński pożegnał go i odszedł do siebie, hrabia Zdziś siedział jeszcze dość długo zamyślony; niekiedy się uśmiechał do swoich myśli, jak uczeń, który się szykuje wypłatać figla najsurowszemu z profesorów.

Nagle siadł przy biurku, i zmieniając charakter pisma, napisał list następującej treści:

„Serdeczni przyjaciele wyczekują niecierpliwie przyjazdu pańskiego do Warszawy, wiedząc, że niektóre szczegóły ze świata mogłyby pana mocno zająć. Zdaje mi się, że do takich należy wycieczka do o Wiednia i w Alpy hrabiny Julii Nessel i mający się odbyć we czwartek pojedynek dwóch jej adoratorów.”

Nie podpisał się wcale, kopertę zaadresował do Eustachego Nessla, później zadzwonił na służącego i kazał list ten natychmiast wrzucić do skrzynki pocztowej.

– *Un passe-temps, comme un autre* – powiedział sobie i lekceważąco ręką machnął. – Ciekawym, co z tego wyniknie... może co zabawnego... może nieco śmiechu?

Był to pierwszy akt komedii pomysłu hrabiego Zdzisia, noszącej tytuł: „Zabicie czasu bawieniem się w robienie zamieszania w naszym świecie.”

Tenczyński, odszedłszy od hrabiego Zdzisia, chodził bezcelowo po ulicach i rozmyślał o swoim pojedynku.

Początkowo śmiał się z całego tego zajścia i po rozwadze nie winił o nic Downarowskiego, gdyż pewny był, że on działał pod wpływem pani Julii.

Lekceważąco wzruszając ramionami, mówił sobie, że on sam wyższym jest ponad tę komedię, zwaną pojedynkiem, nie uznaje tej teatralnej *mise en scene*, jak sekundanci w czarnych tużurkach, strzelanie, przeprosiny, oblane zwykle szampańskim; ale ponieważ nie wypada postąpić inaczej wobec zniewag, jakie mu wyrecytował Downarowski, musi więc odegrać tę nudną i banalną rolę.

Kiedy niekiedy uśmiechał się ironicznie.

Do czego on doszedł? Do pojedynku z powodu pani Julii! Co za głupia farsa!

Myślał, że wziął z nią rozbrat zupełny, zapomniał o początkowym swoim zachwycie i późniejszym zniechęceniu, drwił, gdy sobie przypominał, że była chwila, iż żenić się z nią chciał, a tu ni stąd ni zowąd jakiś zakochany Beniaminek, który jeszcze jedną ręką trzymał się maminej spódnicy, wyskakuje jak papierowy dyabeł z pudełka, staje w obronie honoru... pani Julii i mówi mu, że on, Tenczyński, „nadużywa dobrej wiary kobiet uczciwych,” to jest pani Julii!

Spóźniony Don Kiszot!

Przypomniał sobie zachowanie się pani Julii, skoro miał względem niej zamiary najuczciwsze i pytał poważnie: czy naprawdę nie ponowiłaby związków małżeńskich? – i później w wagonie, skoro jej zaproponował, aby... nie oglądając się na żadne względy, jechała

z nim do Wiednia i w Alpy

Przecież jasno się tłumaczył, a pani Julia nie była naiwną gąską i nie biegła na oslep w przyszłość nieznaną dla niej i tajemniczą.

Powoli myśl o niej i Downarowskim zaczęła ustępować myśli o sobie samym.

Coby to było jednak, gdyby Downarowski zabił go w tym pojedynku?

Byłby to głupi interes.

Jednocześnie wyobrażał sobie Ninkę płaczącą, może nawet bardzo zrozpaczoną, bo czyż nie widział, jak jej jest drogi?

Ale co byłoby potem?

Pewno z czasem, wspomnienie jego bladłoby w jej pamięci, z żywego człowieka stałby się cieniem, wreszcie zupełnie rozplynał w czasie i przestrzeni.

Samo to przypuszczenie wzburzało go gniewem i urazą względem Ninki. Ale cóż?... Musiałoby być tak, a nie inaczej.

Takim jest świat i natura ludzka, a my bezsilni jesteśmy wobec zimnej logiki śmierci.

Zdaje się nam, że jeżeli umrzemy, stanie się coś nadzwyczajnego, świat będzie powstrzymany w swoim biegu, wszystko się odmieni, a nasza śmierć nigdy zapomnianą być nie powinna. Ale jednocześnie rozum nam mówi, że się nic nie stanie i nic nie odmieni, ludzie o nas zapomną, a ci, dla których byliśmy światem, nie będą wreszcie uczuwać naszego braku.

„Ech, przecież to farsa ten pojedynek!” – myślał Tenczyński. Co chwila któryś z jego-krewnych albo znajomych odgrywa podobną komedię, a napewno żaden z nich o śmierci nie myśli.

Chciał być swobodnym i wesołym; skierował swe kroki w stronę klubu, ale już od drzwi zawrócił się, a ciągle to samo pytanie na myśl mu powracało: jak Ninka przyjąłaby wiadomość o jego śmierci?

Możeby jej z żalu serce pękło?... to taka wrażliwa natura! Albo może, zagrzebawszy się w klasztorze, poświęciłaby dla niego wszystkie myśli i modlitwy, a w sercu swoim postawiła ołtarz nigdy niewygasłej miłości i żalu?... Przecież niektórzy twierdzą, że są takie kobiety, które nigdy nie wyrzekają się pamięci ukochanego, a straty jego nigdy nie zapominają...

Przypuszczenie to więcej mu do gustu przypadło.

„Dobra, kochana dusza!” O niejby Zdziś nie powiedział, że korzystałaby ze sposobności, aby drapać się w rozpacz malowniczą i demonstracyjną.

Ani się spostrzegł, jak znalazł się przed domem, zamieszkanym przez Maryańskich.

Chciał koniecznie zobaczyć Ninkę, zamienić z nią choćby słów kilka.

Był to już wieczór.

Maryańskiego w domu nie było, pani Maryańska była zajęta kładzeniem pasyansa, Ninka zaś siedziała w rogu salonu i czytała jakąś książkę.

Po kilku chwilach banalnej rozmowy, Tenczyński poprosił Ninkę o trochę muzyki, aby móżdżek podczas grania porozmawiać z nią zdała od pani Maryańskiej.

Ale słów mu brakowało, zdania się rwały, coś krępowało myśli, pozornie wyglądał na zasłuchanego w muzyce, w jakiejś nieuchwytej melodii Griega.

– Panno Janino! – rzekł nagle. – Czyby to panią choć trochę wzruszyło, gdyby się pani dowiedziała, że ja... naprzykład... umarłem.

Ninka spojrzała ze zdziwieniem.

– Co za dziwne pytanie? Nie mówmy o śmierci, to smutny temat.

– Dlaczego o śmierci nie mamy mówić? Przecież to jest przedmiot, który nas powinien bliżej obchodzić, aniżeli wszystkie inne. Nigdy nie wiadomo, czy śmierć stoi blisko nas, czy daleko. Powinniśmy ciągle mieć się na baczności, bo nie wiemy, z którego kąta spojry na nas i rękę wyciągnie.

Tak dziwnie to powiedział, że Ninkę przejął nagły strach i niepokój.

– Co znaczy ten smutny nastrój?

– Życie to strasznie głupia farsa. Można je stracić od lada kamyka. To zupełnie tak samo, jak balon dziecięcy, który od najłżejszego uklucia szpilką zaraz pęka i jest na nic.

– Nie warto myśleć o tych szpilkach przypuszczalnych.

– Ba, kiedy zawsze znajdzie się ktoś taki, kto ukłuje!

Ninka miała chęć prosić go, aby powiedział jej, co jest przyczyną tego pesymistycznego usposobienia, aby był wobec niej zupełnie otwartym; ale jednocześnie przyszło jej na myśl, że przecież mają być dla siebie na zawsze obojętnymi i obcymi, więc milczała.

– Czy nie była u państwa pani Julia? – spytał znów w zamyśleniu po pewnej przerwie, jakby wszystko, co mówił, kierował do jednej myśli, która w nim nurtowała. – Ta kobieta jest moim złym geniuszem – dodał zniechęca.

– Była, ale nie było mnie wtedy w domu – odrzekła Ninka.

Czuła, że na wspomnienie pani Julii serce jej bić zaczyna.

Tenczyński mówił dalej:

– Stała między mną a panią i zabrała nam tyle chwil szczęścia... bo gdyby nie ona, toby przecież pani nie bawiła się tak długo swojemi dziecinnymi skrupułami.

– Panie Tenczyński, nie mówmy o tem! Jestem zakonnicą. Prawdopodobnie na początku przyszłego tygodnia powrócę do klasztoru.

Tenczyński zrobił ruch niecierpliwy. Rozdenerwowany był wspomnieniem pani Julii, pojedynkiem i Ninki odpowiedzią.

– Byłby już wielki czas zakończyć te komedye, która się zbyt długo przeciąga – rzekł z humorem.

Ninka uczuła się dotkniętą do żywego tem powiedzeniem.

Jak on może postępowanie jej nazywać komedya?

Czyż nie rozumie, ile ją kosztuje ta ofiara, zadośćuczynienie krzywdzie pani Julii i postanowienie służenia Bogu!

Pierwszy raz zranił ją i uczuć jej nie zrozumiał, i tego, jak on jest jej drogim i ukochanym pomimo wszystkiego.

– Nie spodziewałam się usłyszeć z ust pańskich zarzutu, iż odgrywam komedye – rzekła bardzo cicho.

Na Tenczyńskiego rozmowa ta działała rozdrażniająco.

Idąc do Maryańskich, marzył o pogawędce z Ninką bardzo serdecznej, pełnej ciepła i uczucia, o takiej rozmowie, która byłaby rodzajem wypoczynku i uspokojeniem nerwów po całym nudnym pojedynkowym aparacie i niewesołych myślach o kruchości życia ludzkiego, cisnących mu się do głowy tłumnie i mimowoli.

A tymczasem, Ninka, klasztor wspominając, oblała go zimną wodą, i wywiązało się między nimi coś takiego – jakby sprzeczka.

– Bawienie się cudzą cierpliwością dla własnej próżności, czy przywidzenia, jest najzłośliwszym rodzajem komedyi – rzekł znowu.

Ninka nic nie odpowiedziała, spojrzała tylko na niego z żalem i wyrzutem, ale on, nie, widział jej spojrzenia, gdyż patrzył uporczywie w dym swojego papierosa.

Przez chwilę panowało przykre milczenie, którego nikt nie przerywał.

Ninka przebiegła machinalnie palcami po fortepianie.

Tenczyński zagłębiał się w swoim złym humorze.

Przedłużane milczenie stawało się coraz przykrzejsze.

– Kiedyż pani wybiera się z powrotem do klasztoru, jeżeli wolno zapytać? – rzekł ironicznie.

– Pan Maryański mówi, że już za kilka dni będę mogła odjechać z Warszawy – głos jej drżał, mówiła z wielkim przymusem. – Jestem tu już i tak za długo.

– Zapewne, jeżeli cały ten pobyt miał panią doprowadzić do tego, że się pani ciągle w kółko kręci i powtarza machinalnie jakieś głupie plotki, których pani nawet wcale nie

rozumie.

Powiedział to z wielkim gniewem, sam się rozdrażniał i coraz więcej denerwował.

Później wstał i rzekł krótko:

– Żegnam panią!

Powiedział jeszcze kilka słów banalnych do pani Maryańskiej i wyszedł na ulicę.

Zły był na Ninke, nie mógł jej darować tego dziwnego uporu, którego już wreszcie nie rozumiał.

Obwinał ją w myśli o brak uczuć delikatnych, bo czyż kochająca kobieta nie powinna przeczuć, co jest w myślach ukochanego?

Czy nie powinna dobrać słów i argumentów odpowiednich i pełnych serca, aby rozwiać smutny nastrój?

A Ninka?

Nie chciała rozumieć, że on szedł do niej z pragnieniem słowa serdecznego, i z bezmyślnym uporem, godnym pensyonarki, postawiła mu przed oczyma widmo klasztoru.

„Ta dziewczyna nie jest zdolna do głębszych uczuć” – mówił sobie, a to, co brał za miłość, było tylko podrażnieniem nerwów, chwilowem roztkliwieniem panińskiej wyobraźni.

Układał sobie w myśli, co jej powie, gdy się załatwi z pojedynkiem i przyjdzie znowu do Maryańskich.

Wszystko jej wypowie, co tylko mu na sercu ciąży... Powie jej... najpierw, że nie posiada własnej woli, jeżeli przyszłość swoją układa według głupiej ludzkiej gadaniny... że jest zaślepioną fanatyczką, egzaltuje swoje powołanie, którego nie ma, i swoje śluby, których jeszcze oficjalnie nie wykonała... że jest taką samą kokietką, jak wszystkie inne kobiety, bo były takie chwile, kiedy o wszystkim zdawała się zapominać, z miłością patrzyła na niego, a później wpadała w obojętność i klasztor miała na ustach.

Powie jej wreszcie, że pani Julia za męża go nie chciała, ale później za to była jego przyjaciółką, i że nikt na jego miejscu nie poczuwałby się do żadnych względem niej obowiązków.

Widział ją już w myśli zawstydzoną tą całą prawdą, rzuconą w oczy... Ale... czy tylko zawstydzoną?

Przypomniał sobie nagle wyraz jej twarzy, gdy się przed chwilą żegnał, odchodząc od Maryańskich.

Ręce jej drżały, była blada i przygnębiona, ale nic nie mówiła, choć mogła była na szorstkie jego słowa tak samo szorstko odpowiedzieć, odwrócić się wyniośle, ukłuć złośliwością, albo lekceważeniem.

A jednak... nie chwyciła się żadnej z tych broni... nie chciała widocznie takiej powierzchownej satysfakcji.

Twarz jej tylko była zasmucona i wyrażała wielką przykrość.

Wspomnienie Ninki, zasmuconej jego słowami, nie chciało w żaden sposób z myśli jego ustępować.

Zaczynał doznawać czegoś w rodzaju wyrzutu sumienia za ten smutek, którego ostatecznie nie kto inny, tylko on, był przyczyną.

Zaczął przypominać sobie swoje własne słowa, zarzucać sobie szorstkość i złe wychowanie wreszcie niekontent z całego świata, siebie i Ninki, rzekł prawie głośno:

– Jestem osieł patentowany!

Zawołał na dorożkę i do klubu powieźć się kazał.

Pani Julia była nieustannie zła i niespokojna.

Downarowski nie pokazywał się u niej od kilku dni, nic nie wiedziała co się z nim dzieje, a Maryański, wysłany na zwiady, przyniósł wiadomość, że Beniaminek okropnie jest czemś

zajęty, mówić z nim nie chciał i robił wrażenie dyabła w święconej wodzie.

Niebyła to wiadomość pozytywna i określona, niemniej silnie alarmująca.

Minęło tak kilka dni.

Pani Julia nigdzie z domu nie wychodziła, nikogo też i u siebie nie przyjmowała, oczekując Downarowskiego, następstw tego, co powiedział, albo Ninki, zdziwionej interwencją tego nieproszonego rozjemcy.

Jednego dnia przed południem ktoś silnie zadzwonił.

Pani Julia oczekiwała z bijącym sercem, kogo jej też zaanonsują.

Ale żaden ze służących nie wszedł z oznajmieniem, tylko po sąsiednim pokoju rozległy się czyjeś pewne kroki, i do saloniku wszedł szwagier jej, Eustachy Nessel.

Był to gość, którego się pani Julia najmniej spodziewała.

Przywitali się bardzo serdecznie. Pani Julia zarzuciła Nessla potokiem pytań.

– Ogromnie się cieszę, żeś przyjechał. Ale dlaczego tak wcześnie? Nigdy jeszcze nie byłeś w Warszawie w tym miesiącu.

– Ot, tak sobie przyjechałem! Marne w tym roku polowanie. Cóż słyhać w Warszawie?

– Stare nudy! Chęci nie mam do niczego. Od kilku dni siedzę w domu, jak zaklęta, nigdzie nie wychodzę i nie jestem *au courant* najświeższych wiadomości.

Nastało milczenie.

Czuli oboje, że im coś słowa krępuje; każde z nich co innego miało na myśli, czego wypowiedzieć nie chciało.

Nessel nie pytał o letnie wrażenia z Biarritz i wyścigów; poruszano tylko obojętne przedmioty, przymus stawał się coraz widoczniejszy.

– Czy dobrze bawisz się? – zapytał po długim milczeniu.

Ale patrzył tak jakoś dziwnie, że pani Julia mimowoli oczy spuściła i rzekła krótko;

– Tak samo, jak innych lat.

– Tak?!

W głosie jego było szyderstwo, które ją podrażniło.

– Nie dla każdego Warszawa jest wystarczającą rozrywką – rzekła.

I znowu milczenie.

– Czy idziesz dziś wieczorem do księżny N.? – spytał Nessel. – Wczoraj wieczorem, po przyjeździe, byłem w klubie na sekundę. Mówiono mi, że ma być bardzo świetny ten raut.

Pani Julia nic na razie nie odpowiedziała. Pierwszy raz słyszała o tym raucie, nie wychodziła z domu przez kilka dni, a zaproszenia nie otrzymała.

Księżna N. bardzo była trudną w wyborze swoich gości.

Pani Julia przeczuwała jakieś nowe plotki, złą wolę, albo rozmyślną demonstrację.

– Prawdopodobnie nie pójdę – rzekła po chwili.

– Czy Tenczyński jest w Warszawie? – niespodzianie zapytał Nessel, patrząc znowu badawczo w twarz bratowej.

– Podobno. Zajęty jest odbieraniem sukcesyi po pani Tenczyńskiej i emablowaniem „nowicyuszki,” z którą będzie musiał podzielić się spadkiem.

I znowu była przerwa.

Nessel zajęty był wypuszczaniem z ust sztucznych kółek dymu; pani Julia wrzała gniewem na myśl, iż jest lekceważoną przez księżnę N.

– Moja Julio! – rzekł nagle Nessel, a w głosie znać było, iż zaczyna mówić o przedmiocie, który go rzeczywiście interesuje. – Moja Julio, otrzymałem wczoraj nadzwyczaj dziwny list, którego treść tylko ty jedna możesz mi objaśnić. Dlatego to przyjechałem do Warszawy.

Pani Julia spojrzała ze zdziwieniem.

Nessel tymczasem wyjął z pugilaesu małą karteczkę. Był to anonim hrabiego Zdzisia, pisany „dla zabicia czasu i narobienia zamieszania.”

Pani Julia szybko przebiegła wzrokiem linijki zapisane, zbladła bardzo i zaczęła chodzić

po pokoju w wielkim pomieszaniu.

– Ach! Ten Downarowski! Co to za idyota! Co on wyprawia! – zawołała w wielkim pomieszaniu, nie zważając, jakie wrażenie na Nesslu słowa jej wyrzucić mogą.

– Aha! – rzekł Nessel. – A teraz, moja droga, – dodał z uśmiechem – uspokój się. Usiądź i powiedz mi coś dokładniejszego. Bo że Downarowski jest idyota, o tem wiem, gdyż dał dowody.

– Przepraszam bardzo, ale ja bym teraz chciała wiedzieć, co to wszystko znaczy, bo że komuś podoba się pisać głupie anonimy, to nie widzę żadnej dobrej racji, dlaczego pan Eustachy Nessel śpieszy w tej chwili do Warszawy, aby mi je pokazywać. Nie jest to dla mnie ani ciekawe, ani zabawne!

– I ja nie sądzę, aby to było dla ciebie choć trochę zabawne, ale za to mocno ciekawe. Zdradziłaś się, moja Julio, przestachem i wykrzyknikiem. Nie grajmy komedii, bo to do niczego nie prowadzi. Faktom nie zaprzeczaj. Doprowadziłaś do pojedynku dwóch swoich „adoratorów,” bądź więc łaskawa objaśnić mnie, jakim sposobem i dlaczego zrobiłaś to? Jaki był powód tego skandalu?

– A ja cię proszę, bądź łaskaw i powiedz mi: jakie masz prawo do zadawania mi podobnych pytań?

– Mojem prawem jest moje nazwisko! Czy myślisz, że to jest mi obojętne, iż ty, tak samo się nazywając, błotem obrzucasz to nazwisko? Nie mogę pozwolić, aby hrabina Nessel, była tem, czem ty jesteś! Nie myśl czasem, że mi cokolwiek chodzi o twoją osobę. Bynajmniej! Gdybyś się inaczej nazywała, wcale bym się o ciebie nie troszczył. Ale ponieważ, na nieszczęście, byłaś żoną mojego brata, wcale sobie zatem nie życzę, aby moje nazwisko figurowało w różnych pojedynkach, skandalach, anonimach, albo... wycieczkach w Alpy?

– Zdaje mi się, że zaczynasz mówić mi niegrzeczności?

– Zwykle prawda jest niegrzecznością. Ale niekiedy takie są wyjątkowe okoliczności, że trzeba zdobyć się na to bohaterstwo i być niegrzecznym.

Pani Julia nie odpowiedziała; nie czuła w sobie chęci do dalszej walki na słowa. Nie uważała na to, co mówił jej szwagier, ale zagłębiała się w swoich myślach.

Nie kto inny, tylko Downarowski i Tenczyński pojedynkowali się z jej przyczyny... Ale jak doszło do tej ostateczności? Jak się wyzwali? Kto kogo?... A co najważniejsza, co się dzieje z nimi w obecnej chwili?

Był to piątek.

Anonim mówił, że pojedynek miał się odbyć we czwartek, a zatem było już po wszystkim...

Co się teraz z nimi dzieje?

Przed oczyma pani Julii przesuwwały się tragiczne obrazy; zwłoki jednego z przeciwników krwią oblane, może Tenczyński z piersią przeszytą, albo Downarowski z roztrzaskaną czaszką.

Stało przed nią widmo trumny, wieńców pogrzebowych, świateł i krzyżów, i postać siwej kobiety, matki Downarowskiego, która pewno nie przeżyłaby śmierci swego ukochanego Beniaminka.

Straszne te obrazy myśl jej gniotły, tłumem całym cisnęły się do oczu i wyobraźni.

Czuła, że ręce jej wilgotnieją zimnym potem ze wzruszenia, a strach i niepokój dreszczem wstrząsają.

Nagle wstała, blada bardzo, i rzekła głosem zmienionym:

– Przecież trzeba się jak najprędzej dowiedzieć, co się z nimi dzieje... może... stało się coś złego...

Stała na środku pokoju, głowę rękoma obejmując.

Niepokój pani Julii usposobił Nessla nieco przychylniej.

– Zostań – rzekł; – mogę ci udzielić wszystkich objaśnień. Nim tu przyszedłem,

wywieźdźiałem się o wszystkich szczegółach całej tej sprawy... Downarowski jest zdrów i cały, ale za to biedny Tenczyński...

– Tenczyński?... – przerwała pani Julia – Co się z nim stało?...

Czuła, że tchu jej brakuje.

– Żyje, ale ma bardzo złośliwie rękę przestreloną. Podobno doktorowie mówią, że nie obejdzie się bez amputacji. Prawdopodobnie odejmą mu rękę do łokcia i... będzie kaleką.

Ostatnie słowa powiedział wolniej; dźwięczał w nich wyrzut za lekkomyślne wywołanie takiego nieszczęścia.

– Ach! Boże! Boże! – jęczała pani Julia, twarz rękoma zakrywając, jakby się chroniła przed widmem Tenczyńskiego.

Winę całą składała na Downarowskiego, obrzucając go w myśli potokiem wyrzutów i wymówek.

– Co się raz stało, to się już nie odstanie. Proszę cię, Julio, zapanuj nad swoim wzruszeniem i nerwami, i pomówmy z sobą na zimno, logicznie.

Pani Julia usiadła machinalnie; wyglądała na bardzo przygnębioną i złamaną.

Nessel zaczął mówić wolno i spokojnie:

– Trzeba, moja droga, abyś spojrzała jasno na swoje obecne położenie. Wszyscy wiedzą i głośno mówią o twoim romansie z Tenczyńskim i tej wycieczce w Alpy...

– Wszystko, co mówią, jest nieprawdą! – przerwała pani Julia. – Nikt nie wie, jak było! Jestem ofiarą...

– Nie wysilaj się, moja droga, na układanie poematu. Wszystko, cokolwiek powiesz w tej kwestyi, będę uważał za bujną fantazyę. Fakt jest faktem, a opinii ludzkiej nie zmienisz żadnemi protestacyami. Następstwem tego, coś zrobiła i co ludzie mówią, jest to, że zaczynasz być obecnie osobą dwuznaczną. Ten fatalny pojedynek dokonał reszty. Pojedynek jest skandalem, a kto ten skandal wywołuje... nie jest pożądanym w towarzystwie, które się strzeże wszelkich jaskrawości. Ani się spostrzeżesz, jak się znajdziesz wśród swojego towarzystwa zupełnie odosobnioną, jak na odludnej wyspie. Żadna szanująca się kobieta, ani taka, która pozuje na uczciwą, – taka tem mniej – odwiedzać cię nie będzie. Znajdziesz się otoczoną czeredą głupich gachów, których uwielbienie będzie dla ciebie ubliżeniem. Zrobiłaś już pierwszy krok i teraz już sobie z tego sprawy zadawać me będziesz, i tak pobiegiesz mimowoli, pędem, na samo dno przepaści... Nie oburzaj się, bo tak zawsze jest na świecie. Gdy się zacznie rozwijać jakąś nić z kłębka, to już ja się ciągle dalej rozwija, jeden nietakt sprowadza drugi, i tak dalej i dalej... coraz gorzej i niżej...

– Ublizas mi! Znęcasz się nade mną! Nie jestem ciekawa tych przepowiedni.

Nessel nie uważał na tę przerwę, lecz mówił dalej:

– Ale do takich ostateczności niepodobna, abyś była doprowadzoną. Kto ma nieco rozumu i rozsądku, to zapobiega złemu, póki czas. Według mnie, jedynym środkiem, któryby ludziom usta zamknął, a ciebie znowu na pewnych nogach postawił w towarzystwie, byłoby... zamążpójście. Niech cię to znowu tak bardzo nie dziwi. Mąż to firma, mająca w towarzystwie wiele znaczenia. Będiesz zaraz inaczej uważana, nikt nie ośmieli się atakować cię otwarcie i pomijać, jak to, o ile mi się zdaje, już się dzieje. A i ty sama na tem źle nie wyjdiesz. Bądźmy choć raz zupełnie szczerymi; moja Julio; tobie konieczny jest w życiu jakiś ster i kierunek.

Nessel nie dokończył swojej myśli, miał chęć powiedzieć jeszcze: Potrzebna ci jest także silna ręka człowieka, znającego cię dobrze i niezaślepionego, któryby cię energicznie przez życie prowadził i nie pozwalał na różne wybryki bujnej fantazyi.

– Posłuchaj mnie teraz uważnie. Zdaje mi się, że zamążpójście nastęrczałoby ci teraz pewne trudności... albo też, byłoby takie, jakiegobyśmy sobie bardzo nie życzyli... Powtarzam ci raz jeszcze, że mnie przedewszystkiem o to chodzi, aby moje nazwisko nie było poniewierane. Przyjechałem tu już z gotowym planem i... gotów jestem w każdej chwili

zostać twoim mężem.

Pani Julia zerwała się z siedzenia i zawołała z wielkim zdziwieniem:

– Co?!... Nigdy! Dziękuję! Poświęcenie twoje dla nazwiska jest kolosalne! Dziękuję! Nie chcę korzystać z tej wspaniałomyślności! Wołałabym sobie życie odebrać! Obejdę się bez bony! Nikt nie ma prawa dyktować mi, jak mam postępować! Jestem panią swojej woli!

Nessel nie uważał wcale na ten wybuch. Wiedział, że jest to tylko słomiany ogień, który zgaśnie lada chwila.

Przeczekał cierpliwie cały potok różnych wykrzykników, a później zaczął rozstrząsać na zimno i logicznie jeszcze raz dwuznaczne położenie pani Julii i mogące wyniknąć z tego różne konsekwencje, niebardzo pożądane ze względu na nią samą i ich nazwisko.

Pani Julia przy pierwszych słowach protestowała i chciała być głuchą na wszelkie rozumowania. Ale spokój Nesslera i ją potrosze uspokajał, głowę na rękę oparła i siedziała w zamyśleniu.

Odczuwała, że wszystko, co on mówi, prawdą jest, że przygniatają wyrzutem to, do czego sama doszła i do czego innych doprowadziła.

Ogarniało ją wielkie przygnębienie i bezsilność wobec własnych czynów i ich logiki.

– Decyduj się prędzej, moja Julio! – rzekł Nessel po długim przeciągu czasu. – Dobrze byłoby jeszcze dziś ogłosić w gazetach o naszych zaręczynach. Im prędzej ludzie się dowiedzą, że za mąż wychodzisz, i że ten pojedynek spokoju ci nie zakłóca, tem lepiej będzie.

Pani Julia nic nie odpowiedziała. Dopiero po długiej chwili, głowy nie podnosząc, rzekła bardzo cicho:

– Rób jak chcesz. Wszystko mi jest obojętne.

– Zatem idę podać ogłoszenie.

Wstał, rękę jej uściskał i wyszedł z pokoju.

Po odejściu jego, pani Julia długo jeszcze siedziała bez ruchu, pogrążona w sprzecznych myślach.

Nareszcie po twarzy jej toczyć się zaczęły łzy pojedyncze, później potok ich coraz obfitszy, i wstrząsało nią łkanie bardzo żalosne i serdeczne.

Nie byłaby może umiała określić właściwej przyczyny tego płaczu, ale płakała, bo czuła potrzebę wylać razem ze łzami wiele goryczy i upokorzenia, zawodu, iż nie tak się jej życie składa, jak pragnęła, nie w nieustanną piosnkę rozkoszy, upojenia i radości, ale każde srodze pokutować za każdą chwilę szalu...

Staneła jej w myśli postać Tenczyńskiego, który miał z jej powodu pozostać kaleką przez całe życie, a później ładna twarzyczka Downarowskiego, którego miłość szczerą trzeba będzie odłożyć do wspomnień niepowrotnych...

Widziała wyobraźnią całą swoją przeszłość, wypełnioną nieustanną pogonią za jakąś marą rozkoszy i upojenia, bieg émy do słońca, natrafiającej na płomień świecy, która jej skrzydła pali...

Widziała i przyszłość swoją w pętach, pełną przymusu do naginania swoich zachcianek i fantazyi do cudzej woli, która prawdopodobnie w niczem upodobań jej uwzględnić nie będzie. Ale czyż był inny sposób wyjścia?

Płakała tak bardzo długo, coraz ciszej i spokojniej, ale bardzo gorzko i serdecznie; smutek ją wielki opanowywał, żal do wszystkich ludzi za jej własne winy i... nieco tęsknoty po opalonych skrzydłach.

Tenczyński już był po operacji. Odjęto mu lewą rękę do łokcia; żadne niebezpieczeństwo nie groziło, miał przed sobą tylko kilka tygodni kuracji, nim się rana zagoi i powrócą dawne siły.

Początkowo nie zdawał sobie sprawy z niczego, odurzony był chloroformem i morfiną,

którą mu zastrzykiwano dla uśmierzenia wielkich bólów.

Majaczyły mu się w wyobraźni różne mroczne wspomnienia, szczegóły tego pojedynku, w skutkach tak fatalnego.

Widział najpierw Downarowskiego, stojącego naprzeciw niego, przypomniał sobie, iż był zupełnie spokojny i pewny siebie, postępował według planu, który sobie zgóry nakreślił. Gdy już stali naprzeciw siebie, pamięta, że rzucił Downarowskiemu spojrzenie pogardliwe i – w bok strzelił.

Na twarzy Downarowskiego odbiło się wielkie zdziwienie i niepewność. Wreszcie pistolet pochylił ku dołowi i w ziemię celował. Ale zapomniał widocznie, że to była zimowa pora i że ziemia była zmarzła... Kula odbiła się od gruntu twardego i roztrzaskała lewą rękę Tenczyńskiego.

Teraz już minęła bolesna operacja i opatrunki, a skoro spojrział na tę bezwładną rękę, której druga połowa niewiadome gdzie się poniewierała, oczy mu ciemniały z tłumionego gniewu i nienawiści ku tym, którzy byli przyczyną jego kalectwa.

Cóż mu teraz po życiu? Jakież będzie to życie?

On, który się miał za człowieka z lepszej gliny, któremu należało się z prawa wszystko: szczęście, powodzenie i wszelkie życiowe radości, on litość teraz wzbudzać będzie, nie obejdzie się bez cudzej pomocy, kaleka, dla którego kobiety będą miały politowanie, a wszyscy inni zdrowi – uśmiech pogardliwy... Bo czyż jest wielu takich, którzyby umieli prawdziwie współczuć sercem cudzej niedoli?

Przychodziły niekiedy na niego takie chwile, że tym wszystkim, którzy mieli ręce i byli zdrowi, życzył śmierci i zguby, pragnął, aby spotkały ich wszystkie możliwe niepowodzenia, kalectwa i utrapienia, aby świat cały odpokutował za to, iż jego spotkało nieszczęście.

Zastanawiając się nad przyczynami tak opłakanego skutku, podniecona wyobraźnia kazała mu upatrywać w tem całym zdarzeniu kierownictwo jakiegoś losu, obdarzonego rozumną wolą, nieubłaganego fatum, które karało go za winy własne lub cudze... może za winy jakich występnych przodków i dziadów, których był duchowym spadkobiercą... a może za jego własne...

Sumienie nie wyrzucało mu ani zbrodni, ani podłości.

A jednak... Downarowski powiedział mu, że jego postępowanie względem pani Julii było podłością. Czyżby to było prawdą?

Przypomniał sobie przebieg całego z nią flirtu i wreszcie doszedł do wniosku, że pani Julia nie rzuciła się pierwsza w jego ramiona, ale on to dokładał wszelkich starań, aby ją rozmarzyć, i on to podstępem zawiózł ją do Wiednia.

Kropla atramentu zabrudzi całą szklankę czystej wody, jeden krok egoistyczny spowodować może cały szereg smutnych następstw.

A zresztą... mniejsza o przyczyny... fakt jest faktem, rzeczywistość sama się mu narzuca i woła nieustannie: „Jesteś kaleką!”

Bezsilnym jest wobec tego faktu!

On, który sobie życie układał według własnych upodobań i fantazyi, nie znosił przeszkód i zapór, mogących tamować mu drogę do szczęścia i zupełnego zadowolenia... I cóż z tego? Jest kaleką!

Cokolwiek sobie powie, zawsze dojdzie do tego samego rezultatu: Jestem kaleka.

Wije się z gniewu i wściekłości, złorzeczy całemu światu, ludziom i losowi, mimo to jest kaleką i będzie nim przez całe życie.

Przewijała mu się niekiedy postać Ninki po myślach i uczuciach. Ale po co on sobie miał nią myśli zaprzętać?

Przypomniała mu się taka, jaką widział ostatnim, razem, kiedy mu powiedziała, że za kilka dni powraca do klasztoru.

Odwracała się od niego wtedy, kiedy był świetnym i pełnym uroku, kiedy zachwycało się

nim wiele innych kobiet; czyż może być, aby go teraz „zaszczyciła” współczuciem, albo litością, ta zastygła dziewczyna, nieprzystępna dla uczuć ziemskich? Napewno nie...

Powróci do klasztoru, albo może już wróciła, a na całą pociechę powie mu, że modlić się będzie za zbawienie jego duszy! Cha, cha, cha! Co mu dusza! Gdyby ich miał tysiąc, toby je wszystkie oddał za ten jeden kawałek ręki, którego nigdy nie odzyska.

Zaczerniał postać Ninki swojemi myślami. Chwilami mówił sobie, że jej nienawidzi, tak samo jak pani Julii, Downarowskiego i świata całego...

Niekiedy rysy jego były napozór spokojne a on powtarzał sobie w myśli, z zaciętym i zimnym uporem, że skoro tylko do sił powróci i w tej ręce, która mu pozostała, rewolwer utrzymać potrafi, to zabije najpierw Ninkę za wszystkie udęczenia i niepokoje i za to, że się od niego odwróciła; później panią Julię za to, iż była przyczyną jego kalectwa; wreszcie siebie samego, bo nie zniesie życia, które stanie się naraz smutną wegetacją.

I spokojniejszy był w tych chwilach, gdyż go upajała myśl zemsty.

Pielęgnowała go Siostra Miłosierdzia i jego służba domowa; doktor nie odstępował go prawie wcale. Ale on nie uważał na swoje otoczenie, o nic nigdy nie zapytał; tylko wzrok jego skierowany był prawie nieustannie na ramię obandażowane i bezwładne, a myśli wirowały wśród wichrów sprzeczności, w morzu goryczy, zniechęcenia, rozpacz i nienawiści.

Jednego dnia czuł się więcej zmęczonym, oczy miał przymknięte i nie uważał wcale na to, co się działo wkoło niego.

Nagle usłyszał, że ktoś bardzo delikatnie drzwi otwiera; ale nie chciało mu się oczu podnosić, aby zobaczyć, kto go odwiedza. Tylko przez niedomknięte powieki, jak przez mgłę, zobaczył, iż weszła do pokoju jakaś postać i pocichu zbliżyła się do jego łóżka.

Machinalnie oczy otworzył i zobaczył Ninkę Olszyńską.

Obecność jej wydała mu się takim nieprawdopodobieństwem, że nic na razie nie powiedział, tylko przez kilka chwil przyglądał się jej uporczywie.

Ninka nic nie mówiła w pierwszej chwili, nie powiedziała nawet banalnych słów zwykłego przywitania, tak, jakby się była nigdy z nim nie rozłączała, bo choć nie była przy nim materyalnie, ale uczuć swych i myśli nigdy od niego nie odrywała.

– Dziś mnie dopiero do pana puścili – rzekła półgłosem.

Tenczyński nic nie odpowiedział, tylko patrzył w twarz jej, wyrażającą ocean wzruszeń i uczuć, w oczy, które mu mówiły o tem, co było w głębi duszy „nowicyuszki.”

Czuł, że pod tem jej spojrzeniem coś w nim roztapia się i taje, że rozpływają się nieznacznie gorycze, złe uczucia nienawiści i zniechęcenia, pragnienie zemsty i śmierci.

Błogość go jakaś ogarniała i wzruszenie, które było jednocześnie zapowiedzią uspokojenia, i zdawało mu się, że stamtąd, z tych dobrych oczu Ninki spływają na niego pierwsze promienie jutrzeńki nadziei, które mu wlewają światłość do skołatanej duszy, obiecują otuchę, spokój i równowagę i taką czarę szczęścia, do jakiej jeszcze nigdy przedtem ust nie przykładął...

– Czy pan mi zapomni wielu rzeczy? – zapytała Ninka.

Mówiła z niepewnością; znać było, że na ustach jej drżą ważne słowa, których nie śmiała jeszcze wypowiedzieć.

– Jeżeli kiedy czamkolwiek przykrość wyrządziłam... proszę zapomnieć...

– To ja panią dręczyłem... a ostatnim razem, pamięta pani, najniesłuszniej.

Spojrzał na swoje ramię i gorzko się uśmiechnął.

– Jaka zmiana! Niedawno panią widział i zdrów byłem, a teraz... jestem kaleką.

Ostatnie wyrazy wymówił z tak smutnem brzmieniem, że Ninka uczuła w sobie więcej odwagi, aby mówić dalej:

– Chciałabym... aby pan... zapomniął o wszystkich moich dawnych skrupałach... o wszystkim, co mówiłam. Ja już nie wrócę do klasztoru... Chciałabym całe życie być przy

panu... aby... pan zapomniał, że jest kaleką... To będzie moje szczęście...

Tenczyński był tak wzruszony, że nie mógł na razie nic odpowiedzieć, ale wziął jej rękę i do ust podniósł.

Ninki oczy łzami zaszły, patrzyła z rozrzewnieniem na Tenczyńskiego, na to swoje największe kochanie, cel i przyszłość, na życie swoje, które się do niej uśmiechało miłością i poświęceniem.

Szła już teraz za tym uśmiechem życia, od którego odwracała się tak długo, wyciągała do niego rękę i patrzyła nań – przez łzy.

Tak byli w sobie zatopieni i szczęśliwi, iż nie zauważyli wcale, że pani Maryńska stała na progu pokoju i przyglądała im się z zajęciem, uważając się za najważniejszą osobę w całej tej sprawie, ponieważ przeczuwała, że wszystkie trudy z wyprawą i weselem spadną na jej barki.

KONIEC.